

ZIOBRO I MINISTERSTWO
OD IDEOLOGII

WSPOMNIENIA ŚWIADKA
ZBRODNI UPA

Masz dość?



ZMIANA



Festival del film
Locarno

Konkurs Główny

tiff

Toronto International
Film Festival 2019
Konkurs Główny

The
Chicago
International
Film Festival



Konkurs Główny

Nie daj się zwieść temu,
co ukryte jest pod płaszczkiem pozorów...

ZAGINIONA DZIEWCZYNA

reżyseria Kōji Fukada

W KINACH OD 3 LIPCA

 **AURORA** 

CYTATY

DONALD TUSK,

były premier

Do wyborców

Konfederacji: z PiS wiele

was łączy, dlatego będą

chcieli Was ZNISZCZYĆ.

Są w tym naprawdę nieźli.

Twitter

GEN. BEN HODGES,

były dowódca US Army

w Europie

Wycofanie części wojsk

amerykańskich z Niemiec

będzie niekorzystne

dla USA i obniży

bezpieczeństwo krajów

bałtyckich, Polski

i Rumunii.

„Dziennik Gazeta Prawna”

PROF. ZBIGNIEW

MIKOŁEJKO, filozof

Musimy przemyśleć, czy

nasza kultura nie stała

się kulturą nadmiernego

przywolenia na wszystko,

niestawiania sobie

jakichkolwiek granic.

„Pani”

PROF. TOMASZ SZLENDAK,

socjolog, UMK w Toruniu

Mnóstwo Polek i Polaków

zaczyna dzień od zajrzenia

w horoskop. Buduje swój

dzień na podstawie tego,

co wróżbita powie w radiu.

„Tygodnik Powszechny”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Odpląćmy Dudzie

Zobaczyć minę Dudy po przegranych wyborach, to byłoby bezcenne. Częściowa rekompensata za pięć zmarnowanych lat. Pięć lat wstydu za kogoś, kto nieustannie ośmieszał urząd prezydenta. Kto przez całą kadencję szczuł ludzi na siebie.

Marionetka w ręku prezesa Kaczyńskiego. Człowiek bez właściwości. O sile charakteru Dudy najlepiej świadczą rządy Macierewicza pod ręką z Misiewiczem w wojsku. Zaoranie przemysłu zbrojeniowego, czystki kadrowe i nieustanne poniżanie oficerów, od generała do porucznika, nie doczekały się reakcji zwierzchnika Sił Zbrojnych, jakim jest prezydent RP.

Podobnym męstwem wykazał się Duda w sprawie telewizji rządowej. Podpisał ustawę przekazującą 2 mld zł na pisowską szczytnię pod warunkiem dymisji Kurskiego. Kurski, mający poparcie Kaczyńskiego, ośmieszył go. Nie ma krzty respektu wobec prezydenta Dudy. Nie ma, bo nie musi. Ten polityczny wyjadacz dobrze wie, że Duda nie ma politycznej mocy nawet na ciut-ciut.

Kaczyński z Kurskim muszą się świetnie bawić, słuchając krzyków Dudy na wiecach i jego opowieści, jakim to jest mocarzem. Już dawno Beata Szydło ogłosiła, że 500+ to pomysł Kaczyńskiego, a od paru miesięcy Duda, jeżdżąc po kraju, przypisuje to sobie. Ja załatwiłem, ja kazałem, ja nie pozwolę, ja gwarantuję itp. Oglądam tego Batmana i bojownika w jednym, jak pokrzykuje na rynkach miasteczek, i nie mogę pojąć, że taki heros może się bać stanąć do debaty z Rafałem Trzaskowskim. Polacy widzą, że się boi. Że jak nie zna pytań, to strach go paraliżuje. Duda może się bać, bo test z odwagi zaliczył na Nowogrodzkiej. Pamiętny Adrian z „Ucha Prezesa”. Wypisz wymaluj to najcenniejszy portret Dudy. Taki po prostu jest.

Czy prezydentem może być człowiek, który panicznie boi się Kaczyńskiego?

Jeśli nie chcemy, by Duda zmarnował Polsce i nam kolejne lata, to pora na zmianę.

Tylko odesłanie Dudy na polityczną emeryturę może zatrzymać degradację edukacji i poprawić sytuację stanu nauczycielskiego.

Polska może mieć prezydenta, który nie jest zakłamanym dewotem. Gorliwym w praktykach na pokaz. Ale na bakier z wieloma przykazaniami. Szczującego Polaka na Polaka i obrażającego bliźnich, których jako prezydent powinien z urzędu chronić.

Czas już najwyższy, by rozbić pełną władzę PiS. Ktoś wreszcie musi kontrolować i kontrować rządzących, którzy na masową skalę traktują państwo jak łup wyborczy. Nie wystarczy krytykować tysiące pisiewiczów, którzy za marne kwalifikacje dostają wielkie pieniądze. I premiera z ministrami kombinujących z przepisywaniem majątków na żony. Trzeba te patologiczne zjawiska zatrzymać.

W niedzielę będzie można zrobić dobry krok w tę stronę. I odplącić Dudzie za to, co z nami zrobił.

**SŁUCHAJ,
A NIE TYLKO
CZYTAJ!**



**NASZE TEKSTY
NA AUDIODELIC**

ZA MIESIĄC 19,99

P **Przegląd**

Audiodelic

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Silny prezydent**
– rozmowa z Rafałem Trzaskowskim
- 10 Ostatnia prosta**
Duda chce przyciągnąć seniorów
- 14 Ministerstwo ideologii**
Dziwne zadania resortu Ziobry
- 22 Kuchnia rzecznika**
– rozmowa z Adamem Bodnarem

ZAGRANICA

- 18 Groźby Trumpa zawisły w próżni**
Przyszłość wojsk amerykańskich w Niemczech
- 34 Wybory w Toronto**
– święto demokracji czy farsa?
Korespondencja z Kanady
- 36 W Bułgarii jeszcze taniej**
Czy epidemia pogrzebie turystykę
- 38 Wakacje z pandemią w tle**
Na urlop do Chorwacji
- 42 Kto uratuje Wenezuelę**
Bezsilny Guaidó, pewny siebie Maduro
- 44 Wyścig do wakacyjnych kursów**
Korespondencja ze Stanów Zjednoczonych

OPINIE

- 26 Jarosław Dobrzański**
Mit Tischnera
- 29 I kamieni kupa – cd.**

HISTORIA

- 30 Krwawa noc w Twerdyniach**
Świadek zbrodni UPA wspomina

KULTURA

- 48 Powszechny nadal się wtrąca**
– rozmowa z Pawłem Sztarbowskim
- 52 Film zrobił swoje**
Rasizm w polskim kinie
- 55 Culturalia**
- 66 13. Konkurs Gepperta**

OBSERWACJE

- 56 Arkadiusz Andrejkow. Cichy memoriał**
- 58 Zabójcze komary**
Lubią seks, krew i perfumy

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Odpuśćmy Dudzie
- 13 Jan Widacki**
Jest jeszcze szansa
- 21 Andrzej Szahaj**
Rynkowe media śmietniskowe
- 25 Roman Kurkiewicz**
Już za pięć lat wybory
- 33 Tomasz Jastrun**
Mordobicie, a nie szachy
- 41 Wojciech Kuczok**
Bezwiary
- 47 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Numer bałtycki



18
ZAGRANICA

GROŹBY TRUMPA ZAWISŁY W PRÓŻNI

Przyszłość wojsk amerykańskich w Niemczech



48
KULTURA

POWSZECHNY NADAL SIĘ WTRĄCA

– rozmowa z Pawłem Sztarbowskim



58
OBSERWACJE

ZABÓJCZE KOMARY

Lubią seks, krew i perfumy

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. MARCIN BRUNIECKI/REPORTER



Emigracja chciała się pozbyć premiera Sikorskiego

Agnieszka Grochowska

Jak zagrać szklankę z gorącą wodą

Odszkodowania dla potomków amerykańskich niewolników



f Dylematy przed drugą turą

Głosowałam na Waldemara Witkowskiego, choć byłem pewien, że nie ma szans w tych wyborach. Ale oddałem głos świadomie i zgodnie z własnym sumieniem. Mam problem z drugą turą. Dochodzę do wniosku, że my nie wybieramy na urząd prezydenta RP swojego przedstawiciela, będziemy głosować na przedstawiciela PiS lub PO. Przedstawiciel wyborców powinien być zależny od wyborców. Gdyby tak było, rwałbym pazury, by doprowadzić do referendum odwoławczego Andrzeja Dudy, choćby za szastanie publicznymi pieniędzmi na utrzymanie amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego i zgodę na pobyt obcego wojska na terenie Polski. Gdyby w takim referendum większość – nawet minimalna – była przeciw odwołaniu, pogodziłbym się z tym. Chyba pojednam obu kandydatów, w drugiej turze stawiając jeden wielki krzyż – przekreślając listę.

Józef Brzozowski

Też mam dylemat. Głosowałam na Biedronia. Teraz niechętnie oddam głos na Trzaskowskiego. Z dwojga złego wolę jednak duopol niż monopol.

Magdalena Łozowicka-Honkisz

Prezesowi trzeba wytrącić długopis z ręki. Choć nie należy zapominać, że rządy PiS są wynikiem beznadziejnych rządów PO.

Dominika Śmigiel

Po pierwszej turze nie mam żadnych wątpliwości, że mimo istnienia duopolu PO-PiS trzeba zagłosować na Trzaskowskiego. Podstawowym celem jest odsunięcie od władzy dyktatorskiego PiS, a w zasadzie Jarosława Kaczyńskiego, bo PiS to gromada ludzi bez własnego pomysłu, refleksji nad państwem. Dla nich państwo to TKM. Trzeba głosować, bo nieuczestniczenie w drugiej turze to głos na dotychczasowe bezprawie.

Tadeusz Kalinowski

f Kto rozliczy PiS

Alternatywą jest jedność w różnorodności. Problem w tym, czy jesteśmy do tego zdolni po tylu złych doświadczeniach. Jednak kształtujemy tę zdolność chociażby od podstaw, ale bez zewnętrznych doradców i promotorów. Zawsze istnieje szansa na zrobienie tego, co chcemy – lepiej, efektywniej, uczciwie. Slogan? Być może, tylko że zwyczajne partactwo dostało się do krwiobiegu, krąży, draży, ale też przekonuje. Zaczniemy robić porządki wokół siebie, w najbliższym otoczeniu, gdzie znamy swoją wartość, orientację, zdolności, słabości i realne możliwości. Dobrym gospodarzem jest na ogół ten, kto zdołał zgromadzić zapasy, potrafi je uczciwie dzielić, racjonalnie pokonywać przeciwności i przetrwać najgorsze.

Adam Cichosz



ZDJĘCIE TYGODNIA

Czy głos jest silniejszy? Spotkanie Rafała Trzaskowskiego z mieszkańcami Kartuz, zagłuszone przez zwolenników Andrzeja Dudy.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy Duda zapłaci utratą stanowiska za ciągłe znieważanie ludzi pracujących w latach 1945-1989?

PROF. MICHAŁ ŚLIWA,
*politolog i historyk, Uniwersytet
Pedagogiczny w Krakowie*

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Niestety, w obecnej kampanii wyborczej przeszłość jest na różne sposoby krytykowana, a wręcz opluwana, a przewodzi w tym prezydent Andrzej Duda. Można by zatem przypuszczać, że ludzie mojego pokolenia – „dzieci Polski Ludowej” – zareagują negatywnym stosunkiem do wspomnianego kandydata. Tyle że negowanie okresu PRL nie jest niczym nowym, trwa już trzy dekady, wielu wyborców do tego przywykło i przyjęło postawę obojętną. Jednocześnie nie ma siły politycznej, która stworzyłaby realne podstawy do oporu wobec dominacji kulturowej środowiska prawicowego. Idealnie by było, gdyby moje pokolenie 12 lipca sprzeciwiło się kandydaturze Andrzeja Dudy, ale nie przesądzałbym tego.

PROF. MIROSŁAW KARWAT,
politolog, Uniwersytet Warszawski

A dlaczego miałby za to ponieść karę? Czy którykolwiek polityk III RP poniósł odpowiedzialność, np. w postaci złamania kariery, za wyłącznie pejoratywne wypowiedzi na temat PRL?

Tamten okres ma w mediach, edukacji i dyskursie polityków, nie mówiąc o Kościele, status pochyłego drzewa, na które każda koza nie tylko wskoczy, ale i nasika. Obelżywe opinie o Polsce Ludowej należą do kanonu poprawności politycznej, na równi z absolutną bezdyskusyjnością obecności wojsk amerykańskich w naszym kraju; na ich wypowiedzianie pozwalają sobie nawet kandydaci lewicy. O tym, że PRL postrzegana jest jako doskonałe ucieleśnienie wszelkiego zła, nieprawości i hańby, najlepiej świadczą komentarze przeciwników ustrojowej demokracji, którą wyczynia PiS – to oczywiście „recydywa PRL”, nie ma żadnych skojarzeń z sanacją, procesem brzeskim, Berezą Kartuską. Wyrosło już całe tak kształcone pokolenie, a starsi zjedli legitymacje partyjne i unieważnili własne życiorysy, dlatego nie oczekujemy, że atak na ludzi Polski Ludowej będzie budził szerszą dezaprobatę.

DR HAB. KRZYSZTOF WASILEWSKI,
*politolog i medioznawca,
Politechnika Koszalińska*

Jeśli Andrzej Duda przegra wybory, to z innych przyczyn niż krytyka Polski Ludowej. Z trzech powodów. Po pierwsze,

temat ten niemal zupełnie nie zaistniał w tegorocznej kampanii wyborczej. Wielka w tym zasługa kandydata zjednoczonej lewicy, czyli Roberta Biedronia, który jak ognia unikał nawiązań do PRL; sam Andrzej Duda również sprytnie go unikał. Po drugie, Rafał Trzaskowski prezentuje praktycznie takie samo spojrzenie na najnowszą historię Polski jak Andrzej Duda. Co prawda dzielą ich niuanse, lecz zgadzają się co do ogólnej, skrajnie negatywnej oceny PRL. Po trzecie, kluczowe dla wyników będzie poparcie wyborców Krzysztofa Bosaka. Jest to młody elektorat, nastawiony prorynkowo, dla którego Polska Ludowa to zamierzchłe dzieje.

EWA GOJAWICZYŃSKA,
czytelniczka PRZEGLĄDU



Oczywiście, że nie zapłaci. Tzw. lud nie kojarzy, że rodzice „delfina” zdobyli wykształcenie w PRL i tylko dzięki niej, bo inaczej dalej rozrzucaliby gnój po polu. Tzw. lud myśli, że „to im się po prostu należało”. Może przyszedł czas, żeby ich wyprowadzić z tego fałszywego myślenia? Wystarczy spojrzeć na obłubieńców władzy, żeby się zorientować, skąd wiedzą, do czego służy wucet.

Not. Michał Sobczyk

Silny prezydent

Będę miał tylko jednego szefa – naród

Rozmawia Robert Walenciak

Czym będzie się różniła prezydentura Trzaskowskiego od prezydentury Dudy?

– Będzie jak dzień po nocy. Prezydentura aktywna zamiast biernej. Autonomiczna zamiast serwilistycznej. Od pięciu lat nad Pałacem Prezydenckim powiewa biała flaga. Nie było tam krytycznego spojrzenia na to, co robi rząd i większość sejmowa, nawet gdy były to działania podejmowane na chybcika, bez konsultacji społecznych. Nie było realnych prób rozwiązywania problemów Polek i Polaków. A prezydent ma do tego instrumenty – oprócz weta może zgłaszać ustawy, inicjować polityczne i społeczne dyskusje, wpływać na obsadę ważnych stanowisk. W zamian widzieliśmy np. bardzo kontrowersyjne decyzje uniewinnień – począwszy od kuriozalnego ułaskawienia Mariusza Kamińskiego, na osobie z listy szczególnie groźnych pedofilów kończąc. To była zła prezydentura. Uległa wobec zewnętrznych ośrodków władzy. Ośmieszana decyzjami z zewnątrz, jak w sprawie 2 mld zł na TVP i przywróceniu Jacka Kurskiego do zarządzania tą telewizją. To się musi zmienić. Nie zamierzam jednak zrobić z Pałacu Prezydenckiego ośrodka opozycyjnego. To będzie w pełni i rzeczywiście bezpartyjna Kancelaria Prezydenta. Rzetelna i konstruktywna. Tam, gdzie rząd będzie działał na korzyść Polek i Polaków, tam będzie mógł liczyć na moje wsparcie. Nie zamierzam być jednak notariuszem rządu, a urząd prezydenta aktywnie wykorzystam, działając na rzecz jedynego szefa – moich współobywateli i współobywateli.

Kto jest pana prawdziwym przeciwnikiem – Andrzej Duda czy Jarosław Kaczyński?



RAFAŁ TRZASKOWSKI

– prezydent Warszawy,
kandydat na prezydenta RP

– Moim przeciwnikiem w wyborach prezydenckich jest Andrzej Duda. Na ile jest to samodzielny polityk, to już każdy sam potrafi ocenić. Ale skoro padło też i drugie nazwisko, to pragnę zapewnić, że będę też prezydentem Jarosława Kaczyńskiego – dokładnie tak samo jak każdego innego obywatela.

Jaka jest stawka walki o prezydenturę?

– Tak wysokiej stawki wyborów w Polsce nie było od 1989 r. Jest nią demokracja w naszym kraju, rzeczywista wolność obywateli, a także przyszłość naszych rodzin i dzieci. Również jakość życia publicznego w naszej ojczyźnie. Jeśli tego lata, w najbliższą niedzielę 12 lipca, nie nastąpi zasadnicza zmiana, za którą już opowiedziało się ok. 57% wyborców, głosujących w pierwszej

turze na innych kandydatów niż Andrzej Duda, pozwolimy domknąć mroczny system, który zawłaszcza państwo, rujnuje kolejne jego instytucje. To może być droga bez odwrotu, bo reelekcja obecnego prezydenta będzie sygnałem dla obecnej władzy, że ma trzy lata pozostałe do następnych wyborów na zabetonowanie swojej wszechwładzy, zniszczenie samorządów, obsadzenie reszty możliwych stanowisk swoimi rodzinami i znajomymi. Wynik tych wyborów nie będzie decyzją na trzy czy na pięć lat, ale na następne dziesięciolecie, może nawet na kilka dekad.

To jest spór cywilizacyjny? Demokracji z autokracją? Pokoleniowy?

– Jest to spór o sprawy zasadnicze – czy będziemy żyć w naprawdę wolnym kraju, czy też na dekady oddamy pełnię władzy zwartej grupie politycznej, która nie reprezentuje większości obywateli i żyje z tego, że nas w Polsce dzieli. Czy uczynimy nasze państwo i jego instytucje silnymi, aby służyły obywatelom, czy będziemy dalej pozwalać na to, aby zawłaszczano je w interesie grupy polityków i ich rodzin lub znajomych? Czy pozwolimy

Polsce potrzebny jest ponadpartyjny prezydent.

na dalsze zatruwanie naszego życia publicznego kłamstwem, oszczerstwem i propagandą, napływającą do naszych domów za pośrednictwem mediów publicznych, w efekcie czego zatruwane jest również nasze życie rodzinne? Kilka dni temu sąsiad groził sąsiadce spaleniem domu za wywieszenie banera wyborczego. Musimy powstrzymać to postępujące dzielenie społeczeństwa,

bo nie wybaczą nam tego nasze dzieci. O tym są te wybory.

Czy jest pan gotowy na ciągłą szarpaninę z Jarosławem Kaczyńskim?

– Przede wszystkim uważam, że Jarosław Kaczyński powinien już zejść ze sceny politycznej. Ten spór, wyznaczony kiedyś na linii Tusk-Kaczyński, jest archaiczny i zatrzymuje rozwój naszego kraju. Blokuje. Donald Tusk nie jest obecny w życiu politycznym Polski – czas, by Jarosław

Jedną z łatek, jaką przypina panu PiS, jest łatka partyjniactwa. Jak się z niej wyzwolić?

– Taka łatka to oczywista gra wyborcza. A realia są takie, że to lista działań obecnego prezydenta jest w pełni zbieżna z polityką partii, z której pochodzi. Jest jej wykonawcą. Dlatego rozumiem obawy tych wyborców, którzy są zmęczeni konfliktem między partiami politycznymi i w pierwszej turze zagłosowali na

mu przez konstytucję, aby działać na rzecz obywateli. Również wtedy, gdy potrzebne są trudne decyzje.

Ma pan znakomite kontakty wśród europejskich prezydentów (merów, burmistrzów) miast. Jest spot, w którym trzymają za pana kciuki. To jak jest z tą Polską? Jest w Europie czy obok niej?

– Polska i jej obywatele są w Europie, trzeba to jasno powiedzieć. I nikt, kto ma w sercu interes Polski, nie powinien się domagać ani dążyć do tego, aby z tej Europy wyszła. To w Europie i w Unii Europejskiej są zakorzenione polskie bezpieczeństwo i dobrobyt. Natomiast rząd, prezydent – można odnieść wrażenie, że są obok Europy – swoim działaniem doprowadzili do tego, że wobec naszego państwa Unia wszczęła procedurę za naruszenie praworządności. Osłabili pozycję naszego państwa w Unii, przez co przegrywają ważne negocjacje i w efekcie nie są w stanie obronić interesów polskich obywateli – zapytajcie o to choćby polskich przewoźników. Takie są skutki polityki europejskiej PiS.

Chcę Was, proszę Państwa, przekonać, że zadbam również o Wasz interes.

Czy jest pan w kontakcie z Szymonem Hołownią, Robertem Biedroniem, Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i innymi? Głosowali na nich różni wyborcy. Łączy ich to, że nie zagłosowali na Dudę. Jak zachęcić ich, by zagłosowali na Trzaskowskiego?

– Z Szymonem Hołownią odbyliśmy publiczną rozmowę, którą możecie państwo prześledzić na moich mediach społecznościowych. Zgadza się w wielu kwestiach – bezpartyjnej prezydentury, konieczności wzmocnienia samorządów czy ochrony klimatu. U pozostałych kandydatów z pierwszej tury również dostrzegam wiele wartościowych postulatów, o czym otwarcie mówię na spotkaniach z mieszkańcami. Nie uznaję głosów ich wyborców za pewnik, chcę ich, Was, proszę Państwa, przekonać, że zadbam również o Wasz interes.

Musimy powstrzymać to postępujące dzielenie społeczeństwa, bo nie wybaczą nam tego nasze dzieci.

Kaczyński przestał być hamulcowym. Ja na pewno nie zamierzam ani z nim, ani w ogóle z nikim się szarpać, a urząd prezydenta będę traktował z należnym mu szacunkiem. Przede wszystkim chcę pracować w interesie Polek i Polaków. Jeśli większość parlamentarna i rząd również będą mieli ten interes na względzie, wówczas mogą liczyć na moją współpracę.

Czy prezydent, stojąc naprzeciw PiS, może skutecznie bronić konstytucji? Bronić obywateli?

– Nie tylko może – musi. To jego najważniejszy obowiązek. Ma do tego potrzebne narzędzia. Ale do tego trzeba nie tylko uprawnień. Trzeba czuć tę podmiotowość w sobie, wierzyć w nią i ją stosować, wdrażać, wcielać w życie. Obecnie urzędującemu prezydentowi brakuje tej woli i odwagi. To dlatego nabraliśmy w Polsce wrażenia, że prezydent niewiele może.

Czy w tak podzielonej Polsce jest możliwy prezydent, który będzie łączył? Który będzie dla wszystkich Polaków?

– To jego konstytucyjny obowiązek. Fakt, że tak nie jest, to konstytucyjna patologia. W Polsce konieczny jest prezydent łączący, inaczej utrwał się bardzo szkodliwe dla naszego społeczeństwa podziały. Wciąż powtarzam, a za mną tysiące Polek i Polaków, których spotykam codziennie na trasie kampanii – mamy dość, także dzielenia nas na lepszych i gorszych. Ten język przekłada się na relacje międzyludzkie, dzieli rodziny, budzi agresję. Trzeba z tym skończyć.

Szymona Hołownię. Ja zgadzam się z ich diagnozą – Polsce potrzebny jest ponadpartyjny prezydent. Dlatego nie tylko złożę swoją legitymację partyjną, ale uczynię kancelarię prezydencką prawdziwie bezpartyjnym urzędem, w którym pracować będą eksperci i społecznicy.



Kandydatką na pierwszą damę jest Małgorzata Trzaskowska. Nz. w drodze na głosowanie w pierwszej turze wyborów.

Co znaczy – silny prezydent?

– To prezydent, który jest autonomiczny, aktywny, a jednocześnie wrażliwy na ludzką krzywdę i staje w obronie pokrzywdzonych, nawet jeśli to oznacza przeciwstawienie się komuś potężnemu. To prezydent, który ma tylko jednego szefa – naród. I nie boi się jakiegoś znaczącego posła. Który ma odwagę wykorzystać instrumenty nadane

Robert Walenciak

Ostatnia prosta

O wyniku wyborów zadecyduje
mobilizacja dwóch grup wyborców
– seniorów i młodzieży

Kurtyna poszła w górę. Stoimy przed drugą turą wyborów prezydenckich. Kandydatów zostało tylko dwóch – Andrzej Duda i Rafał Trzaskowski. Wygra jeden, innej możliwości nie ma.

Tym razem wygrana będzie znaczyła dużo więcej niż w poprzednich wyborach. Mówił o tym na łamach PRZEGLĄDU m.in. Aleksander Kwaśniewski. Tylko więc przypominamy: wygrana Dudy oznaczać będzie domknięcie na najbliższe lata, najpewniej do wyborów w 2023 r., projektu państwa PiS. Gdy Duda zostanie wybrany na kolejną kadencję, Jarosław Kaczyński dostanie trzy lata na dokończenie koncepcji swojego państwa autorytarnego, w którym kaprys wodza znaczy więcej niż konstytucyjne zapisy. Do tego konserwatywnego, z ogromnym znaczeniem Kościoła, ułożonego na wzór Hiszpanii gen. Franco czy Portugalii Salazara.

Wybór Trzaskowskiego oznacza z kolei, że marsz Polski od państwa

prawnej ich druk zlecono, ba, nie wiadomo też do końca, kto odpowiada za wyrzucenie w błoto 70 mln zł. I pewnie póki wszystkie instrumenty władzy będą w rękach PiS, tego się nie dowiemy.

Mamy afery związane z setkami milionów złotych wydanych przez Ministerstwo Zdrowia na maseczki bez certyfikatów, na testy i na respiratory, za które zapłacono, a które do Polski nie dotrały. Piszą o tym gazety i tyle. Ponieważ sprawy dotyczą rządu, a Kaczyński powiedział, że Szumowski jest dobrym ministrem i z aferami nie ma nic wspólnego, więc dla PiS sprawa jest zamknięta. Głos prezesa jest ponad prawem.

będzie je podbijało w dwojaki sposób. Po pierwsze, kupując je. Ma na to pieniądze spółek skarbu państwa, ma zaprzyjaźnionych milionerów, pieniądze w tych sprawach będą więc sprawą drugorzędną. Po drugie – uzależniając je finansowo. Niedawno nagłośniona sprawa portalu Wirtualna Polska, który za pieniądze Ministerstwa Sprawiedliwości świadczył polityczne usługi Zbigniewowi Ziobrze, jest tego znakomitą przykładem.

Równocześnie z mediami przyjdzie czas na ułożenie sceny politycznej. W tym obszarze od dawna trwa walka psychologiczna. Polega ona na wmawianiu partiom, że w zasadzie wybory są już nieważne, bo i tak wygrywa je PiS. A nawet jak nie wygra, to i tak kupi, kogo trzeba, by zachować większość. PiS rozbija inne partie, podkupując lokalnych liderów. W ten sposób niszczone jest PSL, sieci zarzucone są też na działaczy Konfederacji. Ugrupowanie Bosaka będzie zresztą głównym celem PiS, bo dla tej partii jest jak kamień w butcie.

Domykanie państwa autorytarnego będzie też oznaczało, że PiS postawi na budowę własnych elit. Do tej pory kolejne ekipy próbowały dogadywać się z różnymi grupami społecznymi, a przynajmniej działać tak, by zyskać ich neutralność. PiS ma inne plany i głośno o nich mówi – chce zbudować nowe elity, pisowskie. Dlatego zohydza w oczach wyborców ludzi kultury, mediów, tych wszystkich, którzy PiS nie służą. Duda pogardliwie nazywa ich „warszawką” i „karakówkiem”, sugeruje niedwuznacznie, że dorobili się w podejrzany sposób. W wyniku „polityki napychania kieszeni warszawskiemu salonowi, tzw. warszawce, czyli grupie najbogatszych ludzi prominentnych, którzy się bogacili bardzo często kosztem reszty społeczeństwa”. I w ten sposób przeciwstawia lud „zepsutym pseudoelitom”.

Wygrana Dudy pozwoli na domknięcie projektu państwa PiS, państwa Kaczyńskiego.

demokratycznego do autorytarnego zostanie zatrzymany. Prezydent, nie tylko poprzez weto, może skutecznie hamować autorytarne zapędy rządzącej większości. A Trzaskowski będzie hamował. Innymi słowy, jakkolwiek pompatycznie to zabrzmie, uratuje demokrację.

Ponadto Trzaskowski jako prezydent niepodporządkowany Jarosławowi Kaczyńskiemu będzie dysponował potężnym społecznym mandatem, będzie patrzył rządzącym na ręce.

To ważne, bo im dłużej trwa państwo PiS, tym procedury są coraz bardziej nieprzejrzyste, uznaniowe i to tworzy podglebie dla afer. W tym państwie są osoby stojące ponad prawem, poza kontrolą. Cieszące się zaufaniem i poparciem prezesa, więc wyposażone w swoisty immunitet. A to stwarza różne pokusy.

Sprawa pierwsza z brzegu – druk kart do głosowania. Na majowe wybory, te, których nie było. Nie wiadomo przecież, na jakiej podstawie

I jeszcze jeden przykład, z ostatnich dni – Senat chciał wysłuchać informacji na temat stanu finansów państwa. Na co wiceminister Piotr Patkowski, lat 29, odparł, że nie ma zamiaru „ulegać zachciankom” marszałka Senatu i nikt z rządu do Senatu się nie pofatyguje. Mamy więc taką sytuację, że rząd ukrywa przed obywatelami ważne informacje, bynajmniej nie tajne. Innymi słowy, oszukuje nas wszystkich.

Prezydent Trzaskowski miałby siłę, by te informacje wymusić, miałby też siłę, by afery nagłaśniać, co pewnie jakoś rządzących by mitygowało.

Wybór dotyczy też politycznej drogi, którą Polska pójdzie. Wybór Dudy oznaczać będzie, że Jarosław Kaczyński będzie miał wolne ręce, by realizować projekt państwa autorytarnego. Będzie miał czas, by spacyfikować środowisko sędziów. I będzie miał czas, by spacyfikować media. O mediach w środowisku PiS mówi się od dawna i dość dobrze wiadomo, jak wygląda plan ich opanowania. PiS



30 czerwca Rafał Trzaskowski przekonywał wyborców w Kościerzynie.

Te „zepsute pseudoelity” mają być zastąpione przez nowe elity, z ludu, z uczelni księdza Rydzyka, nieważne zresztą skąd – ważne, że wierne. Ten model funkcjonuje już w mediach publicznych – wyrzucono stamtąd dziennikarzy niepisowskich, a nowym dano stanowiska i pieniądze. Średnia pensja dziennikarzy w TVP, według informacji sprzed roku, wynosiła 12,8 tys. zł. Ale ci najmiłsi rządzącym zarabiali wielokrotności tej kwoty. Ile? TVP nie ujawnia zarobków pracowników, ale sporo mówi na ten temat komentarz Bogdana Borusewicza rzucony w Senacie – że Magdalena Ogórek, gwiazda TVPiS, rocznie inkasuje 600 tys. zł.

Kolejnym elementem, który PiS będzie chciało domknąć, jest polityka historyczna. Każda władza autorytarna prowadzi taką politykę – bo to historyczny wywód, w miejsce demokratycznych wyborów, ma być jej legitymacją w oczach społeczeństwa.

Legitymacja PiS wykuwa się w Instytucie Pamięci Narodowej i w dziesiątkach wypowiedzi pisowskich liderów. Kaczyński pozycjonuje PiS jako spadkobierców „żołnierzy wyklętych”, a historia Polski w tej wizji jest nieustającą walką „narodu” z „komuną” i ze „zdrajcami”. Nie ma ani słowa o odbudowaniu Polski po wojnie, o zagospodarowaniu Ziemi Odzyskanych, o budowie zakładów pracy,

osiedli mieszkaniowych... PRL to dla PiS czarna dziura w historii! Liczy się tylko „precz z komuną!”. Woła o tym podczas spotkań wyborczych Andrzej Duda – że zawsze będzie pamiętał bohaterów, którzy walczyli o wolność. I „zawsze odróżni zdrajców od bohaterów”. A żeby zostać bohaterem, wystarczy walczyć z „komuną”. To jedyny wyznacznik patriotyzmu i właściwego zachowania. Bohaterska jest więc Brygada Świętokrzyska, banda hitlerowskich kolaborantów, bo walczyła z partyzantką AL. Bohaterami są mordercy z oddziałów antykomunistycznego podziemia.

Wybór Trzaskowskiego oznacza, że marsz Polski od państwa demokratycznego do autorytarnego zostanie zatrzymany.

Za to ci wszyscy, którzy budowali Polskę Ludową, są obywatelami drugiej kategorii. A jeżeli nosili mundur – uznaje się ich za wrogów. I to takich, z którymi się walczy. Zabierając emerytury. Zabrano je już funkcjonariuszom MSW. Czy podobny los spotka oficerów Wojska Polskiego?

Jest jeszcze jedna ważna różnica między Dudą a Trzaskowskim – polityka zagraniczna.

PiS, czyli Duda, stawia na prezydenta Trumpa. To on jest głównym punktem odniesienia. Oni wierzą, że

jeżeli będą się trzymać jego rękawa, spełnią każdą zachciankę, to będą bezpieczni. Poza tym PiS popiera prawicowych populistów w Europie. Front Narodowy Marine Le Pen, włoską Ligę Mattea Salvini. Jest więc w grupie sił, które stawiają na rozbiście Unii Europejskiej, na jej rozpad. W tym sensie PiS jest wrogiem Brukseli i stawia na powrót Polski do „szarej strefy” między Niemcami a Rosją.

Lewica i liberałowie uważają, że Polska powinna odgrywać wewnątrz Unii jak największą rolę i wspierać jedność Unii. Wybór między Dudą a Trzaskowskim jest więc wyborem

miejsca Polski. I gdy Trzaskowski przestrzega, że polityka PiS obiektywnie prowadzi do marginalizacji Polski w Unii, a następnie do polexitu, to nie jest to retoryczny chwyt.

Twituje zresztą o tym Donald Tusk. „Jak nazywać się będzie Fort Trump, jeśli – co bardzo prawdopodobne – wybory wygra Joe Biden? To pytanie nie jest żartem. Za kilka miesięcy Polsce grozi międzynarodowa izolacja – nie tylko w Europie. To jest prawdziwa stawka tych wyborów”.

Tak w największym skrócie wygląda alternatywa, przed którą w najbliższą

► niedzielę staniemy. Nie ma tu żadnych niespodzianek, ukrytych intencji. Jarosław Kaczyński wielokrotnie już powiedział, do jakiej Polski dąży, i słowa te potwierdził czynami. Duda prezydent da mu kolejne lata, by ten projekt zrealizować. Po drugiej stronie jest Trzaskowski, który wyraźnie mówi, że będzie przeciw projektowi państwa PiS. Polacy zdecydują, która Polska bardziej im odpowiada. Polacy – czyli kto?

Na tydzień przed wyborami wiemy jedno – kandydaci idą tęb w tęb i każdy wynik jest możliwy. Teoretycznie faworytem jest Duda – zebrał w pierwszej turze 43,5% głosów, więc naprawdę niewiele mu brakuje, by mieć większość. Ale czy ją zdobędzie? Czy nie wyczerpał już swojego zasobu głosów? Czy ma jeszcze skąd je dobierać? Rafał Trzaskowski w pierwszej turze przyciągnął 30,5% głosów, teoretycznie jest więc daleko za Dudą. Ale on z kolei ma łatwość pozyskiwania wyborców innych kandydatów – Szymona Hołowni, Roberta Biedronia, Władysława Kosiniaka-Kamysza, a nawet Krzysztofa Bosaka. Może im tłumaczyć – owszem, być może nie jestem waszym wymarzoną kandydatem, ale za to gwarantuję, że polityka w Polsce będzie trwać. Że będzie wolność, a nie wola prezesa i jego funkcjonariuszy. Bo taki jest realny wybór. Czy Trzaskowskiemu uda się więc zmontować takie pospolite ruszenie – wszystkich przeciwko Dudzie? A w zasadzie – przeciwko państwu Jarosława Kaczyńskiego, Duda jest przecież w tym państwie w zasadzie figurantem, te pseudonimy „Długopis” czy „Adrian” nie wzięły się znikąd.

Czy więc się uda? Wszystko zależy będzie od atmosfery najbliższych dni. I od tego, jak poprowadzą finisz swoich kampanii obaj kandydaci. Jak definiować będą podziały i na ile będzie to trafiało do Polaków?

Na przykład, czy będzie telewizyjna debata Duda-Trzaskowski? I jak wypadną w niej jeden i drugi? Gdy piszę te słowa, trwa dość nerwowa ucieczka Dudy przed telewizyjną debatą jeden na jeden. Sztabowcy prezydenta

wymyślają najprzeróżniejsze wykręty, byle tylko do niej nie doszło i żeby nie była to swobodna rozmowa dwóch kandydatów. Komentarze są więc oczywiste. „Prezydent Duda będzie robił wszystko, aby nie wziąć udziału w debacie, bo po prostu się boi. Boi się, że ta debata nic mu nie da, a być może pomoże wygrać jego rywalowi” – to słowa Leszka Millera. W jego opinii Duda dobrze czuje się tylko w TVP, „która jest partyjną telewizją Prawa i Sprawiedliwości”. „Czuje się tam dobrze, jest otoczony życzliwością, pytania są proste, łatwe, być może



Jeśli wygra Duda, Jarosław Kaczyński będzie miał wolne ręce, by spacyfikować media.

nawet znane. To przypomina bunkier, w którym pan prezydent Duda się schronił i nie chce z tego bunkra wysunąć nosa”, dodał Miller.

Inną metodą, którą stosuje sztab Dudy, jest chowanie niewygodnych postaci i spraw. Na czas kampanii znowu zniknął Antoni Macierewicz, ale też Jarosław Kaczyński. Nie ma ich, ewidentnie po to, by nie drażnić tzw. umiarkowanych wyborców, by nie przypominać im, kto ile w państwie PiS znaczy. Zniknęły też niewygodne dla PiS tematy: afery w Ministerstwie Zdrowia, kłopoty budżetu, podwyżki cen, no i katastrofa smoleńska.

Za to w wystąpieniach Andrzeja Dudy słyszymy coraz więcej ataków na Trzaskowskiego, na rządy PO-PSL, na „warszawkę” i „zepsute elity”. Na osoby LGBT, którymi straszy się lud. Bo lud trzeba straszyć i pokazywać mu wrogów. A przy okazji warto

obiecywać. Co prawda Duda już nie opowiada o miliardach, które zapłacą nam Niemcy z tytułu reparacji, ale lepsze życie obiecuje. 14. emeryturę, 2 tys. euro pensji, tańsze podpaski itd.

Prezydent coraz lepiej czuje się podczas wystąpień w kolejnych miastach powiatowych, podczas których wciela się w rolę trybuna ludowego i do końca nie wiadomo, czy atakuje rząd, czy go broni. Widać, że realizuje zamysł sztabu – grę na podział wyborców, na mobilizację „swoich” – mieszkańców mniejszych miejscowości, mniej zarabiających, starszych.

PiS robi też wszystko, by do pójścia na wybory zmobilizować seniorów. Pewnie dlatego premier Morawiecki ogłosił (kłamliwie, ale u niego to nie zaskakuje), że nie ma już zagrożenia koronawirusem i że można iść głosować.

Według bowiem sondażu Ipsos przeprowadzonego 28 czerwca, w grupie wyborców 18-29 lat frekwencja wyniosła aż 65%, podczas gdy w grupie 60+ zaledwie 55,9%. Jest to o tyle istotne, że wśród najmłodszych Duda zdobył ledwie 20,3% głosów, mniej niż Bosak (21,7%), Hołownia (23,9%)

i Trzaskowski (24,5%). Za to w grupie wyborców powyżej 50 lat Duda wygrał zdecydowanie – w grupie 50-59 lat otrzymał 52,8% poparcia, a 60+ – 59,8%.

Nie dziwny się więc, że sztabowcy Dudy robią wszystko, by mobilizować seniorów i demobilizować młodzież. Dla PiS gra o starszych to gra o życie. Z kolei Trzaskowski mocniej zaczął akcentować sprawy programu Mieszkanie dla Młodych, punktuując przy tym, że PiS ten program zaważyło.

Mamy więc paradoksalne zjawisko – walka o Pałac Prezydencki jest walką o kształt Polski, o to, czy będzie demokratyczna i w Europie. Wielkie słowa, wielkie cele. Ale ta walka toczy się na małe punkty, o zdobycie poparcia różnych, czasami niewielkich grup. O ich mobilizowanie.

To dlatego tak trudno jest ten bój uchwycić. I zorientować się, kto idzie do przodu, a kto buksuje w miejscu.

Robert Walenciak

Z Galicji



Jan Widacki

Po pierwszej turze wyborów pesymiści mówią: „Duda zdobył prawie 13% głosów więcej niż Trzaskowski”. Optymiści mówią: „57% wyborców nie chce Dudy”. Obydwa zdania są prawdziwe.

Co z nich wynika dla drugiej tury? Te 57% wyborców, którzy głosowali na innych niż Duda kandydatów, ma bardzo różne poglądy, różne pomysły na Polskę, różne oczekiwania od prezydenta.

Gdyby wszyscy zagłosowali na jednego kandydata, sprawa byłaby prosta już w pierwszej turze wyborów. Ale nie zagłosowali i nie zagłosują. Z tych 57% połowa należy do Trzaskowskiego. Jak w drugiej turze rozłożą się głosy pozostałych? Część nie pójdzie do wyborów. Ale trzeba pamiętać, że część wyborców Trzaskowskiego z pierwszej tury też nie pójdzie. Wyborcy Trzaskowskiego to w dużej mierze mieszkańcy wielkich miast. Wiele z nich 12 lipca

pierwszej turze, i nie miał czasu sobie tego przemyśleć i uporządkować. Bo równocześnie mówi, że na razie nie powie, na kogo sam zagłosuje w drugiej turze, ale zagłosuje na pewno, bo to patriotyczny obowiązek, a chwilę później mówi, że na pewno nie zagłosuje na Dudę. Ale to nie koniec, bo mówi też, że na Trzaskowskiego zagłosuje tylko wtedy, gdy Trzaskowski zobowiąże się realizować postulaty, które on, Hołownia, po konsultacji ze swoimi działaczami mu przedstawi. Podsumujmy: na pewno zagłosuje w drugiej turze; na pewno nie zagłosuje na Dudę; nie wiadomo, czy zagłosuje na Trzaskowskiego. Rozumiecie coś z tego? Jakąś dziwną logikę stosuje Hołownia.

Tak czy inaczej, można się spodziewać, że znaczna część elektoratu Hołowni pozostanie w domu, a z tych, którzy pójdą do urn w drugiej turze wyborów, większość (ale jaka?) odda głos na Trzaskowskiego.

Jest jeszcze szansa

będzie na wakacjach. Nie wszyscy wezmą zaświadczenia upoważniające do głosowania w miejscach, gdzie będą spędzać urlop. Zrobią to najbardziej zagorzali zwolennicy tego kandydata, bo jednak wymaga to dodatkowej fatygi. Ile przez to z tych 30% (czyli niespełna 6 mln) ubędzie?

Elektorat lewicy w większości już zagłosował na Trzaskowskiego w pierwszej turze (stąd taki słaby wynik Biedronia). Zostało ok. 432 tys. tych, którzy w pierwszej turze oddali głos na Roberta Biedronia. Ci z nich, którzy pójdą do wyborów, zagłosują raczej na Trzaskowskiego niż na Dudę. Ale ilu ich pójdzie?

Wynik Kosiniaka-Kamysza, nawiasem mówiąc jednego z najbardziej merytorycznych kandydatów (2,37% głosów), świadczy o tym, że elektorat wiejski na stałe już PSL-owi zabrali PiS i Duda. Tych ok. 460 tys. wyborców wiernych PSL-owi podzieli się zapewne na trzy mniej więcej równe części: część zagłosuje na Dudę, część na Trzaskowskiego (postrzeganego jako anti-Duda), część w ogóle nie pójdzie głosować. Prawdziwa gra toczy się teraz o elektorat Hołowni (blisko 14%, 2,7 mln wyborców) oraz o elektorat Bosaka (6,75%, 1,3 mln wyborców).

Wydawać by się mogło, że elektoratowi Hołowni bliżej do Trzaskowskiego niż do Dudy. Teoretycznie tak. Ale znaczna część tego elektoratu to ludzie, którzy mają dość duopolu PiS-PO i dlatego zagłosowali na bezpartyjnego Hołownię. Jak teraz się zachowają? Obawiam się, że znaczna ich część pozostanie w domu i w drugiej turze wyborów udziału nie weźmie. Jak duża to będzie część? Oto jest pytanie! Sam Hołownia, który wbrew sondażom do końca się łudził, że wejdzie do drugiej tury, a w niej będzie miał szansę wygrać z Dudą, teraz zachowuje się dwuznacznie, tak jakby nie przewidział sytuacji, w jakiej znajdzie się po

Pozostaje elektorat Bosaka. On sam też żadnego z kandydatów nie popiera, chce zachować dystans do obydwu i czeka, który da mu więcej. Ale z elektoratem Konfederacji sprawa jest bardziej złożona. Są w nim zwolennicy kabaretowego liberalizmu Korwin-Mikkego, ale też bardziej racjonalni liberałowie, narodowcy różnych odcieni (z brunatnym włącznie), antysystemowcy (jak u Hołowni), patologiczni antysemita. Łączy ich niestety antyeuropejskość, co zbliża ich do elektoratu PiS, ale z kolei różni od niego antyamerykańskość. Jak się podzieli ten elektorat? Tak jak więcej wyborców Hołowni postawi na Trzaskowskiego, tak wydaje się, że więcej wyborców Bosaka, oczywiście spośród tych, którzy pójdą do wyborów, odda głos na Dudę.

Tak więc szanse kandydatów wydają się bardzo wyrównane. O zwycięstwie zadecyduje zapewne kilkaset tysięcy głosów.

Wiele zależy od aktywności kandydatów na finiszu kampanii wyborczej. Co powinien zrobić lewicowy wyborca? Iść na wybory i oddać głos na Trzaskowskiego. Trzeba pamiętać, że zwycięstwo tego kandydata kończy dominację PiS i okres demolowania demokratycznych instytucji państwa. Nie mając Senatu ani prezydenta, PiS (faktycznie Jarosław Kaczyński) zdecyduje się zapewne na wcześniejsze wybory. To szansa dla lewicy i ruchu Hołowni. Lewica w wyborach parlamentarnych odzyskałaby znaczną część głosów oddanych teraz na Trzaskowskiego. Hołownia, na fali swojego sukcesu, miałby szansę wprowadzić sporą reprezentację do Sejmu. Nie wiadomo, czy sukces taki byłby możliwy za trzy lata, gdy entuzjazm osłabnie.

Jak będzie, zobaczymy 12 lipca. Obyśmy 13 lipca obudzili się w innej Polsce. Szansa na to jest.

Ministerstwo ideologii

Wsparcie szkół ojca Rydzyka, Muzeum Żołnierzy Wyklętych, walka z „ideologią LGBT” – Ministerstwo Sprawiedliwości pod kierownictwem Zbigniewa Ziobry szeroko zakreśla swoją misję

Jakub Dymek

Pierwsze skojarzenie ze Zbigniewem Ziobrą, ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym? Szeryf. Z prawnikiem z Krakowa i karzącą ręką Jarosława Kaczyńskiego jego przeciwnikom kojarzą się surowość, dogmatyzm i gwałtowność wygłaszanych sądów. Dobrze pamiętający jego pierwszą kadencję na tym urzędzie, 15 lat temu, wspomną z pewnością też sprawy doktora G., Barbary Blidy, areszty wydobywcze dla lekarzy, gotowość do ścigania i rozliczania nawet wczorajszych politycznych sojuszników. Wszystkie te skojarzenia są już nieaktualne. Nie znaczy to, że są nieprawdziwe, ale istota działania Ministerstwa Sprawiedliwości i samego Zbigniewa Ziobry jest już inna.

Ministerstwo Sprawiedliwości jest dziś w równym stopniu ministerstwem od ideologii. Jedne ideologie gorliwie zwalcza, drugie promuje. Dzięki olbrzymim środkom finansowym i instytucjonalnym, jakimi dysponuje ekipa z gmachu przy Alejach Ujazdowskich, ludzie Ziobry inicjują działania, które nigdy wcześniej nie kojarzyły się z obowiązkami ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Ministerstwo zajmuje się dziś sprawami historii i pamięci narodowej, ochroną dobrego imienia Polski, walką z „ideologią LGBT”, pomocą w wydawaniu pism stowarzyszeń katolickich, „ochroną małżeństwa” i tuzinem innych spraw, kluczowych dla toczącej się w Polsce wojny kulturowej. Gdy trzeba wesprzeć media ojca Rydzyka, Ministerstwo Sprawiedliwości jest na miejscu. Gdy trzeba zainterweniować w ważnej sprawie ideologicznej – jak było z drukarzem z Łodzi i odmową wydrukowania



Medialne kampanie są okazją do promocji ministra Ziobry i jego zastępców.

banera z tęczowym logotypem – ludzie Ziobry śpieszą z interwencją. Gdy na horyzoncie pojawia się widmo „polonofobii” albo zbliża się ważna rocznica historyczna – także wtedy na pewno znajdą się fundusze i energia, żeby zająć wyraziste stanowisko.

Powiedzieć, że większość z tych inicjatyw ma konserwatywne czy religijne skrzywienie, to nie powiedzieć nic. Ministerstwo Sprawiedliwości buduje swoje społeczeństwo obywatelskie, wchodząc w rolę anty-Sorosa czy Fundacji Batorego *à rebours*. Buduje przeciwwagę dla obywatelskiego i liberalnego rozumienia prawa i wolności, tak jak TVP prezesa Kurskiego chce być antytezą i przeciwwagą dla prywatnych mediów. I zarazem samo chce zabierać

głos w tych sprawach – aktywnie wypowiadając się na temat kultury, wartości, historii, polskiej tradycji i dziedzictwa. Chodzi w tym o to, co paradoksalnie prawica nieustannie zarzuca przeciwnikom – ideologiczną przebudowę społeczeństwa, państwa i prawa.

Antykomunizm i tęcza

Wiosną tego roku do czytelników trafił nowy dodatek do pisma „Do Rzeczy” – z Marksem, Engelsem i Leninem na okładce. Tytuł zwrócił uwagę, bo w zamierzeniu autorów „Do Rzeczy” Marks, Engels i Lenin mieli być twarzami... rewolucji seksualnej i LGBT. Hasło zapowiadające całość brzmiało „Od wojny klas do wojny płci”. W środku zaś przewidywalny

miszmasz – wywiad z prezesem Ordo Iuris, tekst o homoseksualnym lobby wewnątrz partii Angeli Merkel, krytyka liberalizmu obyczajowego Francuzów, który objawia się m.in. pomysłem, by częściej transmitować mecze kobiecej piłki nożnej w telewizji. Niby nic nowego, mógłby ktoś powiedzieć. Tyle że – czego zewnętrznego obserwator mógłby się nie spodziewać – publikacja miała na celu... przeciwdziałanie przestępczości (!), a współfinansowało ją Ministerstwo Sprawiedliwości.

Projekt nazywa się „Przeciwdziałanie przestępstwom dotyczącym naruszenia wolności sumienia popełnianym pod wpływem ideologii LGBT” i zwyciężył w konkursie organizowanym przez ministerialny Fundusz Sprawiedliwości. Odbiorcą środków jest Fundacja Strażnik Pamięci, której szefem jest Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”,

Na obydwie pytania jest jedna odpowiedź – ministerstwo zdaje się widzieć w tym misję. „Ideologia LGBT” może razić uczucia katolików, to może prowadzić do przestępstw, a przestępstwom trzeba przeciwdziałać, Ministerstwo Sprawiedliwości finansuje więc publikacje przeciwko „ideologii LGBT”. Ministerstwo świadomie wkroczyło w błędne koło, a w jego działaniach cel uzasadnia przyczynę. Skoro coś zwalczamy, musi to być kryminogenne – wszak reprezentujemy sprawiedliwość. Bo wszystko może być przyczyną przestępstw, gdy uzna tak minister.

Ręka podniesiona na Kościół...

Fundusz Sprawiedliwości powstał w 2012 r. w celu pomocy ofiarom przestępstw i pomocy post-penitencjarnej. Zbigniew Ziobro tak rozszerzył jeden z jego celów –

w zeszłorocznym tekście o Opus Dei – zaczął publikować, także w „Do Rzeczy” i udzielać wywiadów o lewicowym, genderowym i marksistowskim zagrożeniu dla Polski. W maju – znów w tym samym tygodniku – ukazały się anonimowe artykuły, w których cytowano właśnie Romanowskiego. „Skoro karzemy za antysemityzm, to karzmy również za chrystianofobię”, mówił w kontekście rzekomej plagi przestępstw na tle nienawiści do Kościoła rzymsko-katolickiego. „Irracjonalny lęk lub nienawiść odczuwana w stosunku do chrześcijaństwa prowadzi, jak nie rzadko się przekonujemy, do czynów zabronionych, a temu w ramach Funduszu Sprawiedliwości staramy się przeciwdziałać”, odpowiedział wice-minister Romanowski dziennikarzom „Gazety Wyborczej”, którzy pytali go o te teksty. „Každą ręką podniesioną na Kościół to ręką podniesioną na Polskę”, dodawał w odpowiedzi opublikowanej przez „Wyborczą”.

Nieznane są przypadki, by za czasów innych ministrów sprawiedliwości taki

specjalny status chciało nadać przestępstwom przeciwko chrześcijaństwu – motywowanym nienawiścią do Kościoła i wiary. Nieznany był też pomysł różnicowania przestępstw z nienawiści według wyznania – to jeden i ten sam paragraf. Zresztą z danych udostępnionych rzecznikowi praw obywatelskich wynika, że ani chrześcijanie nie padają ofiarami przestępstw z nienawiści częściej niż inni, ani nie ma tych wykroczeń tak dużo, jak to sugerują przedstawiciele władzy. Czy ministrowi Romanowskiemu chodzi o to, by nieznaną polskiemu prawu „chrystianofobię”

Z Funduszu Sprawiedliwości, który miał pomagać ofiarom przestępstw, finansuje się imprezy Solidarnej Polski, partii Zbigniewa Ziobry.

projekt zakłada zaś publikację 20 dodatków do pisma „Do Rzeczy” przez cztery lata. „Celem projektu jest doprowadzenie do zmniejszenia, a docelowo do wyeliminowania z polskiej przestrzeni publicznej przypadków łamania praw sumienia ludzi wierzących, którzy cierpią pod wpływem presji nowych lewicowych ideologii zgodnie art 196 kk oraz art 194kk”, czytamy na stronach fundacji (pisownia oryginalna). W ogłoszeniu o wynikach konkursów, które jest jawne, nie ma informacji o wysokości kwot dotacji na poszczególne projekty.

Racjonalnie myślący obserwator musi wziąć głęboki oddech i zadać sobie przynajmniej dwa pytania. Jak publikowanie artykułów o niemoralnym życiu Francuzów i infiltracji partii Angeli Merkel przez homoseksualne lobby ma przeciwdziałać przestępczości w Polsce? I dlaczego ministerstwo uznało, że spoczywający na nim obowiązki ochrony sprawiedliwości oraz możliwie najlepszej i najszybszej egzekucji prawa zrealizuje poprzez publikację o LGBT, rewolucji kulturowej, amerykańskich feministkach i likwidacji pisuarów na dworcu kolejowym we francuskim Breście?

przeciwdziałanie przyczynom przestępczości – że dziś mieści się w nim wszystko, co za ważne dla przeciwdziałania przestępczości uzna minister. Sebastian Klauziński, nagradzany dziennikarz portalu Oko.press, opisywał, jak ze środków, które w zamyśle twórców funduszu miały pomagać ofiarom przestępstw, remontuje się sale gimnastyczne, kupuje sprzęt dla Ochotniczych Straży Pożarnych i wyposażenie szpitali, dotuje Fundację Lux Veritatis ojca Rydzyka i finansuje imprezy Solidarnej Polski, partii Zbigniewa Ziobry. Media donosiły, że z tych środków finansowana jest kampania ludzi ministra w regionach. Na nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości zwracała uwagę Najwyższa Izba Kontroli. Interweniował też rzecznik praw obywatelskich. Bezskutecznie – jeszcze przed pandemią NIK ponownie zwracała uwagę na niegospodarne i niecelowe wydawanie środków, które miały pomagać ofiarom przestępstw.

Zaangażowanie ministerstwa w walkę z „ideologią LGBT” jest znakiem, że idzie nowe. W 2020 r. wice-minister Marcin Romanowski – którego sylwetkę przybliżyliśmy w PRZEGŁĄDZIE



zrównać jako problem np. z kłamstwem oświęcimskim?

Mój pedofil jest ważniejszy niż twój

Także wiosną 2020 r. Ministerstwo Sprawiedliwości publicznie dawało wyraz temu, jaką pedofilią należy oburzać się bardziej. Wiceminister Michał Wójcik wziął udział w debacie TVP zorganizowanej po emisji filmu „Nic się nie stało” Sylwestra

więc należy ją zwalczać. Podobnie było z fundacjami i stowarzyszeniami walczącymi z przemocą w rodzinie – m.in. Centrum Praw Kobiet. Podejrzane o lewicowe czy platformiane sympatie organizacje pomagające ofiarom przemocy w rodzinie nie mogły liczyć na przychylność ministerstwa. W przeciwieństwie do promujących „bezpieczny” z punktu widzenia ministerstwa model prewencji przemocy – czyli wsparcie tradycyjnej rodziny. Ministerstwo uznaje bowiem,

powstanie pod patronatem Zbigniewa Ziobry Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w gmachu dawnego aresztu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Ekspozycja i możliwości zwiedzania są wciąż szczątkowe – prace nad uruchomieniem faktycznego muzeum trwają. W marcu tego roku – znów na wiosnę! – zarządzeniem Zbigniewa Ziobry muzeum zostało ostatecznie przekształcone w państwową instytucję kultury. Obok wszystkich dość przewidywalnych celów – badań, upamiętnienia itd. – muzeum ma w statucie także „promocję polskiego dziedzictwa historycznego w świecie”.

Dotychczas jednak działalność muzeum była raczej kolejną okazją do promocji samego ministra i jego zastępców, którzy dzięki upamiętnianiu różnych rocznic związanych z kultem „wyklętych” mogli wygłaszać okolicznościowe mowy. „Nasze pokolenie zostało zobowiązane, by życiorysy tych, którzy mieli być zapomniani, zostały przywrócone społeczeństwu. To zadanie nie zostało jeszcze do końca wypełnione. Pamiętajmy o nich. Cześć i chwała bohaterom!”, mówił Sebastian Kaleta. Dlaczego jego pokolenie – Kaleta

Fundacja Strażnik Pamięci, której szefem jest Paweł Lisicki, dostała dotację na 20 dodatków do „Do Rzeczy”. Jej wysokości nie ujawniono.

Latkowskiego o przestępstwach seksualnych wobec nieletnich, jakich miał się dopuszczać sopocki gang „Krystka”. Kilka dni wcześniej odbyła się premiera filmu braci Sekielskich „Zabawa w chowanego” o kryciu pedofilii w Kościele. Przy okazji – jak to ujął sam prezes TVP Jacek Kurski – „pojedyunku filmów o pedofilii” Wójcik zapowiedział powołanie w Prokuraturze Krajowej specjalnego zespołu do wyjaśnienia sprawy z filmu Latkowskiego. Za Wójcikiem zapowiedź powtórzyli i wiceminister Marcin Warchoła, i Zbigniew Ziobro. Słowa o komisji, o braku woli ścigania winnych przestępstw pedofilskich za Tuska („Komisji do ścigania przestępstw pedofilskich nie było kilkadziesiąt lat”, mówił w TVN 24 minister Wójcik) i o milczeniu elit służyły także temu, by za winnych ukrywania tych przestępstw uznać w równym – lub nawet większym – stopniu co Kościół środowiska uznane przez Zjednoczoną Prawicę za przeciwników. Czyli celebrytów, cały obóz III RP i telewizję TVN. Mimo że to właśnie „wrogie” media – w tym „Wyborcza”, TVN i oczywiście sam Latkowski – sprawę gangu „Krystka” opisały, a prokuratura zajęła się nią w czasie rządów PO.

Ministerstwo ze zrozumiałych powodów szczególnie nacisk kładzie na ściganie sprawców zbrodni na dzieciach, ale zarazem rząd walczy z tzw. konwencją antyprzemocową, którą politycy Solidarnej Polski uważają za konia trojańskiego „ideologii gender”. Jak na ironię konwencja zaleca wiele działań, które wdraża samo ministerstwo – ale jest „ideologiczna”,

że małżeństwo lepiej niż nieformalny związek chroni przed przemocą w rodzinie. I choć wiele badań temu przeczy, z raz przyjętego przez ministerstwo założenia i definicji prewencji przestępczości wynikają kolejne działania. Skoro małżeństwo jest lepsze, to aby zapobiec przestępstwom, należy wspierać np. projekty przeciwdziałające rozwodom. Na wspólnej konferencji z Fundacją Mamy i Taty – jak donosił portal TOKFM.pl – wiceminister Romanowski ogłaszał: „Nie będzie związków partnerskich i zgody na deprawację”.

Dzięki Funduszowi Sprawiedliwości Zbigniew Ziobro tworzy alternatywne społeczeństwo obywatelskie.

Można by się zastanawiać, co do sprawy związków partnerskich ma Ministerstwo Sprawiedliwości. Nie wiele, jeśli chodzi o faktyczną prewencję przestępstw. Bardzo dużo, gdy chodzi o wyznawaną przez polityków Solidarnej Polski ideologię.

Edukujemy dzieci o „żołnierzach wyklętych”

Lista spraw poza samym wymiarem sprawiedliwości, którymi zajmuje się resort za czasów Zbigniewa Ziobry, pęcznieje. Ale historia – sprawy martyrologii, dziedzictwa, pamięci i polityki historycznej – była na niej obecna od początku. W 2016 r. wiceminister Sebastian Kaleta – za równo gwiazda tzw. komisji reparywacyjnej, jak i jeden z najmłodszych członków rządu – zainicjował

to rocznik 1989 – i dlaczego akurat w tym resorcie? Sprawy historii, obrony polskiej narracji na globalnej arenie i tożsamości narodowej są po prostu tak symboliczne i propagandowo ważne, że o pieczę nad nimi konkuruje więcej niż jedno ministerstwo. I dlatego także tu resort Ziobry zaznacza swoją sprawczość i znakuje teren. Kwestia pamięci czy kultu „żołnierzy wyklętych” jest też cenna dla wyborców. W internecie z łatwością można znaleźć tuziny materiałów o działaniach Ministerstwa Sprawiedliwości w tej dziedzinie. Gdyby kiedyś rządząca koalicja miała się rozpaść, kwestia tego, kto jest „prawdziwym” strażnikiem pamięci i patriotyzmu, może się okazać istotna.

Ministerstwo odważnie wchodzi więc na teren historii. Podobnie było z nowelizacją ustawy o IPN sprzed

kilku lat, w przypadku której kwestie historyczne – w tym odpowiedzialności za Zagładę – określał zespół pod przewodnictwem ówczesnego wiceministra Patryka Jakiego. Jedną z pierwszych zapowiedzi Zbigniewa Ziobry jako ministra było zresztą „karanie za sformułowanie polskie obozy śmierci”. Dziś działania historyczne ministerstwa nakierowane są też na – cokolwiek mniej spektakularny – cel „patriotycznego wychowania dzieci”. Komunikat pod tytułem „Ministerstwo chroni i edukuje dzieci” tłumaczy: „Prowadzimy zajęcia rozwijające uczucia patriotyczne młodzieży (...). Wydarzenia w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL przybliżają młodym Polakom historię najdzielniejszych Polaków. Naszych bohaterów. Na ogrodzeniu Ministerstwa Sprawiedliwości umieszczamy wystawy przypominające historię kraju”.

Na kłopoty pan minister

Powyższa lista i tak jest niekompletna. Wśród spektakularnych działań ministerstwa na froncie wojny ideologicznej i kulturowej w Polsce należałoby przecież wymienić choćby dołączanie do głośnych i kontrowersyjnych spraw w sądach – gdy rzecz dotyczy choćby wolności sumienia. W ogóle kariera pojęć wolność religijna i wolność sumienia, zaimportowanych w tym znaczeniu do Polski od amerykańskiej prawnicy, jest osobnym wątkiem. I tu Ministerstwo Sprawiedliwości ma swoje osiągnięcia. Ludzie Ziobry interweniowali choćby w głośnej sprawie zwolnionego z IKEI pracownika, który miał odmówić udziału w szkoleniu na temat równości, i publikować w firmowym intranecie wpisy wyrażające jego potępienie dla homoseksualizmu, posilając się biblijnymi cytatami o „obrzydlizwie” i „zgorszeniu”. Wtedy minister Romanowski twierdził, że jego prawa pracownicze zostały złamane, bo wyłącznie bronił on „wyznawanej przez siebie religii”. Minister Ziobro dodawał od siebie zarzut wobec sieci IKEA „używania przemocy ekonomicznej i prawnej” wobec osób, które „nie chcą podzielić wartości środowisk LGBT”. Sami przedstawiciele ministerstwa otwarcie mówili w wywiadach, że ta sprawa ma dla nich znaczenie

symbolu. Kierownicze działu kadr, która podjęła decyzję o zwolnieniu pracownika, prokuratura postawiła zarzut – cytując za „Gazetą Prawną” – „ograniczania praw pracowniczych ze względu na wyznanie”, za które „może grozić grzywna, kara ograniczenia wolności albo kara do dwóch lat więzienia”.

Dlaczego tak się dzieje? Najkrótsza odpowiedź brzmi: bo Ministerstwo Sprawiedliwości widzi swoją domenę bardzo szeroko. Zbigniew Ziobro nie miał wcześniej opinii

niezgodnych z prawem lub podejrzanych postaw, zachowań i światopoglądów niechętnych władzy.

Wszystko to – oczywiście – nie jest dziełem samego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Tuziny delegowanych do gmachu przy Alejach Ujazdowskich sędziów, grono wiceministrów, nowe programy szkoleniowe czy Instytut Wymiaru Sprawiedliwości oraz „kuźnia kadr”, czyli Pracownia Liderów Prawa, tworzą razem wielką maszynę. Maszynę, która nie stawia

Wielomilionowe dotacje wspierają „właściwe” organizacje i bardzo szeroko rozumiane przeciwdziałanie przestępczości.

ideologa – przynajmniej nie w sensie kogoś, kto pisze zamasztyte polityczne strategie i manifesty. Ale nie o to przede wszystkim w działaniach resortu dziś chodzi. Poprzez dołączanie do tych, a nie innych spraw sądowych wysyła on jasne komunikaty, jakie poglądy i postawy są „pod specjalnym nadzorem”. Dzięki Funduszowi Sprawiedliwości Zbigniew Ziobro tworzy zaś alternatywne społeczeństwo obywatelskie, w którym nawet wielomilionowe dotacje wspierają „właściwe” organizacje i bardzo szeroko – czyli mętnie – rozumiane przeciwdziałanie przestępczości. Dzięki kampaniom medialnym minister zyskuje dodatkowy wpływ na debatę publiczną i możliwość napiętnowania jako

sobie wyłącznie celu poprawy stanu przestrzegania i egzekucji prawa w Polsce. Cele te lepiej pokazuje i ogrom, i wielki rozrzut aksjologicznej tematyki, jaką miele owa machina – kwestie rodziny, patriotyzmu, seksualności, wiary, sumienia, dziedzictwa, kultury i tożsamości. I to nie koniec jej pracy – bo gdy ktoś zakłada sobie takie cele, to wie też, że ich realizacja to plan nie na kadencję, ale na całe lata i dekady. A kariery tych, którzy mogą go zrealizować, będą długie – wielu z prominentnych współpracowników ministra Ziobry ledwie przekroczyło 30. rok życia. Tak powstaje przyszłe Ministerstwo Ideologii.

Jakub Dymek

Zmarł nagle

doktor WOJCIECH PAWŁOWSKI

Nasz Przyjaciel od lat studenckich.

Twórca nowoczesnego systemu opieki medycznej w Polsce.

Wybitny lekarz.

Człowiek szlachetny i oddany. Otwarty na problemy innych.

Pomocny we wszystkich życiowych problemach.

Kasiu, jesteśmy z Tobą w tych trudnych dniach.

Głęboko poruszeni

*Jerzy Domański, Joanna i Stanisław Speczikowie,
Grażyna i Krzysztof Szamałkowie*

Groźby Trumpa zawisły w próżni

Więcej amerykańskich żołnierzy w Polsce?
Lepiej niech zostaną w Niemczech

Marcin Ogdowski

Donald Trump ma z Niemcami problem. Oficjalnie chodzi o to, że Republika Federalna Niemiec nie spełnia kryterium 2% PKB, jakie państwa NATO powinny przeznaczać na obronę. Berlin wydaje zalewie dwie trzecie tej wartości (45 mld euro), „żerując” tym samym na amerykańskim parasolu ochronnym. I jakkolwiek zasadne jest oczekiwanie od Niemców większego – stosownie do potencjału ekonomicznego – wkładu w militarną siłę Sojuszu, nie sposób pominąć personalnego podłoża tego konfliktu. Trump nie znosi krytycznie nastawionej do niego Angeli Merkel i pozwala, by uraz ten wpływał na politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych.

W latach 60. na terenie RFN przebywało niemal 280 tys. amerykańskich żołnierzy. Dziś zaledwie 35 tys.

Zakładnikiem tej sytuacji stały się amerykańskie wojska stacjonujące u naszego zachodniego sąsiada. Trump zagroził bowiem, że zredukuje tamtejszy kontyngent o 10 tys. ludzi. W Polsce niektórzy politycy i publicyści przyjęli tę zapowiedź z entuzjazmem. Sygnał dała Georgette Mosbacher, amerykańska ambasador w Warszawie, sugerując, że część wycofywanych z Niemiec wojskowych mogłaby trafić do Polski. Obecnie przebywa u nas ok. 5 tys. żołnierzy US Army – sporo, ale wciąż dużo poniżej ambicji władz RP. Czy wzmocnienie amerykańskiej obecności w Polsce kosztem Niemiec stanowi dla nas kuszącą opcję? Nic bardziej mylnego.

Siły wcale niesymboliczne

W czasach największego zaangażowania – w latach 60. – na terenie RFN przebywało niemal 280 tys.

amerykańskich żołnierzy. Poważne redukcje zaczęły się wraz z upadkiem ZSRR. Każdego roku z Niemiec „znikało” od kilku do kilkunastu tysięcy Amerykanów. W 2006 r. było ich 70 tys., dziś zaledwie 35 tys. Warto zaznaczyć, że liczby te dotyczą wyłącznie mundurowych. Wielu żołnierzy stacjonuje za granicą wraz z rodzinami – stąd typowy dla amerykańskich baz (nie tylko w RFN) wianuszek osiedli otaczających militarne instalacje. Wojskowi ze Stanów są zgrupowani w siedmiu garnizonach, z których część składa się z kilku mniejszych ośrodków. Wszystkie leżą w granicach dawnych Niemiec Zachodnich. Ponad 20 tys. żołnierzy służy w wojskach lądowych, a 13 tys. w lotnictwie – resztę stanowi personel marynarki wojennej i korpusu piechoty morskiej. Tylko jedna

trzecia wszystkich amerykańskich wojskowych służy w jednostkach bojowych.

Największym związkiem taktycznym rozlokowanym w RFN jest 2. Pułk Kawalerii, którego baza znajduje się w Vilseck. Kolejnym – 12. Brygada Lotnictwa Bojowego w Ansbach. Ostatnią bojową formację stanowi 480. Dywizjon Myśliwski stacjonujący w Spangdahlem. Laikom może się wydawać, że to nieznaczące siły, a biorąc pod uwagę ogólny potencjał USA, wręcz symboliczne. Należy zatem wyjaśnić, co się kryje za tymi nazwami. Amerykańscy kawalerzyści posiadają 300 wozów Stryker; dla porównania w całej naszej armii użytkuje się 700 ich odpowiedników – transporterów Rosomak. Ponadto 2. Pułk Kawalerii to jednostka o wielkim doświadczeniu bojowym. Brygada z Ansbach ma do dyspozycji niemal setkę śmigłowców – niewiele mniej niż całe Wojska

Lądowe RP. Wśród nich są 24 maszyny szturmowe AH-64. W programie „Kruk”, od realizacji którego wciąż dzielą nas lata świetlne, przewidziano zakup 30 helikopterów o podobnej specyfikacji, słusznie zakładając, że istotnie poprawi to potencjał Wojska Polskiego. Na razie w tym obszarze możemy „pochwalić się” trzydziestką wiekowych Mi-24, dla których już od kilku lat w magazynach nie ma rakiet. Wspomniany amerykański dywizjon posiada 30 samolotów F-16 – niemal dwie trzecie tego, czym dysponują Siły Powietrzne RP. Co prawda amerykańskie myśliwce są o dekadę starsze, ale ich piloci, podobnie jak lotnicy z Ansbach, na lataniu znają się jak mało kto. Dwa miesiące temu jedna z maszyn dywizjonu osiągnęła nalot 10 tys. godzin, co jest najlepszym dowodem na intensywne użytkowanie sprzętu.

Europejskie zaplecze logistyczne

Zanim odpowiemy sobie na pytanie, czym się zajmuje reszta Amerykanów w Niemczech, warto zagłębić się nieco w historię. Dziś wiemy już znacznie więcej o tym, jak miała wyglądać amerykańska reakcja na atak ze strony armii Układu Warszawskiego. Pomińmy koncepcje z lat 60. i 70., kiedy istotą obrony byłoby zmasowane użycie broni nuklearnej (istotą ataku zresztą też). Pod koniec zimnej wojny nad Europą wisiało widmo konfliktu konwencjonalnego z ograniczonym użyciem taktycznych systemów broni atomowej. USA ani myślały dopuścić do głębokiej penetracji terytoriów swoich europejskich sojuszników. Zachodnie Niemcy miały być twardo bronione, a działania zbrojne jak najszybciej przeniesione na tereny przeciwnika. Teatrem rozstrzygających pojedynków zostałyby wówczas NRD i Polska, w mniejszym stopniu Czechosłowacja. Dalszego marszu na wschód ówczesny Sojusz Północnoatlantycki nie rozważał,



Amerykańscy kawalerzyści posiadają 300 wozów Stryker. Nz. żołnierze z 2. Pułku Kawalerii stacjonującego w Vilseck.

zakładając, że naruszenie „rdzennych” radzieckich terytoriów spowodowałoby Moskwę do niepohamowanego nuklearnego odwetu.

Pod plany obrony i kontrataku szkolono całe NATO, szykowano militarną i okolicznościową infrastrukturę. Koniec zimnej wojny przyniósł ekspansję Sojuszu na wschód, co zaowocowało budową wojskowych instalacji m.in. w Polsce i krajach nadbałtyckich. Nie zmieniło to faktu, że zaplecze logistyczne armii amerykańskiej, zdolne obsłużyć poważny konflikt zbrojny w Europie, wciąż znajduje się w Niemczech. I ma ono dla Polski kluczowe znaczenie w obliczu agresywnej polityki Moskwy, która dąży do odbudowy wcześniejszych stref wpływów. Gwarancje sojusznicze, ujęte w tzw. plany ewentualnościowe, zakładają, że w razie rosyjskiego zagrożenia na terytorium Rzeczypospolitej zostaną wysłane pięć dodatkowych dywizji Sojuszu (tyle przynajmniej wiadomo z części jawnej). Przybędą one z Niemiec, wykorzystując tamtejsze zaplecze, zgromadzony sprzęt i zapasy. Nie bez powodu to w Stuttgarcie znajduje się dowództwo wojsk USA w Europie (i kilka pomniejszych dowództw). Tam też stacjonują jednostki specjalne przewidziane

do działań na naszym kontynencie oraz w Afryce. W RFN służą żołnierze wywiadu, specjaliści od łączności międzykontynentalnej, operatorzy samolotów bezzałogowych oraz wielu wyspecjalizowanych szkoleniowców i logistyków. Tych ostatnich można znaleźć w Grafenwoehr-Hohenfels, na największym poligonie US Army w Europie. Jest on jednocześnie magazynem uzbrojenia, którego zasoby pozwalają na błyskawiczne wyekwipowanie pancernej brygadowej grupy bojowej.

Zbudowanie obronnej infrastruktury w Polsce wiązałoby się z gigantycznymi wydatkami, na które nas nie stać.

W Ramstein mieści się dowództwo sił powietrznych NATO, sama baza zaś stanowi wojskowy hub obsługujący połączenia z USA do Europy oraz tranzyt na Bliski Wschód i do północnej Afryki. Tamtejszy szpital to prawdziwy gigant, do którego zwożeni są żołnierze ranni w operacjach bojowych prowadzonych nawet kilka tysięcy kilometrów dalej. Placówka udzieliła pomocy kilkudziesięciu tysiącom poszkodowanych podczas wojen w Iraku i Afganistanie, w tym kilkuset Polakom. Wszyscy

oni zgodnie podkreślali niespotykany w Polsce, najwyższy standard usług. Innymi słowy, Trump nie ma racji, zarzucając Berlinowi wykorzystywanie USA. Jego podwładni w Niemczech mają zadania znacznie wykraczające poza ewentualną obronę RFN. W istocie tworzą oni matrycę, która po uzupełnieniu posiłkami zza oceanu pozwoli na realizację zobowiązań wobec całej sojuszniczej wspólnoty, będąc jednocześnie gwarantem amerykańskiej obecności w Europie. Jej osłabienie oznacza *de facto* wejście na ścieżkę izolacjonizmu i marginalizacji kraju mającego ambicje globalnego mocarstwa.

Dobra wiadomość dla Polski

Jak na taką perspektywę reaguje Pentagon i sami wojskowi? Resort obrony oficjalnie nie komentuje sprawy redukcji kontyngentu w Niemczech. Milczą też wyjątkowo powściągliwi amerykańscy generałowie. Ich głosem są oficerowie najwyższych rang, będący już poza służbą. Ben Hodges, były dowódca sił lądowych USA na kontynencie europejskim, nie bawi się w konwenanse. Zamiary Trumpa to w jego ocenie „prezent dla Kremla”. Tego typu opinie wyrażają również inni emerytowani generałowie, wśród których znalazł się sam Colin Powell – dawny szef Kolegium Połączonych Sztabów, najwyższy rangą dowódca US Army. Powell, sekretarz stanu z czasów pierwszej prezydentury republikanina Busha Juniora, zarzucając Trumpowi rujnowanie polityki zagranicznej USA, zapowiedział wręcz, że

w nadchodzących wyborach zagłosuje na kandydata Partii Demokratycznej, Joe Bidena. Za tymi słowami kryje się nadzieja na przegraną ubiegającego się o reelekcję prezydenta. Wówczas bowiem – wobec sprzeciwu demokratów na wyjście Amerykanów z Niemiec – sprawa sama się rozwiąże.

Tymczasem sondaże nie dają Trumpowi wielkich szans na zwycięstwo. Biden ma nad nim co najmniej 9%, a w niektórych badaniach nawet 14% przewagi. Co więcej, dominacja

► demokracja utrzymuje się już od jesieni ubiegłego roku. Donald Trump jako przywódca nie sprostął wyzwaniu, jakim okazał się COVID-19, który do tej pory zabił ponad 130 tys. Amerykanów, a kilkanaście milionów – na skutek zamrożenia gospodarki – odesłał na bezrobocie. Nie przysłużyły mu się także nonszalanckie reakcje na masowe protesty po zabójstwie

zrobił. Białe Dom zaprzecza prezydenckiej obstrukcji, co nie zmienia faktu, że na forach militarnych za oceanem o głowie państwa pisze się już per „zdrajca”.

Amerykańskie wybory odbędą się w listopadzie. Tysiący ludzi – żołnierzy i ich rodzin – nie da się wyprowadzić z Niemiec z miesiąca na miesiąc, a oficjalny rozkaz odwrotu

które nas nie stać. I w których nikt, łącznie z Amerykanami, nie zamierza partycypować. Inna sprawa to zasadność takich inwestycji w kraju frontowym. Niezależnie od aliansów, głęboką operacyjną dla wojsk sojuszników może być w najlepszym razie połowa naszego kraju. W obecnym układzie geopolitycznym – ta położona na zachód od Wisły. Reszta – jeśli nie całość – stanie się polem bitwy. Sytuację Polski w tym kontekście można porównać do miasteczka, które chciałoby się obłowić na rozbiórce szpitala w sąsiedniej miejscowości. Co z tego, że weźmiemy do siebie trochę sprzętu i kilka osób z personelem? *Per saldo* nasze zdrowotne bezpieczeństwo na tym straci. Bo choć nasza przychodnia zyska sposobność gipsowania prostych złamań, z udarem czy rozległym zawałem i tak sobie nie poradzi. A ogołoceny szpital za miedzą nam w tym nie pomoże...

Marcin Ogdowski jest wydawcą portalu Interia.pl, pisarzem, specjalistą ds. wojskowych. Przez kilkanaście lat pracował jako korespondent wojenny.

Szpital w Ramstein udzielił pomocy kilkudziesięciu tysiącom poszkodowanych podczas wojen w Iraku i Afganistanie, w tym kilkuset Polakom.

George'a Floyda, a zwłaszcza groźby użycia armii wobec cywilów. Amerykański prezydent podpadł też wojskowym swoją beczynościami. Kilka dni temu „New York Times” ujawnił proceder, jakiego dopuszczały się rosyjskie specjalskie służby w Afganistanie. Rosjanie opłacali talibów, by ci atakowali i zabijali Amerykanów. Zdaniem gazety Trump wiedział o wszystkim od wiosny zeszłego roku – i nic nie

jeszcze nawet nie został wydany. Groźby Trumpa zawisły więc w próżni i wiele wskazuje na to, że tam pozostaną. Dla Polski byłaby to dobra wiadomość. Możemy bowiem pomarzyć o sprawnej realizacji planów ewentualnościowych, jeżeli za Odrą nie będzie infrastruktury zdolnej obsłużyć idące nam na odsiecz wojska. Jej zbudowanie w Polsce wiązałoby się z gigantycznymi wydatkami, na

CZY WIESZ, ŻE...

GRZMOT BURZY HUCZY Z NATĘŻENIEM PORÓWNYWALNYM DO HAŁASU PODCZAS STARTU MYŚLIWCA.

A CZY WIESZ...

GDZIE JUTRO ZAGRZMI?



interia POGODA

SPRAWDŹ POGODĘ NA INTERII! PROGNOZA DLA 3 MILIONÓW MIEJSC

SPRAWDŹ SIĘ!



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Rynkowe media śmietniskowe

Z powodu pandemii trochę przycichła dyskusja o tzw. fake newsach. Szukano ich źródła w działalności jakichś zorganizowanych grup hakerskich lub w złej woli czy złośliwości części użytkowników sieci. Ja sam łączyłem nadejście wieku postprawdy z mechanizmem rynku kapitalistycznego, wedle którego nieważna jest treść, ważna sprzedawalność. Jeśli nieprawdziwe wiadomości lepiej się sprzedają niż wiadomości prawdziwe, to z punktu widzenia rynku wszystko jest w porządku – zarabiamy. Kryterium prawdy i fałszu nie ma zastosowania tam, gdzie w grę wchodzi zysk. Dziś mi się wydaje, że za narodziny czasów postprawdy w równej mierze odpowiada inne zjawisko. Idzie mi o wymieszanie wiadomości ważnych i nieważnych, o swoisty miszmasz, z jakim mamy do czynienia w dzisiejszych mediach. Oto otwieram stronę internetową poważnej gazety i czytam zestaw wiadomości widniejących na pasku z boku. Informacje o decyzjach przywódców Unii Europejskiej następują tam po wiadomościach o ciąży pani X, która jest celebrytką, czyli osobą znaną z tego, że jest znana; wyniki wyborów w jakimś kraju sąsiadują z wiadomością o tym, że in-

na celebrytka pokazała się bez makijażu, dane o ostatnich ofiarach koronawirusa – z wiadomością o rozbiciu samochodu przez piłkarza jednej z drużyn futbolowych. Czytelnik tak zestawionych informacji może odnieść wrażenie, że są one równie ważne, skoro zostały umieszczone obok siebie przez poważną przeciw gazetę. Wrażenie to nie zaszkodzi wiadomościom o celebrytach, jak były one nieistotne, tak pozostaną nieistotne, ale ma fatalny skutek dla tych doniesień, które są ważne, choćby dlatego, że dotyczą ważnych spraw – tych, które decydują o naszym życiu. Tracą one bowiem swoją wagę i znaczenie, gdy tylko znajdą się w tym śmietniku informacji, jakim coraz bardziej stają się dzisiejsze media. Fatalnym wzorem jest tu oczywiście internet, ten arcyśmietnik, gdzie to, co istotne, jest doskonale wymieszane z tym, co niewarte uwagi. I tak jak w prawdziwym śmietniku da się tu wyłowić skarby, ale na ogół można jedynie się ubrudzić.

Co odpowiada za naszkicowaną powyżej sytuację? Zmiana sposobu kwalifikowania informacji jako godnych upowszechnienia. Kiedyś decydowali o tym ci, którzy się na czymś znali (fachowcy, eksperci), dziś decyduje rynek. Charakterystycznym przykładem tej zmiany mechanizmu

jest dopuszczanie do rozpowszechniania utworów muzycznych, tekstów literackich czy filmów. Kiedyś np. trudno było nagrać płytę, bo o tym decydowali redaktorzy muzyczni poszczególnych wytwórni, którzy z reguły znali się na muzyce i odsiewali to, co dobre, od tego, co złe. Dziś każdy może wydać płytę, a o jej wartości decyduje sprzedawalność. W ten sposób rynek zastąpił ekspertów w dziele selekcji materiałów informacyjnych i zalewa nas falą grafomanii, idiotycznych filmów i fatalnych piosenek. Podobnie w mediach kompetentnych redaktorów coraz częściej zastępuje rynek, w przypadku wydań internetowych objawiający swoją moc przez mechanizm klikalności. W każdym przypadku coraz bardziej chodzi o sprzedaż i zysk, a nie o jakość w jakimkolwiek sensie. Rynek stopniowo staje się ostatecznym arbitrem tego, co dobre w sensie artystycznym, jak i tego, co ważne i nieważne w sensie informacyjnym. W ten sposób to, co dobre, jest nieuchronnie wypierane przez to, co marne, a to,

co ważne, przez to, co nieistotne. Następuje powolny, ale stały proces spadku poziomu mediów, a zatem także spadku poziomu intelektualnego odbiorców,

Ludzkość ma coraz więcej narzędzi rozmowy i coraz mniej sobie do powiedzenia.

którzy są przez owe media kształtowani. Coraz głębsze treści medialne tworzą coraz głębszą publiczność, a ta domaga się coraz głębszych informacji. Nie fałszywych, ale właśnie głębszych. To zatem nie tyle fałsz wypiera prawdę, ile trywialność wypiera istotność. Tandeta informacyjna staje się normą, a dobry towar w postaci rzetelnych informacji i głębokich komentarzy jest coraz rzadszy, a gdy już jest – unieważnia go ogólny kontekst trywialno-zabawowy. Realizuje się miszmaszowy charakter sporej części dzisiejszych mediów spowodowany ich motywowanym chęcią zysku przejściem od bycia filtrem do bycia zaledwie kanałem przekazu. Wszystko to przyczynia się do ogólnego upadku ludzkości, która staje się coraz lepiej wyposażona w techniczne sposoby komunikowania i coraz głupsza. Ma coraz więcej narzędzi rozmowy i coraz mniej sobie do powiedzenia. Na zgłiszczach prawdy, powagi i mądrości powiewa już jedynie sztandar kapitalistycznej chwały: tabelki z klikalnością, słuchalnością, cytawalnością i zestawieniem miesięcznych zysków.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Kuchnia rzecznika

Do zagospodarowania jest tradycja różnorodności regionów Polski

Rozmawia Bartosz Bartosik

Przez pięć lat w funkcji Rzecznika Praw Obywatelskich pan i pracownicy pańskiego biura zjeździliście Polskę wzdłuż i wszerz. Czego się nauczyliście o Polsce i o Polakach w tym czasie?

– Poznawanie lokalnych spraw, wspieranie społeczności i pomoc w rozwiązywaniu problemów uznaję za swoje główne zadania jako rzecznika praw obywatelskich. Jeśli chodzi o naukę, jaką z tego wyciągnąłem, to może jest banalna, ale zdałem sobie sprawę, w jak wielkim kraju żyjemy. Przejechanie z Warszawy do Świnoujścia samochodem to osiem godzin jazdy, a do Zgorzelca czy w Bieszczady niewiele mniej. 16 województw, kilkaset powiatów i ponad 2 tys. gmin

Stargard ma najlepszy system wsparcia dla osób starszych.

to mnóstwo miejsc do odwiedzenia. Nawet jeśli ktoś naprawdę się przyłoży, żeby Polskę porządnie poznać w całej jej różnorodności, to prawdopodobnie mu się to nie uda. A w każdym razie jest to bardzo trudne. Mam tutaj w biurze taką mapę...

... na której zaznacza pan pinezkami miejsca, które jako Biuro odwiedziście? Sporo ich. I nawet nie można zażartować, że widać podział na zabory.

– Prawda, że równomiernie zjeździliśmy nasz kraj? Najlepsze w tych podróżach było poznawanie ludzi. Okazuje się, że w każdym z niezliczonych zakątków Polski mieszka wielu świetnych ludzi – aktywnych, zaangażowanych, którzy dbają o swoją wspólnotę, tworzą organizacje, zakładają nowe inicjatywy. Wielu z nich nie ma szans, żeby się przebić do opinii publicznej. (...)

Niech pan opowie o takich ludziach, organizacjach czy samorządach, którym trudno o uwagę ogólnopolskich mediów.

– Z czym się panu kojarzą Wieruszów i Jarosław?

Wieruszów chyba ze zjazdem z autostrady S8, a Jarosław to podkarpackie miasto ze średniowiecznym rodowodem.

– No dobrze, a czy wiedział pan, że obie miejscowości charakteryzują się wzorcowymi metodami wspierania osób z niepełnosprawnościami? W Wieruszowie istnieje cały system wsparcia dla tych osób na każdym etapie rozwoju – od edukacji szkolnej po wejście na rynek pracy. Zaangażowani są w to lokalni politycy, starosta, MOPS, spółdzielnia socjalna, szkoły i organizacje pozarządowe, lokalny biznes. Wszystko jest bardzo fajnie poukładane dzięki liderom, którzy ten system stworzyli, uzyskali dobre kontakty, wyedukowali się i zapewnili temu finansowanie.

W Jarosławiu z kolei wspaniale działa podobny system wspierania osób z niepełnosprawnością intelektualną. W mieście istnieje prężny oddział Polskiego Stowarzyszenia Osób z Niepełnosprawnością Intelektualną, wokół którego powstało kilka spółdzielni socjalnych i innych inicjatyw, zajmujących się świetnymi rzeczami i prowadzących podmioty ekonomicznej społeczności. Akurat kiedy u nich byłem, dostali kontrakt z niemieckiego supermarketu budowlanego na budowę tysięcy ogrodowych uli pszczelich dla pszczoł murarek. To oczywiście przekłada się na zatrudnienie i rozwój przedsiębiorstwa. **Skoro jesteśmy przy temacie osób z niepełnosprawnościami intelektualnymi, to w Pucku powstał kilka**

lat temu jeden z pierwszych na świecie browarów, założony przez spółdzielnię socjalną, zatrudniający takie osoby. (...)

– W Pucku byłem jedynie w hospicjum stworzonym przez ks. Jana Kaczkowskiego. O browarze nie słyszałem. (...) Jeśli mowa o Pomorzu, to przypomina mi się z kolei Stargard, który ma najlepszy system wsparcia dla osób starszych. W Stargardzie z założenia nie wybudowano żadnego domu pomocy społecznej, za to całą energię i środki przeznaczono na rozwój mieszkań wspomaganych i całonocnego wspierania osób starszych. Z kolei w samym centrum Konina miasto oddało dwie kamienice na rzecz budowy centrum wsparcia organizacji pozarządowych. Z tej przestrzeni korzysta kilkadziesiąt organizacji, mieszczą się tam rady seniorów, stowarzyszenia miłośników gier planszowych czy hotel działający w ramach spółdzielni socjalnej itd. To nadzwyczajne, że w Polsce takie wspaniałe rzeczy wychodzą.

A jaki jest na to przepis? Po prostu szczęśliwym trafem znajduje się w miejscowości człowiek z wizją, szuka sojuszników i zaczyna organizować życie miejskie?

– Nie ma na to jednego przepisu, ale faktycznie widać potrzebę liderów, którzy odpowiednio wzmocnieni i dostrzeżeni rozwijają życie społeczne w swoim mieście. To wzmacnianie jest bardzo ważne, by gdy się taka liderka czy lider trafi, trzeba dać jej/mu narzędzia i przestrzeń do działania. Dlatego doceniam takie organizacje jak Szkoła Liderów, Polsko-Amerykańska Fundacja Wolności, Center for Leadership Academy, które wyławiają liderów z całej Polski, spotykają ich ze sobą i wzmacniają.

Adam Bodnar – dr hab. nauk humanistycznych, profesor prawa na Wydziale Prawa Uniwersytetu SWPS w Warszawie. Od lat angażuje się w obronę praw człowieka. W 2015 r. został rzecznikiem praw obywatelskich. Wcześniej był wiceprezsem Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.



ADAM BODNAR
– rzecznik praw obywatelskich

Od razu przypomina mi się Marcin Skonieczka, wójt gminy wiejskiej Płużnica, położonej w województwie kujawsko-pomorskim, tuż przy autostradzie A1. On trafił na jedną z podobnych akademii i stał się jej bohaterem, w którego zapatrzeni są wszyscy warszawscy absolwenci, bo zobaczyli, jak świetnie potrafi się rozwinąć niewielka gmina pod rządami dobrego gospodarza. (...)

Niedaleko od Płużnicy są Nowe Marzy, gdzie podobne sukcesy jak Skonieczka osiąga ambitna i zaangażowana sőtyska Dorota Dembińska. Gdy z kolei pojedziemy na zachód do Wielunia, spotkamy Agnieszka Woliczkę-Mysakowską, która wbrew wszystkim przeciwnościom dba o pamięć o wieluńskich Żydach. W okolicach Piły Krystyna Lemanowicz i Irena Sienkiewicz dzielnie walczą o czyste środowisko w starciu z moźnym i znanym biznesmenem (zresztą wspieranym przez słynną adwokat Joannę Turczynowicz-Kierytło). Mógłbym tak długo wymieniać... (...)

Na co mogą liczyć ludzie ze strony rzecznika?

– Dam panu przykład. Oliwer Palarz to aktywista z Rybnika, który twierdzi, że gigantyczny poziom zanieczyszczenia powietrza narusza jego prawo do życia w czystym środo-

wisku. Sprawa jest precedensowa, dołączyliśmy do niej przed sądem drugiej instancji. Mecenaz Zuzanna Rudzińska-Bluszcz z Biura RPO pojechała do Gliwic na rozprawę, podczas której sąd okręgowy zadał pytanie prawne Sądowi Najwyższemu, czy możemy o prawie do życia w czystym środowisku mówić jako o chronionym dobru osobistym. To naprawdę wielka sprawa, że udało się nam doprowadzić do zainteresowania SN sprawą tak kluczową dla życia naszego społeczeństwa. Liczę, że wyrok potwierdzi istnienie takiego prawa. (...)

W Jarosławiu wspaniale działa wspieranie osób z niepełnosprawnością intelektualną.

To znaczy, że nie tylko obywatele potrzebują rzecznika, ale również rzecznik potrzebuje obywateli.

– Jasne, że tak. To niezwykle ważne z perspektywy higieny urzędnika państwowego, gdy czuje sprawczość swojej funkcji. Okazuje się, że dużo łatwiej wpłynąć na bieg rzeczy i pomóc mieszkańcom na poziomie lokalnym niż na centralnym. Gdy się pojedzie do mniejszych miejscowości, można pomóc w walce z jakąś fabryką zanieczyszczającą

środowisko, można napisać pismo wspierające walkę o prawa osób z niepełnosprawnościami czy poszukać rozwiązań dla górników z kopalni węgla brunatnego, pozbawionych prawa do wcześniejszych emerytur. Te spotkania są ważne. (...)

O pamięci, o dbaniu o tożsamość i historię najczęściej mówi prawica.

– Zgadza się. O ile prawica bardzo chętnie odwołuje się do tych pojęć, czyniąc z polityki tożsamościowej ważny punkt swojego programu, o tyle lewica głównego nurtu z tych pól niemal zupełnie abdykowała. Uważam, że to błąd. Przecież tożsamość i historia to kwestie ważne dla niemal każdego człowieka pragnącego świadomie przeżywać własną obywatelskość. Nie da się budować wspólnotowości tylko na tym, co ważne dzisiaj. Tradycja może być pięknym źródłem inspiracji.

Zwłaszcza że nowożytny polski patriotyzm zrodził się ze sporu ruchu socjalistycznego i konserwatywno-ziemiańskiego oraz ludowego, ale wiele elementów wziął właśnie z tego pierwszego. Powiązanie go z tradycją buntu, połączenie kwestii narodowej z socjalną, a więc solidarność z grupami wykluczonymi i pogardzanymi, troska o egalitaryzm – wszystko to ma korzenie w dawnych ruchach lewicowych z czasu zaborów.

– Dlatego uważam, że troska o wspólnotę musi się opierać na mądrej polityce tożsamościowej, odwołującej się do pięknych kart naszej historii i uznającej ciemne karty za przestrożę na przyszłość. Trzeba przy tym odwoływać się do różnych tradycji patriotycznych. Z jednej strony

warto wracać do idei patriotyzmu konstytucyjnego, dumy z naszej tradycji demokratycznej i pięknej konstytucji. Rzecz w tym, że taki model patriotyzmu bywa niezrozumiały i zbyt abstrakcyjny, by pociągnąć za sobą masy. Dlatego uważam, że dziś w Polsce wielkim tematem do zagospodarowania na poziomie ogólnokrajowym jest tradycja różnorodności i wyjątkowości poszczególnych regionów Polski. Sądzę, że te tematy leżą naturalnie w obrębie

- zainteresowań lewicy, choć nie znaczy to, że inni nie mogą na nich budować. (...)

W pewnym momencie naszego rozwoju tak się zachłystaliśmy Zachodem, że wszystko, co typowo polskie, uznaliśmy za obciachowe. Dziś ten trend może się nie odwracać, ale przynajmniej powoli wyrównuje. (...)

– Myślę, że u nas to odcięcie się od tradycji folklorystycznych ma głębsze korzenie i sięga jeszcze czasów kształtowania tożsamości narodowej. Wtedy postawiliśmy na jednolitość, częściowo odcinając się od innych narodowości zamieszkujących nasz kraj, a także odwoływaliśmy się mocno do tradycji szlacheckiej kosztem ludowej. Byłoby wspaniale, gdybyśmy dziś zaczęli nasze regionalizmy przekładać na system edukacji. Mam wrażenie, że na razie budujemy tylko ogólne wyobrażenie cepelii i wzoru łowickiego. A mamy do zaoferowania znacznie więcej.

Na przykład co?

– Wspaniałą kuchnię!

Co pan poleca z naszej kuchni regionalnej?

– Niemal każdy region ma swoje potrawy certyfikowane, warto ich próbować. Mamy różne sery lokalne, oscypki, ser koryciński, kulebiaki, obwarzanki krakowskie, lubelskie cebularki, kluski śląskie itd. Uwielbiam te potrawy, zwłaszcza śląskie. (...)

Najciekawsze, że człowiek sobie często nie zdaje sprawy, jak ważne są te kwestie, dopóki nie wyjedzie za granicę i nie zobaczy ich tam w nowym świetle. Do mnie to dotarło podczas podróży do Norwegii. W moim gabinecie wisi dyplom fundacji Rafto, zajmującej się prawami człowieka. Ta nagroda jest wręczana w Bergen (...). W ceremonii wręczenia nagrody uczestniczyła duża liczba młodych ludzi, studentów lokalnego uniwersytetu, jak również sporo emerytów. Wszyscy byli ubrani w stroje narodowe (...). Tak wyrażają swoją norweskość, chłopskie pochodzenie z jednego czy drugiego regionu. To bogate społeczeństwo, które – gdyby przy-

jąc tylko myślenie w kategoriach ekonomicznych – nie musi inwestować w takie tradycje. (...)

Pewnie polska tradycja wieloetniczna nigdy nie odrodzi się w takim stopniu, jak to miało miejsce przed II wojną światową, ale imigranci szukający w Polsce pracy i perspektyw zaczynają powoli zmieniać nasz kraj.

– I zasympują dziurę, która powstała w wyniku emigracji Polaków z kraju na Zachód. Dziś wiele osób z Ukrainy, Białorusi, Indii, Bangladeszu i Nepalu, które do nas przyjechały, zaczyna tu zakładać rodziny i zapuszczać korzenie. To czas, w którym trzeba otoczyć ich szczególną opieką i zapewnić godne miejsce w społeczeństwie. (...)

Fragmenty książki
Adama Bodnara i Bartosza
Bartosika *Obywatel PL*,
Mando, Kraków 2020



JESTEŚMY SĄSIADAMI. RAZEM MOŻEMY POKONAĆ EPIDEMIE

Wszyscy mamy trudny czas. Martwimy się o zdrowie, o bliskich, o pracę – ale wierzymy, że wkrótce będzie lepiej. Dookoła mieszkają **życzliwi ludzie**. Uśmiechnijmy się do siebie!

Jesteśmy grupą sąsiadów, która **uruchamia wspólnotę na naszym piętrze**. Będziemy współdziałać, by wszystkim było lepiej. **Chcesz się przyłączyć? Potrzebujesz pomocy?**

Zadzwoń albo napisz, byśmy mogli nawiązać kontakt
Zrób zdjęcie naszych numerów.

Imię, numer mieszkania, numer telefonu

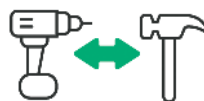
Imię, numer mieszkania, numer telefonu

Imię, numer mieszkania, numer telefonu

CO MOŻEMY ROBIĆ:



Wspólne zakupy,
by obniżyć
ryzyko zarażenia
wirusem



Pożyczanie
narzędzi
do drobnych
napraw



Rozmowy
sąsiedzkie,
by utrzymać
kontakty



Zajęcia zdalne
dla dzieci,
by odciążyć
rodziców

WYTNIJ I POWIEŚ
W TWOIM SĄSIEDZTWIE

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Już za pięć lat wybory

Wiadomo, wiadomo – wybory tuż-tuż przed nami, decydujące starcie, cywilizacja prawicy najprawicowszej kontra cywilizacja prawicy cywilizowanej, ale nie chcę wchodzić w konieczność namawiania, tłumaczenia się, zachęcania. Mając z jednej strony – trudno nie mieć – gorzkie poczucie rozczarowania związane ze słabym wynikiem Roberta Biedronia, z drugiej strony – ta historia już za nami, elektorat lewicy, jak wiadomo, gotów pójść za jej postulatami w wyborach parlamentarnych, w prezydenckich kieruje się inną logiką niż identyfikacja, wierność i podporządkowanie. Wybiera racjonalnie, na chłodno kandydata z szansami – może i szkoda, pewnie tak – trudno. Dobrze ten fakt zauważyć, tendencję odnotować, wnioski wyciągnąć. I trochę o tym chciałem powiedzieć.

Teoretycznie rzecz biorąc, nie powinien dziwić fakt, że wybory prezydenckie odbywają się w Polsce co pięć lat. A chwilami można odnieść wrażenie, że jest to jakieś zaskoczenie, że spada z nieba, że to nagły wybryk natury politycznej, że zwyczajem drogowców daliśmy się zaskoczyć czymś, co jest stałym punktem kalendarza demokratycznego. Co prawda, polska polityka rzadko sięga tak daleko w przyszłość jak pięć lat, ale może warto to zmienić? Może więc wśród wielu innych, często ważniejszych punktów planu pracy na lata, warto realizować projekt wybory 2025? Nie da się ostatecznie przewidzieć ani wykluczyć, że w ciągu tych pięciu lat pojawi się nagle niezwykle kandydatka/niezwykły kandydat i będzie oczywiste, że lewica na nią/niego postawi i już. Raczej dobrze jest założyć, że będzie to ktoś, kto już dziś jest w polityce, kto może do takiej roli aspirować, przygotowywać się do niej i spokojnie przez te kilka lat po prostu się przysposabiać. Być może równie ważne jest samooswojenie się z myślą,

że pretendująca/pretendujący chce tego i naprawdę zawalczy, że zrobi wszystko.

Zawsze pozostaje dylemat między świeżością (atrakcyjna dla mediów) a doświadczeniem i osiągnięciami. Czy ma to być sprint po prezydenturę, czy meta maratonu? A może inna metafora byłaby trafniejsza? Może wybór kandydatki (tak zresztą lewica deklarowała przed tegorocznymi wyborami, potem wykonała unik po zgłoszeniu kandydatury marszałkini Małgorzaty Kidawy-Błofskej) oprócz efektu oswojania elektoratu z takim „radykalnym” pomysłem mógłby owocować też całym procesem

wiedniego mężczyzny) należy ogłaszać nazwisko osoby pretendującej w 2025 r. Może takie rozwiązanie, choć niepraktykowane dotąd przez żadną formację, warte jest zachodu, przemyślenia, wypróbowania? Może, żeby nie mieć za pięć lat tak skwaszonej miny jak obecnie, dobrze byłoby wypróbować inny mechanizm i tempo wyłaniania kandydatki/kandydata? Jeżeli szybka ścieżka wyborcza nie działa, to może długi marsz po prezydenturę? Oswojenie pretendenta ze wszystkim, co z taką mocą (często niszczącą) uderza podczas samej kampanii? Nie wiem. Sam się zastanawiam.

Za pięć lat chciałbym widzieć kandydaturę kogoś, kto jest do roli prezydenta przekonany i dobrze przygotowany.

przyciągania i zainteresowania taką kandydaturą świata wyborczyń, które dzisiaj zdane są – lepiej nawet powiedzieć skazane – na męskich reprezentantów. A tak być nie musi Anno Domini 2025. Może zatem zamiast tej zaskoczki, niespodzianki, odkrycia, paroletnia inwestycja, jawności, przyzwyczajanie konserwatywnego świata do takiego pomysłu? Gdyby bez wchodzenia spojrzeć na ostatnie dwa pomysły kandydatur lewicy i wyniki wyborcze, można by zobaczyć, że efekt zaskoczenia, nieoczywistości kandydatów nie jest aż tak wartościowy i niezwykły. Może więc czas na coś wypracowanego, konsekwentnie wspieranego, systemowo umocowanego, choć trochę nudnawego?

Nie wiemy oczywiście, w jakiej kondycji będzie dzisiejsza konstelacja lewicowego triumwiratu, jakie będą zmieniające się kierownictwa, ale może pomysł na pretendenci/pretendentów mógłby być silniejszy i trwalszy niż dożalne fluktuacje, przetasowania, gry? Nie twierdzę, że nazajutrz po wygranych wyborach prezydenckich 2020 r. przez

Chciałbym w takim miejscu widzieć za pięć lat (jeśli to będzie jeszcze możliwe) kogoś, kto jest do tej roli przekonany, dobrze przygotowany, kogo nie trzeba przedstawiać i prezentować. Czyli chodzi o to, żeby w wyborach prezydenckich 2025 r. startowała z list lewicy... I tu czekamy na Państwa pomysły.

Wszystkiego dobrego przed drugą turą wyborów prezydenckich w Polsce 2020.

Mit Tischnera

Fałszywa jest teza, że polski Kościół znalazł się na skraju przepaści, bo nie posłuchał przestróg krakowskiego filozofa

Kościół w Polsce jest dziś bardziej reakcyjny, niż był w latach II Rzeczypospolitej, kiedy mimo sojuszy z szowinizmem i antysemityzmem można było w nim odnaleźć także nurty progresywne społecznie i gospodarczo. Czy istnieje jakaś opcja w dzisiejszym Kościele dla lewicowych chrześcijan? Stawiam to pytanie dlatego, że w 26. numerze PRZEGŁĄDU w tekście „Tischner wygrał, przegrał Kościół” Jarosław Makowski wyraził opinię, że polski Kościół znalazł się na skraju przepaści, bo nie posłuchał przestróg „swojego proroka”, Józefa Tischnera, i poszedł inną drogą niż ta, którą wskazywał kapelan Solidarności. Uważam, że teza autora jest fałszywa i służy podtrzymaniu pewnych starych mitów. Zmuszony do wyboru między Kościołem Franciszka a Kościołem Jana Pawła II bez chwili wahania wybrałbym ten pierwszy, ale nie sądzę, by swoim przesłaniem Tischner przybliżył nas do niego, a tym bardziej oddalał od obecnego Kościoła w Polsce, który jest przecież dalszym ciągiem tego drugiego.

Kościół Tischnera?

Tymczasem opublikowany w PRZEGŁĄDZIE tekst, powołując się na słowa Jana Pawła II, przywołane wcześniej przez Tischnera, kreuje jakieś dwa równoległe światy – nurt ewangeliczny i nurt katechizmowy – sugerując, że istnieją w Polsce dwa typy religijności, dwie odpowiadające im teologie i dwa Kościoły, dorzucając następujący komentarz: „Zobaczmy, jak inaczej oba te nurty interpretują tekst biblijny – tu będzie to scena ukrzyżowania Jezusa. W nurcie »katechizmowym« ukrzyżowanie jest kolejnym dowodem na nędzę człowieka i lęk przed człowiekiem, który nie wzdraga się przed zbrodnią bogobójstwa. W nurcie ewangelicznym ukrzyżowanie jest argumentem za wielkością człowieka. Pierwszy punkt widzenia pobudza pokusę manichejską, drugi jest punktem widzenia łaski. Te dwa sposoby widzenia przekładają się na sposób wychowania religijnego”.

Nie są to moje dylematy i trochę dziwnie to wygląda na stronach lewicowego tygodnika opinii, ale



mniejsza o to. Nie mam zamiaru włączać się w tę – pozorną moim zdaniem – debatę między nurtem „katechizmowym” a „ewangelicznym”, ale na tyle znam teologię katolicką, by wiedzieć, że przytoczona wyżej wypowiedź zawiera argument, który z punktu widzenia doktryny Kościoła nie ma wartości. Nie będę wdawać się w spory egzegetyczne. Nie ukrywam, że piszę o Kościele w Polsce z perspektywy świeckiej i socjologicznej, a nie wyznaniowej i teologicznej. Bardziej niż ten pozorny spór interesuje mnie pytanie, na ile polski Kościół, który zdobył tak ogromną pozycję w kraju, wpłynął w sposób pozytywny na jakość współżycia społecznego? Jako agnostyk potrafiłbym mimo wszystko docenić jego rolę pod tym względem.

Słyszeliśmy już zapewnienia, że istnieje jakiś lepszy Kościół „otwarty”, którego patronem jest Jan Paweł II. W takim razie skąd się wziął ten gorszy? Tischner nie był szeregowym księdzem. Brano go nawet pod uwagę jako ewentualnego prymasa. Uchodził za duchowego patrona masowego ruchu. Zasięg jego wpływu – mierzony nie tylko ogromną liczbą egzemplarzy sprzedanych książek, które są częścią swoistej „korporacji Tischner”, ale

oddziaływaniem kapłańskim, a także pozycją zajmowaną w polskim życiu społecznym przez wielu ludzi z dawnych i obecnych elit intelektualnych, politycznych i kościelnych, którzy uważają się za jego spadkobierców – jest trudny do przecenienia. Jak to możliwe, że mimo tego ciężaru gatunkowego dzieła mistrza i jego uczniów, Kościół w Polsce nie stał się dzięki ich wspólnej misji lepszy?

W jeszcze większym stopniu to samo pytanie uprawnione jest w odniesieniu do postaci Karola Wojtyły. Przecież był papieżem. Kościół to nie demokracja. Jak więc możliwy był ten nieewangeliczny Kościół? W jaki sposób wyrósł na terytorium tak bliskim sercu „polskiego papieża”, na „tej ziemi”? Co takiego się stało, że na jego wezwanie Duch Święty zstąpił i odnowił oblicze ziemi, ale już nie dał rady odnowić oblicza polskiego Kościoła?

Otóż w samym założeniu opowieści o dwóch Kościołach tkwi fałsz. Polski Kościół nie jest tym, czym się stał, bo nie posłuchał Tischnera czy też zszedł z drogi wyznaczonej przez Wojtyłę. Przeciwnie, gdyby nie skrajnie konserwatywny papież, panujący przez ponad 30 lat; gdyby nie skutki jego nominacji biskupich; gdyby nie

propagowany przez niego powierzchowny katolicyzm, wymagający od wiernych demonstrowania uległości, posłuszeństwa i bezrefleksyjnego udziału w zewnętrznej, odruchowej religijności, nie byłoby w Polsce tego, co w cytowanym tekście nazywano nurtem katechizmowym, co inni nazywają Kościołem toruńskim, a co dziś trafniej można nazwać Kościołem narodowej krucjaty pseudo-moralnej. Nie byłoby feudalnego stosunku proboszczy do parafian, nie byłoby wykluczania i potępienia całych grup społeczeństwa, nie byłoby kleru zaangażowanego w politykę historyczną i w ogóle w politykę. Ani też nadużyć i dumnego panoszenia się księży, nie mówiąc o innych patologiach, które dopiero zaczęły wychodzić na jaw. Nie byłoby Kościoła chciwego, pazernie korzystającego z reprivatyzacji i państwowego rozdawnictwa. Nie byłoby Kościoła zatłoczonego, w którym widać nie braterską wspólnotę wiernych, tylko milczący tłum obcych.

Kapelan Solidarności i analityk komunizmu

Tischner uchodzi za duchowego przewodnika Solidarności. Jego kazanie wygłoszone na historycznym zjeździe związku włączono do oficjalnych dokumentów organizacji, a teksty drukowane w 1980 r. w „Tygodniku Powszechnym”, wydane

i zdeprawowanych realiach totalitarnej PRL. Tej sakralizacji iluzorycznej wspólnoty towarzyszyła demonizacja realnego kraju i ludzi. Tym większa była zasługa Solidarności, im większa była „zbrodnia” PRL. Ale to przecież dokładnie ten sam manichejski schemat dwóch światów, dobrego i złego, który w cytowanej wypowiedzi przypisano nurtowi „katechizmowemu”. Ani w jednym, ani w drugim przypadku Tischner nie zbliżył się do rzeczywistości, pozostając w sferze zjawisk urojonych. Natomiast

Na początku lat 90. Tischner zdezauduował mit Solidarności, potępiając próby oporu bezbronnego społeczeństwa wobec terapii szokowej.

pisząc w ten sposób, przyczynił się do ugruntowania mitu Solidarności.

Dekadę później sam go zdezauduował, potępiając próby oporu bezbronnego społeczeństwa wobec terapii szokowej jako przejaw recydywy roszczeniowego motłochu, *homo sovieticus*. Opisywał go w typowy dla siebie sposób: „Przed wszystkim była to istota jednowymiarowa, dla której nie istniał wymiar wertrykalny egzystencji ludzkiej, lecz wszystko co najważniejsze mieściło się na tej ziemi. Można powiedzieć: istota sterroryzowana [*sic!*]”. Tischner przywłaszczył sobie pojęcie wymyślone przez Aleksandra Zinowjewa, przy okazji odzierając je z zamierzonej ironii i przewrotności autora. Spłycił je i zbanalizował. Nie mógł

u etyka Solidarności odruch niechęci i pogardy. Nieustające przez półtora roku protesty pierwszej Solidarności były demonstracją dialogu, a protesty przeciw reprivatyzacji natomiast „nawyków [z komunistycznej] przeszłości”, które „wciąż ciążą nad teraźniejszością i hamują swobodny rozwój społeczeństwa dialogu”. Piętnował je, pokpiwając, że słysząc w nich „wołanie wczorajszych dni: trzeba walczyć z wyzyskiem pracy, który się wzmacnia! Znakiem owego wyzysku ma być wszystko:

galopująca inflacja, nienasycone potrzeby, niezapłacona praca, reprivatyzacja”. Teraz nie były to słuszne skargi ludu Bożego, tylko spóźniony lament zsovietyzowanych „klientów komunizmu”. Etycznie wrażliwy katolicki ksiądz uznał głos ludzi tracących pracę oraz roszczenia płacowe i krytykę reprivatyzacji za objawy buntu przeciw dobru wspólnemu. Pojawił się wartościujący podział w społeczeństwie, a partie solidarnościowe uzyskały moralne usprawiedliwienie swojej praktyki wykluczania: „Czy z takimi ludźmi można odbudować liberalną gospodarkę i demokrację?”. Co sądzić o Tischnerze jako filozofie polityki, jeśli pod koniec 1989 r., chcąc uchwycić istotę PRL, pisał tak: „proponuję określenie: komunizujący totalitaryzm. Znamiennym rysem mijającego 40-lecia było dążenie do zaprowadzenia w kraju komunizmu za pomocą metod totalitarnych. (...) Komunizujący totalitaryzm jeszcze trwa”.

Tischner jako filozof

W latach 80. Tischner wyrobił sobie w Krakowie pozycję celebryty. Słuchałem kilku jego wykładów, choć nigdy nie był on moim nauczycielem, ani w sensie dosłownym, bo studiowałem tam, gdzie akurat Tischner nie wykladał, ani w sensie przenośnym, bo za jego ucznia się nie uznawałem. Tak jak jego pisma, wykłady Tischnera były rozczarowujące. Zniechęcały formą i treścią. Przyciągały tłumy, do czego autentyczna filozofia rzadko jest zdolna. ▶

Kościół w Polsce byłby inny, gdyby nie skrajnie konserwatywny papież i jego nominacje biskupie.

potem zbiorczo jako „Etyka Solidarności”, uchodziły za kodeks etyczny odradzającego się społeczeństwa obywatelskiego i komentarz moralny do przemian zachodzących w kraju. W jednym i drugim stwierdzeniu było sporo przesady. Liberalni katolicy rozpisywali się o tym, jak Tischner dokonał sakralizacji Solidarności jako „ludu Bożego”, opisując w kategoriach „cudu” odnalezienie przez Polaków latem 1980 r. poczucia wspólnoty w prawdzie i przeciwstawiając tę wspólnotę moralną wyobcowaniu, jakie przez cały czas towarzyszyło Polakom w zakłamanych

się też powstrzymać przed efekciarstką, aluzyjną grą słów. Utożsamiał się już nie z solidarnościowym ludem Bożym, ale z liberalnymi elitami, a nawet wystąpił w spocie wyborczym Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Przy okazji zastąpił swoją wcześniejszą mglistą personalistyczną filozofię godności pracy topatologicznymi wywodami w stylu Milтона Friedmana o pracy, która ma służyć pomnażaniu kapitału. Społeczna mobilizacja i zbiorowy głos skrzywdzonych, które w 1981 r. zasługiwały na jego pochwałę, powtórzone 10 lat później, wzbudziły

► Ktoś ze środowiska aktorów usłyszał o „filozofii dramatu” i uznano, że adeptom sztuki aktorskiej bardziej niż regularny wykład z historii filozofii przydadzą się pogawędki księdza o tragedii. Urządzono je w sali ówczesnej PWST, co uważałem wtedy za idealne miejsce dla tych występów. Bardziej sprawiały wrażenie spektaklu teatralnego, monodramu niż obcowania z żywym intelektem.

Zachęcając do filozofii, Tischner schlebiał swoim studentom, mówiąc: „Wasi koledzy na medycynie studiują anatomię, inni badają

jest taką samą nauką jak inne nauki szczegółowe. Nie sądził też, by możliwa była filozoficzna synteza wiedzy naukowej. Uważał jednak, że w myśleniu filozoficznym obowiązują pewne rygory – logicznej niesprzeczności, precyzji pojęciowej, racjonalizmu i przedmiotowości – i że współcześnie rygory te są bardziej wyśrubowane niż kiedykolwiek w przeszłości.

Większość współczesnych kierunków w filozofii niemieckiej i francuskiej Bocheński uważał za bełkot. Krytykował używanie języka metaforycznego,

językiem głębokich znaczeń, szafowanie metaforą, stosowanie wątpliwych metod etymologicznych to chwytły z arsenatu pseudofilozofii, pozorującej możliwość dojścia do jakichś ukrytych pokładów wiedzy tajemnej środkami nadzwyczajnymi. Wiedzy dostępnej tylko dzięki specjalnemu „namysłowi”, „natężeniu”, „doświadczeniu spotkania z drugim człowiekiem” lub „hermeneutycznemu rozumieniu”. Bocheński twierdził, że są to tylko pozory i filozoficzne szalbierstwa. Można przyznać im miejsce w literaturze, ale trzeba odrzucić jako złą filozofię. Z mętnej filozofii metaforycznej Tischner płynnie przechodził na filozofię po góralsku – z pozornej głębi w upupienie. Przegrywała filozofia, wygrywała popularność.

Wbrew powszechnemu mniemaniu Tischner, filozof dialogu, był kiepskim rozmówcą i słabym słuchaczem. Nie przepadał za rozmową twarzą w twarz. Lubił prowadzić monolog na scenie wobec milczącego tłumu. Wyuczone słowne nowotwory, atrakcyjnie brzmiące frazesy, ulotne metafory zestawione z rubasznymi porównaniami, aktorskie pauzy i emfaza, żadne z tych uwodzących chwytów nie nadawały się do bezpośredniej, żywej rozmowy. W taki sposób można deklamować albo pisać, ale nie da się tak rozmawiać. Kiedy już musiał rozmawiać, uciekał się do góralszczyzny, gawędziarstwa,

chemiczną budowę świata, jeszcze inni odkrywają prawa rządzące materią. A wy macie przed sobą myślenie”. Jakby studiowanie medycyny i zgłębianie tajemnic materii wymagało mniej myślenia niż czytanie Levinasa. Uważałem wówczas (i nigdy nie zmieniłem tej opinii), że wykłady Tischnera nie tylko nie uczyły myślenia, ale wręcz były pokazem kiepskiego myślenia i kiepskiej filozofii, w której gry słowne i werbalizm pozorowały namysł i głębię. Nie trzeba mieć urzędowej nominacji profesorskiej, by obronić tę opinię, ale jeśli komuś potrzebny jest do tego niekwestionowany autorytet profesora filozofii, to chętnie wskażę ocenę, którą trudno będzie zdeza-

wuować. Tym bardziej że nie wyszła spod pióra wroga religii i Kościoła, ale wybitnego duchownego katolickiego, który nie był rzecznikiem Kościoła zamkniętego. Przeciwnie, sam nie uniknął kościelnej krytyki.

Mam na myśli dominikanina Józefa Marię Bocheńskiego. Z Bocheńskim, który parokrotnie w ciągu swojego długiego życia zmieniał poglądy filozoficzne, można w różnych sprawach polemizować, ale nie można podważyć jego bezkompromisowego podejścia do wymogów intelektualnej uczciwości w pracy filozoficznej. Od filozofii wymagał naukowości. Nie należy tego utożsamiać ze scjentyzmem, który uważał za jeden z zabobonów współczesnych. Nie twierdził, że filozofia

postulowała się emotywną funkcją języka, czyli odwoływanie się do uczuć, lekceważenie racjonalności i logiki. Jak mawiał, „poza logiką jest tylko bełkot”, co wcale nie oznaczało zamiaru redukcji filozofii do logiki. Szczególnie mocno krytykował tzw. filozofię dialogu, wielokrotnie wymieniając Tischnera, jego francuskich i niemieckich mistrzów oraz filozofujących chrześcijaństwo Kołakowskiego z emigracyjnego okresu jego twórczości, które nazywał „fabrykowaniem światopoglądu”. Każdy światopogląd jest kwestią wiary i nie podlega

Wykłady Tischnera były rozczarowujące. Zniechęcały formą i treścią.

filozoficznemu uzasadnieniu. W filozofii dopuszczalne są tylko te twierdzenia, które można uzasadnić na gruncie pewnej racjonalności. Trzeba odróżniać filozofię od światopoglądu i ideologii. I mieć świadomość możliwości poznawczych filozofii oraz granic prawomocności sądów i wnioskowań filozoficznych. Przemykanie na grunt filozofii czy „dowodzenie” niedających się racjonalnie uzasadnić twierdzeń przez odwoływanie się do pozaracjonalnych „metod” poznawczych jest nadużyciem, formą perswazji, a nawet oszustwa.

Powiedziano, że Tischner uwodził słowem. To trafne określenie, ale powinno być oskarżeniem tej filozofii lub przynajmniej ostrzeżeniem. Naginanie języka, symulowanie udziwnionym

dowcipów i anegdot. Jedną z nich, dość typową, powtórzył w swoim wspomnieniu jego sylwetki inny rozreklamowany myśliciel z kręgów krakowskiej cyganerii, Jerzy Pilch: „Wszystko, co mówił, obracało się w opowieść, nie w anegdotę, ale w literaturę. Gęba góralskiego anegdotiarza przyrasta doń na trwałe i, owszem, były ku temu słyszalne powody. (...) On opowiadał najprostsze rzeczy, o tym na przykład, jak w listopadzie jechał do Łopusznej, jak mijają Mu droga, jaka mgła była po drodze i o tym, jak w tej gęstej jak mleko mgle na moście w Łopusznej stali górale i rozmawiali, i on jadąc wolno, słyszał, co oni mówią (»o kurwa, Józek jedzie!«)”. Jarosław Dobrzański

Jarosław Dobrzański

I kamieni kupa – cd.

Prof. Mariusz Z. Ratajczak i prof. Wiesław W. Jędrzejczak odpowiadają na tekst o firmach biotechnologicznych



Tekst red. Marka Czarkowskiego swoim kontekstem sugeruje, że ja oraz moi współpracownicy, występując do Narodowego Centrum Badań i Rozwoju o kwotę 45,4 mln zł na projekt „Innowacyjne metody wykorzystania komórek macierzystych w medycynie”, w istocie naciągnęliśmy budżet państwa na realizację bezużytecznych badań, podobnie jak inne firmy biotechnologiczne przywoływane w artykule. Publikację opatrzone moim zdjęciem.

Problem w tym, że przyjęte założenie i odpowiedzi w stosunku do mojej osoby różniły się z rzeczywistością. Wyjaśniam więc, że pieniądze, o których mowa w artykule (ok. 45 mln zł), były rozdzielone równomiernie między różne ośrodki w Polsce na realizację różnych tematów, z czego na moje laboratorium przypadało ok. 6 mln zł, rozłożone na pięć lat. Czas pokazał, że mój zespół miał rację, gdyż obecność tych komórek została potwierdzona przez co najmniej 35 niezależnych ośrodków naukowych w różnych krajach na różnych kontynentach. Grant, o którym jest mowa w artykule, miał być wstępem do badań klinicznych. Zakończył się wieloma wartościowymi publikacjami i obserwacjami. Z funduszy grantu ośrodki badawcze zostały wyposażone w dodatkowy sprzęt, utworzono też nowe miejsca pracy. Badania zakończyły się

obronami wielu doktoratów i kilku rozpraw habilitacyjnych. Zorganizowano trzy międzynarodowe konferencje naukowe pod hasłem „Baltic Stem Cell Meeting”, propagujące polskie badania nad komórkami macierzystymi.

Dlaczego te badania stanęły w miejscu bez wdrożeń klinicznych? Odpowiedź jest prosta. Wnioski składane przeze mnie kilkakrotnie w ciągu ostatnich kilku lat do Fundacji Nauki Polskiej i Narodowego Centrum Nauki były skreślane z listy finansowania.

Jeżeli autor nie uzyskał wglądu w dokumentację w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, to niezrozumiałym jest, dlaczego nie próbował nawet kontaktować się ze mną, aby poznać prawdziwe fakty. Kontakt do mnie jest umieszczony na witrynie internetowej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, a także na stronie uniwersytetu w Louisville.

Prof. dr hab. med. dhc Mariusz Z. Ratajczak, kierownik Zakładu Medycyny Regeneracyjnej WUM w Warszawie, dyrektor Centrum Badań nad Komórkami Macierzystymi Uniwersytetu Louisville, Kentucky, USA

W nawiązaniu do artykułu red. Marka Czarkowskiego „I kamieni kupa”, w którym m.in. przedstawiono sprawę projektu dotyczącego komórek

macierzystych, koordynowanego przez prof. Mariusza Z. Ratajczaka, uprzejmie wyjaśniam, że tego typu projekty rozlicza się publikacjami w recenzowanych (zwykle zagranicznych) czasopismach naukowych, i tak to zostało rozliczone. Z tego, co wiem, sam zespół prof. Ratajczaka w ramach tego projektu otrzymał jedynie ok. 6 mln zł brutto na pięć lat. Projekt nie obejmował wdrożenia proponowanych terapii i nie przewidywał finansowania takiego wdrożenia, zresztą przy tym poziomie finansowania żadne wdrożenie nie jest możliwe. Po doniesieniach zespołu prof. Józefa Dulaka, który nie był w stanie powtórzyć niektórych doświadczeń zespołu prof. Ratajczaka, pojawiły się liczne publikacje potwierdzające istnienie komórek VSEL. Natomiast ich praktyczne wykorzystanie zależy od wielu czynników, w tym także od tego, czy konkurencyjne technologie nie rozwiążą tych samych problemów szybciej i taniej. W tej sytuacji brak finansowania kontynuacji tych badań w Polsce (uzasadniany m.in. rzekomymi kontrowersjami) stawia tę technologię na z góry przegranej pozycji. Jednak nawet realizacja projektu, który nie zakończy się opracowaniem sprzedawalnej technologii, przynosi wymierne skutki (...). Projekt koordynowany przez prof. Ratajczaka umożliwił utworzenie i wyposażenie wielu naukowych warsztatów pracy w różnych polskich instytucjach, w tym także wykształcenie ich pracowników.

prof. Wiesław W. Jędrzejczak, przewodniczący Komitetu Immunologii i Etiologii Zakżeń Człowieka PAN

Od autora:

Na wstępie chcę podkreślić, że nie podważam w żadnym razie dorobku naukowego prof. Mariusza Z. Ratajczaka, który w 2006 r. otrzymał za odkrycie komórek VSEL Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej nazywaną Polskim Noblem. Projekt „Innowacyjne metody wykorzystania komórek macierzystych w medycynie” w 2009 r. został najwyższej oceniony w konkursie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Badaniom nad komórkami VSEL towarzyszył entuzjazm. W wywiadzie dla Polskiego Radia 24 sam prof. Ratajczak mówił, że komórki macierzyste będą wykorzystywane w terapii uszkodzonych narządów i tkanek. Dlatego zdecydowałem się przypomnieć ten projekt. A także dlatego, że okazał się on wyzwaniem dla badaczy.

Prof. Ratajczak zarzuca mi, że nie próbowałem się z nim skontaktować, aby poznać prawdziwe fakty. Tu dochodzimy do sedna sprawy. Jestem pewien, że obaj profesorowie zgodzą się ze mną, że nie ma bardziej wiarygodnych materiałów niż dokumenty. W wypadku projektu badawczego, którym kierował prof. Ratajczak, znajdują się one w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju. Zwróciłem się do tej instytucji o ich udostępnienie i spotkałem się z odmową. Było to zgodne z obowiązującym prawem, choć moim zdaniem objęcie tajemnicą przedsięwzięć finansowanych ze środków publicznych

jest błędem. Rzecznik prasowy NCBR skierował mnie na stronę internetową projektu <http://stemcells-project.eu>. Widnieje na niej takie m.in. zdanie: „Celem bezpośrednim projektu jest opracowanie innowacyjnych metod wykorzystania komórek macierzystych w medycynie i osiągnięcie w ten sposób znaczącego postępu w praktycznym zastosowaniu tak obiecującej strategii leczniczej, jaką jest terapia komórkowa”. Dziś prof. Wiesław W. Jędrzejczak pisze, że projekt „nie obejmował wdrożenia proponowanych terapii”, a prof. Ratajczak dodaje, że „grant zakończył się wieloma wartościowymi publikacjami i obserwacjami” oraz że dzięki temu „ośrodki zostały wyposażone w dodatkowy sprzęt i utworzono nowe miejsca pracy”.

Obaj profesorowie nie kwestionują faktu, że w 2013 r. pojawiły się artykuły podające w wątpliwość osiągnięcia prof. Ratajczaka. Jak sądzę, wiernie przedstawiłem w artykule stanowiska obu stron sporu. Od tamtego czasu temat komórek VSEL nie cieszy się tak wielkim zainteresowaniem.

Panowie profesorowie wyjaśniają, że badania stanęły w miejscu z powodu braku finansowania. Mogę jedynie wyrazić nadzieję, że znajdują się środki, by można było kontynuować rozpoczęte w 2009 r. prace.

Marek Czarkowski

Krwawa noc w Twerdyniach

Naoczny świadek zbrodni UPA
latem 1943 r.

Stanisław Piekarus

Wydarzenia na Wołyniu w okresie II wojny światowej należą do najtragiczniejszych w historii Polski. Poniżej prezentujemy fragment rozdziału „Ukraińcy przystępują do likwidacji Polaków”, pochodzący z nigdy nieupublicznionych „Wspomnień” Stanisława Piekarusa, udostępnionych nam przez jego syna.

Stanisław Piekarus (1921-1996), nauczyciel na Wołyniu, był świadkiem mordów dokonywanych przez UPA. Po wojnie osiadł na Ziemiach Zachodnich, Tam poznał przyszłą żonę Krystynę Stern, również Wołyniankę. Przez wiele lat był nauczycielem i działaczem oświatowym.

Oto nadchodzi wiosna 1943 r. Zaczyna się na dobre mord narodowości polskiej. Na razie sporadyczne przypadki, tu i ówdzie zostaje zamordowany człowiek w jego własnym obejściu, bez najmniejszych powodów, przez nieznaną osobników. W pierwszej fazie ginęły pojedyncze osoby, głównie pracujące na podrzędnych urzędniczych stanowiskach (...), a także fachowcy z różnych dziedzin. W późniejszym etapie, w maju i czerwcu, ofiarami stały się całe wybrane rodziny. Oprócz rodzin polskich nawet Ukraińcy, lecz na razie tacy, którzy przed przybyciem Niemców byli proradzieccy i zajmowali jakieś stanowiska. Pierwszą taką ofiarą w Chotopczach stał się Nikon Poleszczuk, który przed 1939 r. odsiedział siedem lat w Berezie Kartuskiej za komunizm. Początkowo krążyła pogłoska, że są to osobiste porachunki między osobami czy też rodzinami. Jednak i wśród Ukraińców byli ludzie, którzy rozumieli i widzieli całkowity bezsens takiego

Stanisław Piekarus
w Nietulisku (koło
Ostrowca Świętokrzyskiego), lato 1944 r.



postępowania wobec mniejszości narodowej i niewinnych osób, toteż często polskie rodziny były uprzedzane o masakrze. Na tych terenach było dużo rodzin mieszanych, mąż Polak, a żona Ukrainka lub odwrotnie. Wobec tego, jeśli mąż był Ukraińcem, otrzymywał od banderowców rozkaz zamordowania swojej żony wraz z dziećmi, ale tylko córek, bo chłopcy pozostawali przy ojcu. Jeśli nie wykonał powyższego rozkazu, likwidowano całą rodzinę.

Poświęcił nie tylko broń, ale nawet siekiery, widły i inne bestialskie narzędzia.

Zaczynam bać się o swoją skórę, o to, czy nie podzielę losu innych. Nieraz zaczynam żałować, że nie wyjechałem na roboty do Niemiec. (...)

Nie sypiam w domu

(...) Jedni zaczęli ze swoim dobytkiem uciekać do miast, inni pozostali na miejscu, nie wierząc w ogólny pogrom. Miejscowości z ludnością wyłącznie narodowości polskiej (...) zaczynają tworzyć placówki samoobrony.

Moja rodzina na razie nie rusza się z miejsca. Byliśmy w o tyle szczęśliwym położeniu, że mieszkaliśmy prawie nad samą drogą, po której wciąż poruszały się wozy niemieckie jako patrole i inne.

Ja z reguły już nie sypiam w domu, nocuję jak nie w zbożu, to w innym miejscu. Bywało, że zakradałem się do sąsiednich ukraińskich stodoł na noc, by przeczekać do świtu, a noce były krótkie i ciepłe. Dzień był bardziej pewny (...). Inaczej mówiąc, Niemcy rządili za dnia, a Ukraińcy nocą, mordując na razie „wybrańców”. Dlatego kryłem się nocami, nie będąc pewny, czy nie jestem jednym z wybrańców. (...). Mój opis w tym rozdziale jest tylko drobnym wycinkiem zbrodniczego

koszmaru, krwawej rzezi dziesiątków tysięcy niewinnych ludzi. Była to bezpośrednia robota ukraińskiej tłuszczy, uzbrojonej niejednokrotnie w siekiery, oraz robota tych popów, którzy tę tłuszczykę wraz z prowodyrami prowadzili i błogosławili znakiem krzyża i trójzębą.

O masowej zakładzie narodowości polskiej wiedzieliśmy do tej pory od osób, które uszły z życiem z powiatów Łuck i Włodzimierz Wołyński. U nas, w powiecie horohowskim, bandy UPA jeszcze nie stosowały masowej zagłady. Nasz powiat gienę przeżył dopiero w lipcu 1943 r.

Nie zapomnę tej lipcowej niedzieli, pochmurnej i dżdżystej. Zabrałem konie i po obiedzie poprowadziłem na ogólne pastwisko, gdzie zebrało

się więcej takich, grających w karty, opowiadających kawały itp. W pewnym momencie zauważyliśmy mężczyznę biegnącego ostatkiem sił. Gdy zatrzymał się przy nas, zaczął opowiadać straszne rzeczy, które wydarzyły się w Kisielinie [11 lipca 1943] podczas mszy w kościele. Mówił, że bandy oprawców okrążyły kościół i wszystkich wymordowały. W pierwszej chwili nie mogliśmy w to uwierzyć. Jednak pod wieczór potwierdziły się jego i innych relacje, gdyż mimo 7-kilometrowej odległości dolaływały nas odgłosy strzelaniny z tego kierunku, a już o zmroku widać było tunę pożarów.

I zaczęło się. Następnego dnia, w poniedziałek, bandyci powtórzyli wczorajszy dzień, ale już we wsiach zamieszkałych przez polską ludność. Tego dnia spłonęły (...) Rudnia, Woronczyn, Adamówka, Aleksandrówka i Warszawka – miejscowość mojej pierwszej posady. Najbliżej nas położone były Kisielin i Rudnia. Według relacji ocalałych w Kisielinie zginęło ok. 300 osób, a w Rudni ok. 70 osób. Na temat Kisielina nie będę się rozpisywał. Dość szczegółowego i wierne go opisu dokonał mój kolega po fachu Sławomir Dębski (Włodzimierz Sławomir Dębski, ojciec kompozytora Krzesimira – przyp. red.), będący jedną z ocalałych ofiar tego pogromu (stracił tam nogę). Jego relacja zawarta jest w książce Henryka Cybulskiego „Czerwone noce”. (...)

Rudnia była niewielką miejscowością położoną między lasami, toteż mało kto uszedł z życiem z tej masakry. Obecnie w Gorzowie Wielkopolskim mieszka trzech braci, Józef, Aleksander i Marian Maksymowiczowie, którym udało się przeżyć rzeź w Rudni. Jednak ich matka podzieliła los innych mieszkańców wsi. Po tym – jak go określono – pogromie ludność porzuciła swoje domostwa i szukała

schronienia w większych skupiskach, bardziej bezpiecznych, tworząc większe placówki samoobrony. Naszą placówką stały się Mańków i Zaturce. W Zaturcach (w majątku Lipińskiego) stacjonował oddział Niemców do ochrony siebie i nas. Inni natomiast, w obawie przed dalszymi zbrodniami, z niewielkim dobytkiem szukali schronienia w większych miastach, takich jak Włodzimierz czy Łuck.

Jeśli mąż był Ukraińcem, otrzymywał rozkaz od banderowców zamordowania żony wraz z dziećmi, ale tylko córek, bo chłopcy pozostawiali przy ojcu.

Jednak wielu z takich nie dojechało do miejsca swojego przeznaczenia – w trakcie podróży zostali uprowadzeni przez upowców do lasu i tam zamordowani. Tak zginęła cała rodzina Fedorowiczów podążających do Włodzimierza. (...)

Każdy dzień, a tym bardziej noc, przynosiły makabryczne zbrodnie, jakich te ziemie od wieków nie znały, tak ohydne i wstrząsające, dokonywane przez zacietrzewioną ciemnotę. Nie można było wszystkich mierzyć jednakową miarką. Część członków tej narodowości była naprawdę

szlachetna, życzliwa i uczciwa, niejednokrotnie narażająca się, gdyż na najmniejsze podejrzenie sami ginęli. Lecz takich było niewielu. Naszymi niedalekimi sąsiadami, od których zawsze mogliśmy czegoś się dowiedzieć, byli Lewczuki i Poleszczuki.

Lato ma się już ku końcowi, zbliża się czas rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Wobec istniejącej sytuacji nie zamierzam go rozpocząć jako

nauczyciel i planuję wybrać się któregoś dnia do Twerdyń (...) [w] pierwszą niedzielę września, jednocześnie powiadamiając kierownika szkoły, że rezygnuję z dalszej pracy w takich warunkach. W poniedziałek ma się rozpocząć nowy rok szkolny 1943-1944. Po przybyciu tam wspomnianej niedzieli (...) zauważyłem wielki ruch we wsi i wiele nieznanych mi osób. Na placu przy głównej drodze dostrzegłem ustawione pododdziały ukraińskie, wyglądające jak gdyby [przygotowane] do uroczystości lub akcji. Idąc dalej, spotkałem kierownika szkoły idącego z młodzieżą szkolną. Na mój widok zatrzymał się i odpowiadając na moje pytanie, oświadczył, że właśnie za chwilę odbędzie się uroczystość poświęcenia mogiły na usypanym kopcu ku czci zwycięskiego marszu ukraińskiej bandy UPA. Na kopcu zauważyłem umocowany ogromny dębowy krzyż.

Wyłączenie różnych naleciałości

I rzeczywiście po kilku chwilach z wielką pompą rozpoczęła się uroczystość. Na początku w asyście kilku popów odprawiona została msza polowa, zakończona przemówieniem dowodzącego obecną tu bandą zdegenerowanych morderców, zwanych szumnie Ukraińską Powstańczą Armią. Z perspektywy czasu nie jestem w stanie w miarę wiernie przytoczyć tego pomyłonego i chorego bełkotu, który miał



Pani Zawadzka – nauczycielka szkoły powszechnej w Twerdyniach, z którą autor „Wspomnień” pracował w roku szkolnym 1942/1943. Zamordowana przez upowców w czasie masakry w Kisielinie.

► uchodzić za doniosłe przemówienie, lecz brzmiało to mniej więcej tak: „Bracia, rodacy, Wasi przodkowie na przestrzeni wieków tyle już krwi przelali za Ukrainę (zrobił tu rys historyczny od Kozaków do Chmielnickiego), lecz teraz nadeszła ostateczna chwila, kiedy Ukraina musi powstać, musi wskrzesić się – musicie odpłacić za przelaną krew. Nie traćcie nadziei, wytrwajcie, prawda będzie po waszej stronie. Bolszewizm już dogorywa. Pozostało wam jeszcze wytępienie różnych naleciałości. Broń, którą dziś poświęciłem, dla przyszłych pokoleń niech będzie dowodem waszego historycznego zryw (tu zwraca się do dziatwy szkolnej), a z tych stojących dzisiaj w szeregach bierzcie przykład, jak należy walczyć za ojczyznę”. Tak, poświęcił nie tylko broń, ale nawet siekiery, widły i inne bestialskie narzędzia.

Po tej makabrycznej ceremonii odbyła się defilada przed mogiłą-symbolem, w której wzięły udział tysiące upowców. Wśród nich byli też kadeci upowskiej szkoły podoficerskiej, którzy bezpośrednio po „uroczystości” udali się w nieznanym kierunku. Pozostali rozeszli się do domów, by już w gronie prywatnym uczcić to wydarzenie, mocno zakrapiając bimbrem. Mnie, na obiad zabrał kierownik szkoły, wraz z kilkoma upowskimi oficerami, ale ci długo nie zabawili, tłumacząc się, że czeka ich jeszcze dzisiaj ważna i wielka robota. (...)

Chcąc, by po mnie zachowano miłe wspomnienia, wstąpiłem do mojej gospodyni, by się z nią pożegnać. Zastałem tam towarzystwo przy stole zastawionym przekąskami, obficie zakrapianymi bimbrem. Zatrzymałem się na jakiś czas. Było już przed zachodem słońca, w moim kierunku nie podążał żaden wóz, toteż propo-

zycja gospodyni, abym pozostał na noc, była mi jak najbardziej na rękę. Pogoda była bardzo ładna, zanosilo się na ciepłą noc. Udałem się do stodoły, zanurzyłem w pachnącym sianie i mocno sfatygowany przednimi nalewkami zapadłem w błogi sen....(...)

Nie wierzyli w ludobójstwo

Obudziło mnie wschodzące słońce, którego promienie łaskotały mnie przez szpary w deskach, a także hałas, biegania i wystrzały. Przywykły już do życia w wiecznym strachu i czujności, zerwałem się na równe nogi. W pierwszej chwili pomyślałem, że być może w związku z wczorajszym świętem Niemcy robią swoje porządki, ale gdy wyrzałem przez jedną ze szpar, moje przypuszczenia nie potwierdziły się. Oto na podwórku Słotwińskiego uwijali się upowcy, co sugerowało, że czegoś szukają. W pewnym momencie z mieszkania wybiegła gospodyni, kierując się prosto w kierunku ogrodu. Jeden z upowców, zauważywszy uciekającą, odwrócił się w jej kierunku i z uśmiechem na ustach wypuścił jedną, krótką i celną serię. Kobieta z cichym okrzykiem rozpaczy upadła pod jednym z pierwszych drzew swojego ogrodu.

Widocznie gdzieś ukryta, widziała tą ohydłą scenę morderstwa jej 20-letniej córki. Podbiegła do niedającej znaków życia matki, uklękła i zawołała rozpaczliwie: „Mamusiul!”. Zauważył to kolejny z bandytów, podszedł wolnym krokiem i nie marnując już amunicji – wbił dziewczynie bagnet w plecy, trzymając tak długo, aż przestała się ruszać. (...)

Minął jakiś czas, kiedy na drodze usłyszałem rozmowę. Wyrzałem przez szparę i ujrzałem pięciu uzbro-

jonych po zęby upowców, a wśród nich starszego ode mnie mieszkańca Chołopca o nazwisku Wasiura. Pomyślałem: „To już koniec ze mną”. Obserwowałem jednak dalej, chcąc mieć pełny obraz sytuacji na wypadek, gdybym musiał podjąć desperacką próbę ucieczki.

Zauważyłem, jak z przeciwległej uliczki jeden z Dzikowskich wyprowadził konie na przydomową łąkę. Jeden z bandytów idących drogą odłączył się, podszedł do pętającego konie Dzikowskiego i po krótkiej rozmowie oddalili się w głąb łąki. Po ujściu około pół kilometra idący przodem nagle upadł, a po sekundzie do moich uszu dobiegło echo wystrzału.

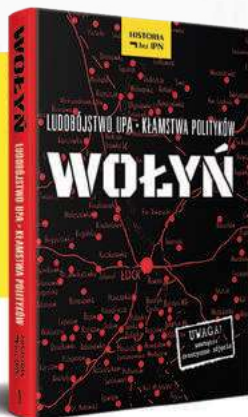
Od tego momentu w polu mojego widzenia nic się nie działo, ale słychać było salwy z broni automatycznej i zwykłej. Mogłem tylko przypuszczać, że po każdym takim wystrzale ginął człowiek.

Tymczasem do mojego schronienia zajrzała gospodyni, przestrzegając, abym pod żadnym pozorem nie ważył się opuszczać stodoły. Ona sama mnie powiadomi, kiedy będzie po wszystkim, a na razie mam zakopać się w sianie i czekać. Uczyniłem to skwapliwie, ale nerwy napięte do ostatnich granic robiły swoje. Do dzisiaj nie wiem, czy naprawdę była tą, która bezinteresownie ratowała mi życie, czy były to dalsze zabiegi mające na celu uczynienie ze mnie zięcia. (...)

Był to ostatni tego rodzaju pogrom. Ostatnie trzebieenie narodo-wości polskiej, z którego rzadko ktoś uchodził z życiem. Zginęli głównie ci, którzy do końca nie wierzyli w ludobójstwo, nie wierzyli w aż taki zanik człowieczeństwa, w chęć całkowitego unicestwienia Polaków.

Stanisław Piekarus

44 zł



OFIARY RZEZI UPA I REHABILITACJA ZBRODNIARZY

To książka prawdziwa do bólu – zbrodnie banderowców opisane przez tych, którym udało się je przeżyć, teksty publicystów i dokumentacja zdjęciowa muszą przerażać.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 44 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

P
przegląd

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Mordobicie, a nie szachy

Płyniemy kajakami Czarną Hańczą, ładnie i pusto, bo to jeszcze nie sezon. Ostrzegano nas, by przez pomyłkę nie popłynąć na Białoruś, i moje dzieci zaczęły się bardzo bać tej Białorusi. Po 12 km nagły hałas zasugerował, że dopływamy do wodospadu. Franio zdążył zrobić mi awanturę, że wiodę go na śmierć. Ale to tylko śluza. Nie ostrzeżono nas, że po drodze będą dwie. Początek Kanału Augustowskiego. Budowany w latach 20. XIX w., czyli w epoce Królestwa Polskiego, pracami kierował gen. Ignacy Prądzyński, potem przywódca powstania listopadowego. Kanał kopali chłopci pańszczyźniani, w nagrodę wyzwalano ich. Gospodarz, który wynajął nam kajaki, pokazuje z dumą stodołę – na zewnątrz zwykły budynek, a w środku obszerne stoły, ławy, sprzęt elektroniczny, pokoje z łózkami dla turystów. Mówi, że gdyby zobaczyli to jego dziadowie, nie uwierzyliby w to, co widzą. Duma go rozpiera. O tak, polski chłop odbył podróż niemal kosmiczną w galaktykę dobrobytu. Przodkowie tego człowieka cierpieli na tych terenach niewypowiedzianą nędzę. Nędza i zniewolenie polskiego ludu to jeden z kluczy do naszej mentalności, a teraz pracują one też na PiS. Duda ich dopieszcza. Na wsi wygrał zdecydowanie, podobnie jak zdecydowanie przegrał w dużych miastach.

Jeszcze na wsi. Wieczorem wino u znajomych. Wracam na piechotę, gwiazdy, jakich nie ma nawet u nas w Międzyzlesiu, czułem się, jakbym był zawieszony na cienkiej nitce w kosmosie. Trochę niepokojące, ale cenne uczucie. Łatwo zapominamy, na jakiej drobinie żyjemy. I jak kruchy jest nasz los.

Rozmawiam z moim synkiem Franiem i nagle odkrywam, że przestaje być małym chłopczykiem, a staje się chłopcem. Tak musi być i dobrze, że tak jest, a jednak smutek, że mały chłopczyk na zawsze odchodzi. Starszy syn Antoś już dojrzewa, przerósł mnie, co może nie jest takie trudne, ale to dopiero początek, nie przeszedł jeszcze mutacji. Obaj moi synkowie niestety uzależnieni od tabletek. Przegapiliśmy moment, gdy jeszcze można było coś z tym zrobić. Nie czytają książek, dla kogo więc je piszę? Łudzę się, że kiedyś zaczną, ale nie jestem tego pewien.

Znalezione w Onecie: „Kaczyński i Jędraszewski narzucili narrację, która niszczy zarówno politykę, jak i religię. Czy to możliwe, by dwóch samotnych i sfrustrowanych mężczyzn mogło zniszczyć kraj, który w 1989 r. podjął mozolną próbę budowania demokracji?”. To Sta-

niław Obirek, były kapłan, ciekawy intelektualista. Poznałem go kiedyś.

Swoją opowieść mają też media reżimowe. Trzaskowski chce dać Żydom wielkie pieniądze za kamienice. Obezwładnianie chmur to też jego wina, podobnie jak i to, że kiedyś pękła rura ze ściekami pod Wisłą. To granie fobiami, rasizmem i kłamstwem, to już nie grzech, to zbrodnia. W Polsce szykuje się nie faszyzm, ale tylko faszyzmik, więc Jacek Kurski to zaledwie „goebbelsik”. A przecież ma chłopak większe ambicje.

Co ja mogę dodać do lawiny komentarzy po pierwszej turze wyborów? Zgadzam się zarówno z pesymistami, jak i z optymistami. Staram się doczekać drugiej tury, będąc w środku, ale znosi mnie w kierunku ciemnego widzenia. Jest jednak szansa, że w drugiej turze wygra Trzaskowski, ale umiarkowana. Dobry wynik Bosaka to następny powód do smutku. I że tylu młodych na niego głosuje. Nie zawsze są to ksenofobi i nacjonaliści. Wielu

Nędza i zniewolenie polskiego ludu to jeden z kluczy do naszej mentalności, a teraz pracują one też na PiS.

skupia się na sprawach gospodarczych. Ale antyeuropejskość Konfederacji jest faktem. Jak można być przeciw Unii w naszej sytuacji gospodarczej i geopolitycznej? To jakby postulować obcięcie sobie nogi i ręki. Ale gdy się widzi obok Bosaka, który jest obły i gładki, podłego czubka Korwin-Mikkego i troglodytę Brauna, to wynik tej partii przynębia. Mam jednak nadzieję, że wyborcy Konfederacji, którą PiS niszczy (największe nienawiści bywają w bliskiej rodzinie), nie będą głosować na Dudę. To niby bliski wujek, ale jakiś żałosny.

Niestety, niedobre wystąpienie Trzaskowskiego po ogłoszeniu wyników wyborów. Był agresywny i schematyczny. Źle wypada, jak krzyczy i udaje groźnego, to wbrew jego naturze. Znowu, jak się zdaje, ma złych doradców. To, co najlepiej wychodzi PO, to nieuczenie się na błędach. I jednak Trzaskowski nie jest urodzonym mówcą jak Duda, który gada podle, ale sprawnie. Najlepszym mówcą jest chyba Hołownia. Ma też inne zalety, choćby swoją bezpartyjność, i zapewne miałby największe szanse wygrać z Dudą. Nie było jednak szansy na taką szansę. Bezmiernie irytuje, że Hołownia, hołubiąc swój nowo narodzony interesik, nie poleca wprost swoim zwolennikom głosować na Trzaskowskiego. Bawi się w szachy ze swoimi wyborcami, a tu mordobicie.

Wybory w Toronto – święto demokracji czy farsa?

Z wysłanych przez konsulat pakietów do głosowania nie dotarło z powrotem ok. 40%

Małgorzata P. Bonikowska
Korespondencja z Kanady

Polscy obywatele za granicą, z ważnym paszportem, mają konstytucyjnie zagwarantowane prawo głosu w wyborach. A ich prawidłowe przeprowadzenie i umożliwienie głosowania należy się wszystkim, niezależnie od sympatii politycznych.

Do udziału w głosowaniu zgłosiła się rekordowa liczba Polaków zamieszkałych za granicą – do pierwszej tury 375 tys., prawie 200 tys. więcej niż w wyborach prezydenckich w 2015 r., a do drugiej aż ponad pół miliona. W Kanadzie chęć głosowania zadeklarowało ponad 8 tys. rodaków. To duża różnica w stosunku do roku 2015, kiedy w Kanadzie było zarejestrowanych ok. 4,5 tys. Polaków (dla porównania w USA ponad 30 tys., a pięć lat temu 22 tys.). Liczby te są również znacznie większe niż w ostatnich wyborach parlamentarnych, w roku 2019, a Kanada jest na dziewiątym miejscu na świecie, jeśli chodzi o liczbę zarejestrowanych wyborców.

W Kanadzie przyjęto model wyborów korespondencyjnych, motywując to sytuacją epidemiczną i decyzją władz kanadyjskich. Byłby to dobry pomysł, zważywszy na ogromne odległości. Ale w tym przypadku przeszkodził kalendarz wyborczy. No bo jak w ciągu paru dni przesyłka z pakietem wyborczym z konsulatu w Toronto, wysłana pocztą zwykłą (*sic!*), a nie przyspieszoną, ma dotrzeć do wyborcy np. w Reginie, stolicy prowincji Saskatchewan, odległej o 2,5 tys. km od Toronto, i powrócić w ciągu tych kilku dni (jednego dnia?) do Toronto. Pomijam koszt jedynej możliwej w tej sytuacji wysyłki kurierskiej, czyli nawet 65 dol.

W 2019 r. na świecie było 320 komisji wyborczych, a teraz tylko 169.

W Kanadzie powstały cztery, a nie pięć, jak planowano na 10 maja, kiedy w Toronto miały być, jak zawsze, dwie. W wyborach prezydenckich w 2015 r. były też komisje w Saskatoon i Winnipegu, a w 2019 r. w wyborach parlamentarnych komisji było osiem, a więc poza dwiema w Toronto, jedną w Montrealu, jedną w Ottawie i jedną w Vancouver, zorganizowano punkty w Edmonton, Calgary i Winnipegu.

Trzy komisje w Kanadzie – w Toronto, Ottawie i Vancouver – miały inne zasady przeprowadzania wyborów niż czwarta, w Montrealu, gdzie w ramach głosowania korespondencyjnego możliwe było osobiste odebranie pakietu i dostarczenie go do konsulatu (co ciekawe, Montreal i prowincja Quebec to region najbardziej dotknięty epidemicznie w całej Kanadzie). Każdy konsul sam podejmował decyzję w sprawie głosowania, nie było żadnych zaleceń ani ustaleń na szczeblu MSZ.

Sporo zamieszania wywołały informacje, do kiedy można dostarczać pakiety z głosami. W jednym miejscu podawano, że tylko do piątku, w innych, że do soboty, do końca dnia pracy komisji (godz. 21.00). Potem okazało się, że MSZ zmieniło przepisy i wydłużyło termin o sam dzień głosowania (o sobotę 27 czerwca w obu Amerykach i o niedzielę

28 czerwca w pozostałych częściach świata). Informacje były niepełne i trudno dostępne. Nie każdy przecież używa Facebooka, a media powinny przekazywać informacje o wyborach wszystkim Polakom.

Problemy zaczęły się zresztą już przy rejestracji, w której nikt nikomu nie pomagał. Rejestracja odbywała się wyłącznie elektronicznie, a dla wielu ludzi starszych to bariera nie do pokonania. Bardzo trudno było dodzwonić się do konsulatu w Toronto, a kiedy już się udało, odpowiedzi udzielano niechętnie. Jedną z wielu takich rozmów, zrelacjonowaną nam przez czytelniczkę „Gazety”, brzmiała jak rozmowa z maszyną. Na pytania, kiedy przyjdą pakiety, kiedy zostały wysłane, kobieta słyszała kilkakrotnie powtarzane: „Proszę czekać na otrzymanie przesyłki”.

Na FB konsulatu w Toronto ludzie wyrażali irytację: nie przyszły ich pakiety, nie można się dodzwonić ani uzyskać informacji. Dlaczego MSZ nie uruchomiło infolinii, gdzie wyborcy mogliby uzyskać niezbędne informacje? Dlaczego żadne informacje nie były wysyłane do mediów, kiedy ciągle wszystko się zmieniało?

I wreszcie dwa największe problemy – wysyłanie pakietów i ich odsyłanie, jeśli w ogóle do wyborcy doszły. Jedne konsulaty wysyłały pakiety pocztą rejestrowaną, drugie zwykłą,

• Mój pakiet wyszedł z konsulatu 17 czerwca, dostałem go 24 czerwca, tydzień później. Odesłałem go godzinę później przez Xpresspost w cenie 12,85 dol. Doszedł na czas. Dlaczego państwo polskie nie może tych pakietów wysyłać, Xpresspost, który potrzebuje 1-2 dni na dostarczenie przesyłki?

• Próbowaliśmy dyskutować z konsulem, ale na marne. My dostaliśmy i wysłaliśmy nasze głosy w czwartek Fedexem i nadal nie doszły, choć miały dojść dzisiaj. Koszt – 70 dol. Oby to była inwestycja w demokrację.

• Nasze pakiety doszły w czwartek, 25 czerwca, o godz. 14.30. Mój partner zwolnił się z pracy i stracił dwie godziny na szukanie kuriera, który dostarczy przesyłkę do konsulatu do soboty. Przy kolejnym podejściu udało się znaleźć, koszt – 60 dol.



Pierwsza tura wyborów prezydenckich w konsulacie w Toronto.

np. w Toronto. Wiele osób w Toronto i okolicach do piątku 26 czerwca wieczorem nie dostało swoich pakietów, a więc nie mogło zagłosować. W innych częściach Kanady, w prowincjach, które należą do regionu konsularnego Toronto, sytuacja była jeszcze trudniejsza, jak bowiem mogli dostać pakiety na czas Polacy gdzieś w odległych prowincjach – Saskatchewan czy Manitobie? Co ciekawe, zdarzało się, że w tej samej rodzinie i pod tym samym adresem jedna osoba dostawała pakiet, a druga nie.

W przypadku przekazania głosów w drugą stronę liczyły się czas i pieniądze. Wystanie przesyłki za pośrednictwem Xpresspost, co teoretycznie dawało największą szansę dostarczenia jej w ciągu dwóch dni, to kilkanaście dolarów. Kurier kosztuje kilkadziesiąt dolarów, nawet lokalnie. Kanadyjska poczta – Canada Post – w okresie pandemii nie gwarantuje czasu dostarczania przesyłek, szczególnie w Toronto i południowym Ontario. Nawet z kurierami nic nie jest pewne.

Część wyborców organizowała wspólne wysyłki, ale nie wszyscy mogli się przyłączyć, szczególnie gdy pakiety przychodziły do ich domów tuż przed sobotą wyborczą. Niektórzy mieszkają na tyle daleko, że nie mogli dojechać gdzieś, gdzie organizowano taką wysyłkę. A zresztą, dlaczego mieliby stawać na głowie,

żeby zdążyć, ponosząc tak wysokie koszty i poświęcając swój czas, w dodatku w czasie pandemii? Dlaczego nie zorganizowano skrzynki na ogrodzeniu konsulatu, pytano. W Montrealu taka opcja istniała. I nie jest żadnym tłumaczeniem, że np. w Toronto ponad 5,5 tys. zarejestrowanych osób oznaczałoby taki właśnie tłum stojących w kolejce.

Państwo polskie, płacące tylko za wysyłkę, ponosi znacznie mniejszy koszt niż sam wyborca.

Wiadomo, że byłoby to rozłożone w czasie. Poza tym przyjeżdżałaby jedna osoba i wrzucała kilka przesyłek. Na pewno było to możliwe.

No i polityka, która w wielu miejscach na świecie ma wpływ na wszystko, np. na skład komisji. Okazało, że w Toronto nie zgłoszono na czas osób mających reprezentować Komitet Wyborczy Rafała Trzaskowskiego. Zgłoszono dwie osoby, bo spodziewano się dwóch komisji, jak zawsze (i jak miało być w maju). Zakładamy, że były interwencje, bo obie zostały jednak do komisji dołączone. Podobne interwencje poskutkowały w wielu miejscach na świecie. Ale czy nie lepiej było od razu zachować się zgodnie z zasadami demokracji i włączyć te osoby do składów komisji?

Przed Polonią kolejne wyzwania – druga tura, w Kanadzie i USA

w sobotę 11 lipca. A w obu krajach wypadają z usług poczty dwa dni – Canada Day 1 lipca i 4 lipca w USA.

Komisja w Toronto musiała poradzić sobie ze spakowaniem ponad 1540 dodatkowych pakietów, bo tyle osób 29 czerwca dorejestrowało się do drugiej tury – tego jedynego dnia, kiedy było to możliwe, mimo że na kilka godzin padł system elektronicznej rejestracji. Wysyłka miała zostać dokonana w poprzedni czwartek znowu pocztą zwykłą, najtańszą. A zatem podobnie jak w pierwszej turze.

Jest jednak *novum* – od poniedziałku na ogrodzeniu konsulatu zawiesznie skrzynka, do której będzie można wrzucać głosy. Będą one stamtąd wyjmowane codziennie, do soboty 11 lipca, dnia wyborów w Kanadzie. Na takie rozwiązanie naciskali senatorowie w Komisji Spraw Zagranicznych Senatu RP (podobnie jak na zwiększenie liczby komisji na całym świecie). To nie pomoże osobom, które mieszkają daleko od Toronto, ale jest usprawnieniem dla lokalnych wyborców.

A zatem państwo polskie, płacące tylko za wysyłkę, ponosi znacznie mniejszy koszt niż sam wyborca pragnący wziąć udział w wyborach za granicą, co gwarantuje mu konstytucja. Dlaczego ma płacić tak dużo ktoś starszy albo mający problemy finansowe wskutek pandemii?

W Toronto członkom komisji nie zapewniono posiłku, chociaż w konsulacie spędzili ponad dobę w dniu wyborów i długie godziny na pakowaniu przesyłek. W dniu głosowania nawet kawę musieli organizować sobie we własnym zakresie.

Procedurę wyborczą za granicą pomogą ocenić liczby z pierwszej tury w Toronto: z 5674 wysłanych przez konsulat pakietów nie wróciło 2254, czyli ok. 40%! Są tacy, którzy wysłali przesyłki do konsulatu pocztą rejestrowaną i mogą sprawdzać ich status – widzą, że do środy 1 lipca nadal nie dotarły... Ba, są nawet tacy, którzy dotychczas nie dostali przesyłki z konsulatu. Czy w drugiej turze będzie lepiej?

Autorka jest dziennikarką „Gazety”, Toronto, www.gazetagazeta.com

W Bułgarii jeszcze taniej

Czy epidemia pogrzebie bułgarską turystykę



Łukasz Grzesiczak

Minister spraw zagranicznych Ekaterina Zachariewa zapewnia, że bułgarskie plaże są bezpieczne, a kraj czeka na turystów. Tymczasem rząd w obawie przed drugą falą epidemii przywrócił nakaz noszenia maseczek w zamkniętych przestrzeniach. Niedawno o maseczce zapomniał bułgarski premier, za co został ukarany grzywną.

Pandemia w Bułgarii rozpoczęła się 8 marca – to wtedy potwierdzono pierwsze dwa przypadki COVID-19. Żadna z zakażonych osób (27-letni mieszkaniec miejscowości Plewen w północnej części kraju i 75-letnia kobieta z Gabrowa w centralnej Bułgarii) nie podróżowała jednak za granicę do rejonów dotkniętych koronawirusem, dlatego pacjent zero nie został zidentyfikowany.

Na decyzję bułgarskiego rządu nie trzeba było długo czekać. 13 marca, gdy liczba chorych wzrosła w ciągu jednego dnia o 16 i wyniosła w sumie 23, gabinet Bojki Borisowa – rządzi on krajem z krótkimi przerwami od 2009 r. – podjął decyzję o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. Tego samego dnia ogłoszono, że szkoły, centra handlowe, kina i restauracje

zostaną zamknięte, a imprezy masowe odwołane. Otwarte pozostały jedynie sklepy spożywcze, apteki, banki i stacje benzynowe. Dla osób, które miały kontakt z chorym lub które wróciły z kraju, gdzie zanotowano dużą liczbę przypadków COVID-19, wprowadzono obowiązek 14-dniowej kwarantanny. Osoby z pozytywnym wynikiem testu musiały natomiast odbyć 21-dniową kwarantannę.

30 marca wprowadzono obowiązkowe noszenie maseczek w miejscach publicznych. Tylko w pierwszym tygodniu funkcjonowania przepisu wystawiono 1340 mandatów (o łącznej wartości 7 mln lewów, czyli ponad 16 mln zł) za złamanie nakazu, głównie za chodzenie bez maseczki po parku. Bułgarskie media obiegła historia mężczyzny, który został ukarany mandatem 5 tys. lewów (prawie 11,5 tys. zł) za to, że zapalił papierosa przed swoim domem w Płowdiwie. Nie pomogło tłumaczenie, że w mieszkaniu nie ma balkonu, a kiedy palił, nie było w pobliżu żadnych ludzi.

Do 1 lipca zanotowano w Bułgarii 4989 przypadków koronawirusa. Obecnie 435 osób jest hospitalizowanych. 2676 osób zostało już wyleczonych, zmarło 230. Bez porównania najwięcej zachorowań notuje się

w Sofii – do tej pory w stolicy wykryto 1554 przypadki.

W kwietniu w ramach walki z rozprzestrzenianiem się koronawirusa Bułgaria zamknęła granice dla obywateli 13 krajów Unii Europejskiej i strefy Schengen: Austrii, Belgii, Francji, Niemiec, Włoch, Islandii, Lichtensteinu, Luksemburga, Irlandii Północnej, Holandii, Hiszpanii, Szwajcarii i Wielkiej Brytanii. 22 maja jednak zakazy zniesiono, ponieważ liczba nowych przypadków zachorowań zaczęła spadać.

Od 1 czerwca Bułgaria zaprasza turystów z 27 krajów członkowskich Unii Europejskiej lub leżących w strefie Schengen. Tylko po przyjeździe z Portugalii, Szwecji i Wielkiej Brytanii obowiązuje 14-dniowa kwarantanna.

Minister Ekaterina Zachariewa zapewnia, że Bułgaria jest obecnie jednym z najbezpieczniejszych miejsc do odwiedzenia w celach turystycznych. W trakcie wideokonferencji ministrów i dyplomatów z 13 krajów UE przekonywała, że kraj podjął wszystkie konieczne środki ostrożności, by zapewnić turystom bezpieczeństwo.

Toczy się gra o wielką stawkę. Dochody z sektora turystycznego stanowią aż 13% bułgarskiej gospodarki.

Bułgaria przyciąga turystów plażami, górami i uprawą róż, z których powstaje słynny olejek.

Zatrudnienie znajduje w nim 11% wszystkich osób pracujących.

Obecnie w Bułgarii otwarte są restauracje, kawiarnie i bary, ale przy zachowaniu obowiązkowego dystansu 1,5 m. W wydarzeniach organizowanych w zamkniętych pomieszczeniach może wziąć udział najwyżej 50% maksymalnej liczby osób przewidzianych do zapewnienia danego obiektu. Zastępowanie twarzy wciąż obowiązuje w pomieszczeniach zamkniętych, w tym w kinach, teatrach, klubach oraz na imprezach sportowych. Maseczki są obowiązkowe także w środkach transportu publicznego, szpitalach i aptekach oraz w kościołach.

10 czerwca rząd ogłosił co prawda zniesienie obowiązku noszenia maseczek w wymienionych miejscach publicznych, utrzymując go tylko w środkach transportu publicznego, jednak z powodu wzrostu liczby chorych już niecałe dwa tygodnie później nakaz przywrócono.

Co ciekawe, za wejście do kościoła bez maseczki został ukarany mandatem w wysokości 300 lewów

(prawie 690 zł) sam premier Bułgarii Bojko Borisow. Polityk odwiedził monaster Rylski, jeden z najbardziej znanych bułgarskich klasztorów. Zarówno Borisow, jak i osoby duchowne, dziennikarze, operatorzy telewizyjni, fotoreporterzy, nie mieli maseczek podczas zwiedzania świątyni. Kilku-dziesięcioosobowa grupa została ukarana mandatami. Nakazowi podporządkowali się jedynie ochroniarze szefa rządu.

W pierwszych tygodniach walki z epidemią bułgarski rząd zabronił podróżowania. By zapobiec rozprzestrzenianiu się wirusa, władze zdecydowały 16 kwietnia, przed Wielkanocą, o zamknięciu stolicy. Mimo to zatrzymano prawie 70 tys. osób, które chciały wyjechać z Sofii. W całym kraju zatrzymano ponad 125 tys. osób podróżujących bez udokumentowanego powodu.

Bułgarzy – jak co roku – z nadzieją wypatrują turystów z Polski, którzy od lat należą do najchętniej wypoczywających w Bułgarii. W ubiegłym roku odwiedziło

ją 445 tys. gości z Polski, nie tylko w celach turystycznych, co daje nam czwarte miejsce wśród krajów Unii (po Rumunii, Grecji i Niemczech), w tym 421 tys. turystów, jak podaje bułgarskie Ministerstwo Turystyki. W skali świata zajmujemy dziewiąte miejsce w rankingu najliczniej przybywających gości do Bułgarii, a liczba polskich turystów z roku na rok rośnie. Po Grecji i Turcji to najpopularniejszy kierunek naszych zagranicznych wakacji.

Dlaczego Polacy chętnie jeżdżą do Bułgarii? Zdaniem Magdaleny Genow-Jopek, autorki książki „Bułgaria. Złoto i rakija”, Polacy w Bułgarii cenią kuchnię opartą na sezonowych warzywach i *sirene*, solankowym serze, który jest dodatkiem w sałatce szopskiej. – Do tego *sarmi* – faszerowane liście winogron i *kiselo mlijko*, czyli jogurt, który ma pochodzić właśnie z ziem bułgarskich. Polacy lubią także otwartość Bułgarów i ich sposób biesiadowania – tłumaczy Genow-Jopek. I dodaje: – Stereotypem samym w sobie są wczasy w Bułgarii – to pierwsza rzecz, jaka Polakom

Jego zdaniem pod względem obsługi hotelowej Bułgaria na pewno nie stoi jeszcze na takim poziomie jak Turcja, ale jest nam bliższa kulturowo, a Bułgarzy bardzo Polaków lubią. Do tego to kraj bezpieczny, o wysokim poziomie usług medycznych, dlatego nawet w czasach pandemii turysta może się tam poczuć pewnie.

– Różne grupy ludzi szukają innych rzeczy. Część wybiera wakacje *all inclusive* w miejscach takich jak Złote Piaski i Słoneczny Brzeg. To kurorty odizolowane, gdzie nie poznaje się zupełnie historii Bułgarów i prawdziwej Bułgarii. Druga grupa dojeżdża własnym samochodem i wybiera małe pensjonaty, choćby w pięknym Sozopolu. Tam czuje się naprawdę smak regionu. Poza tym mówiąc o turystyce w Bułgarii, myśli się głównie o wybrzeżu, a przecież ten kraj to również góry – sugeruje Adam Karpiński.

Atrakcji nie brakuje, więc Bułgaria znowu ma się znaleźć w ofercie wielu biur podróży. – Ale nie mówimy jeszcze o masowym ruchu turystycznym. Większej liczby turystów

Dochody z sektora turystycznego stanowią aż 13% bułgarskiej gospodarki. Zatrudnienie znajduje w nim 11% wszystkich pracujących.

kojarzy się, kiedy myślą Bułgaria, bo są wspomnieniem czasów PRL. Ci, którzy mają tylko takie skojarzenia, mogą być zaskoczeni nowoczesnością nadmorskiej infrastruktury.

– Na pewno nie chodzi o nostalgię, bo wielu polskich turystów w Bułgarii to ludzie młodzi. Bułgaria pozbyła się już w naszych oczach nieco karykaturalnego wizerunku modnego kurortu komunistycznych dygnitarzy – tak uważa Adam Karpiński, wykładowca Wyższej Szkoły Bankowej we Wrocławiu i ekspert Izby Turystyki Rzeczypospolitej Polskiej.

Jego zdaniem ważną rolę odgrywa fakt, że dla polskich turystów ten kraj jest tani. – Wielu Polaków za inwestowało nawet w zakup własnego apartamentu w Bułgarii i była to swego rodzaju moda, takich przypadków są prawdopodobnie setki, zwłaszcza że, aby dokonać takiego zakupu, nie trzeba było być specjalnie zamożnym. Jeszcze 10 lat temu za 5-letniego forda mondeo można było kupić kawalerkę pod Warną – tłumaczy Karpiński

możemy się spodziewać w sierpniu, kiedy pierwsze lipcowe wycieczki wrócą bez problemów, ale w skali całego sezonu – jeśli ruch turystyczny z Polski do Bułgarii utrzyma się na poziomie choćby 25% zeszłorocznego, to będzie bardzo dobrze – uważa. I dodaje: – Ceny spadły, 10-dniowe wczasy w Bułgarii można już wykupić za nieco ponad 1000 zł, podczas gdy krajowy wyjazd to często nawet dwukrotnie większy koszt. Ale turyści – zwłaszcza podróżujący samochodem, którzy muszą przejechać przez kilka państw – boją się kwarantanny, do tego wielu z nich ma niestabilną sytuację finansową, nie pomaga również niepewny kurs złotego. Jeśli turysta wybierze samolot, to w przypadku podróży indywidualnej istnieje ryzyko odwołania lotu, bo ten musi być ekonomicznie uzasadniony. Jest to szansa na odrodzenie się ruchu autokarowego, ale nie wszyscy zdecydowali się na 20-godzinną podróż.

– Start aktywnego sezonu turystycznego w Bułgarii od dawna zapowiadany był na 1 lipca. I na tę

► datę szykowała się większość hoteli, restauracji i sklepów. Od 1 lipca zaczęły odbywać się loty czarterowe biur podróży, nie tylko z Polski, ale także z innych krajów. To samo dotyczy lotów rejsowych – mówi Patryk Nowak, który od lat mieszka w Słonecznym Brzegu i na Facebooku moderuje grupę Bułgaria Wakacje – Porady Tubylca.

Najszybciej loty do Bułgarii wznowił Wizzair, od lipca zaczął latać Ryanair. – Dużą niespodzianką są loty PLL LOT do Burgas (lotnisko przy kurorcie Słoneczny Brzeg). Tego lata obserwuję duże zainteresowanie wśród Polaków wyjazdem do Bułgarii. Część osób organizuje wyjazd na własną rękę, samochodem lub korzystając z lotów

kary, dlatego ich pracownicy pilnują, aby zakładać maseczki przy wejściu. Każdy sklep, restauracja czy punkt usługowy ma przy wejściu płyn do dezynfekcji dłoni. Te ograniczenia dotyczą jedynie największych obiektów. W przypadku większości sklepików z pamiątkami, jedzeniem, ubraniami czy zewnętrznych stoisk nikt nie zwraca uwagi, czy klient ma maseczkę.

Nie wszystkie hotele w Bułgarii są otwarte. – Część z nich, zwłaszcza odwiedzanych głównie przez turystów z Wielkiej Brytanii i Rosji, nie otworzy się tego lata – tłumaczy Nowak. Dla Rosjan granice bułgarskie zostają zamknięte, a Brytyjczycy muszą się liczyć z 14-dniową kwarantanną.

Polaków mają przyciągnąć ceny. 10-dniowy urlop w Bułgarii można już wykupić za nieco ponad 1000 zł.

czarterowych. Tłumaczy, że dla nich to bezpieczniejsza opcja. Prywatny apartament daje większe poczucie bezpieczeństwa, pozwala unikać kontaktu z dużą liczbą osób, np. podczas śniadań, jak to się dzieje w hotelu – mówi Patryk Nowak.

Obecnie przepisy wprowadzone w Bułgarii z powodu koronawirusa są podobne do tych, z którymi musimy się liczyć w Polsce. Na największe sklepy nakładane są wysokie

Na szczęście nie dotyczy to Polaków. Tych mają w tym roku przyciągnąć na bułgarskie wakacje jeszcze niższe ceny, choć trudno sobie to wyobrazić, bo i do tej pory Bułgaria należała do jednego z najtańszych kierunków podróży. Na przykład leżaki i parasole na plażach w tym roku są tańsze przynajmniej o połowę. – Bułgarski rząd, chcąc przyciągnąć turystów, zaproponował najemcom plaż obniżenie kosztów dzierżawy o takim samym procent, o jaki oni obniżą koszty wynajmu leżaków i parasoli – mówi Patryk Nowak. Z jego obserwacji wynika, że tańsze są też ubrania i pamiątki. Baseny funkcjonują normalnie, plaże także, tylko leżaki zostały rozstawione szerzej niż zwykle.

Czy należy się bać przed podjęciem decyzji o wczasach w Bułgarii? – W największym kurorcie, czyli w Słonecznym Brzegu, nie odnotowano żadnego przypadku koronawirusa. Turyści praktycznie nie odczuwają żadnej różnicy między tegorocznymi wakacjami w Bułgarii i w ubiegłych latach, no może poza koniecznością założenia maseczki w supermarkecie lub w komunikacji miejskiej – zaznacza Patryk Nowak.

Oczywiście o ile hotel, w którym nocowali podczas ostatnich wakacji, będzie teraz otwarty.

Lukasz Grzesiarczyk

Anna Brzeska

Zanim o wakacjach, cofnę się parę miesięcy, do lutego. To wtedy, korzystając z jednego z popularnych serwisów rezerwacji apartamentów, zaklepuję czerwcowy pobyt w tanim mieszkanku na chorwackiej wyspie Hvar. Nie mam pojęcia, że za kilka tygodni minister zdrowia każe mi zapomnieć o „takich wakacjach jak do tej pory”, chińskie miasto Wuhan przejdzie do historii, a świat stanie na głowie.

W marcu WHO ogłasza pandemię. Jest wczesna wiosna, więc o wakacje jeszcze się nie martwię. Liczą się inne sprawy – lęk przed koronawirusem, *lockdown*, zawieszenie zajęć w szkołach. Przez kolejne tygodnie mam nadzieję, że do czerwca wszystko się skończy.

Co z tym latem?

Z końcem maja robi się naprawdę nerwowo. Do urlopu coraz bliżej, a tu granice wciąż zamknięte, samoloty nie latają. Facebookowe grupy fanów Chorwacji, na których zazwyczaj o tej porze roku trwa festiwal porad dla podróżnych, teraz zalewa litanie obaw i narzekań. Zaczynam ze złością przyznawać rację ministrowi Szumowskiemu – wygląda na to, że o czerwcowych wakacjach nad Adriatykiem mogę tylko pomarzyć. Choć już wiem, że Chorwacja 1 czerwca otwiera granice dla turystów, nie ma tam jak dojechać. Czeki, przez które podróż z Mazowsza jest zdecydowanie najkrótsza, wciąż nie chcą utworzyć granic dla podróżnych z Polski (Austria i Słowenia oferują już wtedy możliwość tranzytu dla chcących przejechać przez ich kraje – nie trzeba mieć testów na koronawirusa ani przechodzić kwarantanny, o ile wyjedziemy stamtąd w ciągu jednego dnia). Z decyzją o zniesieniu kwarantanny dla wjeżdżających do kraju wciąż ociąga się polski rząd. Codziennie tkwię więc na Facebooku i stronach rządowych, czekając na wieści. Ostatecznie z bólem serca decyduję się na przeniesienie rezerwacji na wrzesień. Muszę to zrobić, bo system rezerwacyjny tylko do końca maja umożliwia mi bezkosztowe dokonywanie zmian. Właścicielka apartamentu przyjmuje

W najnowszym numerze „NIE”:
reporter tygodnika na mityngu
wyborczym z Andrzejem Dudą,
czyli do reelekcji jeden krok.





Puste, jak na połowę czerwca, miasteczko Stari Grad na wyspie Hvar.

Wakacje z pandemią w tle

Jak koronawirusowi nie udało się zrujnować mojego urlopu w Chorwacji

to ze spokojem. Cieszy się, że nie zrezygnowaliśmy z wyjazdu.

Czesi już wpuszczają

Kilka dni później, już w czerwcu, czytam w końcu długo wyczekiwaną wiadomość – nasi południowi sąsiedzi od 15 czerwca pozwalają na tranzyt przez ich kraj. Droga na Bałkany otwarta. Natychmiast odkręcam zmiany w rezerwacji i znów zaklepuję czerwiec. Przyszła gospodyni reaguje radosnym „Yes”. Jeszcze tylko obowiązkowa podczas pandemii rejestracja pobytu na rządowej stronie entercroatia.mup.hr – trzeba tam podać dane osobowe oraz adres, pod którym będziemy mieszkać w Chorwacji – i możemy się pakować. Drukujemy też potwierdzenie rejestracji pobytu, które należy umieścić na przedniej szybie samochodu. Potem o tym zapominamy, ale i tak nikt nie pyta o wydruk.

15 czerwca. W końcu jedziemy wyposażeni w maseczki, płyny dezynfekujące i rękawiczki. Dojeżdżamy na Śląsk. Winiety na MOP Wieszowa nie ma – znana nam z poprzednich

podróży budka jest zamknięta. Znów coś jest inaczej niż przedtem, ale i tak nie posiadamy się z radości, że urlop się urzeczywistnia.

Jedziemy dalej. Czeska granica i... trzeba się zatrzymać. Trudno to uwierzyć po latach w raj Schengen, gdzie przekraczaniu granicy zwykle towarzyszą jedynie dźwięki SMS-ów z informacją o wkroczeniu do strefy roamingu. Teraz musimy stanąć w ogonku osobowych aut, na szczęście krótkim, czekamy może

tylko maseczkę, ale też rękawiczki. Jesteśmy tu tylko tranzytem, jako warunkowo wpuszczeni potencjalni „covidianie” z Polski, więc nie chcę, by inni czuli się zagrożeni naszym towarzystwem. Nigdzie więcej już nie robimy postoju.

Granica z Austrią – żadnej policji, straży, budek. Ulga i radość, zjednoczona Europa, wszystko po staremu, żadnych pytań i kontroli. Wiedeń też żyje, jakby nigdy nic. Na obwodnicach tradycyjny korek, bo jesteśmy

Wsiadamy na prom w Drveniku i zakładamy maseczki. Poza nami nikt ich nie nosi – ani obsługa, ani podróżni.

pięć minut. Policjantka w maseczce wita nas po czesku, prosi o dokumenty i pyta, dokąd jedziemy. Nie musimy udowadniać, że do Chorwacji, wystarczy ustne zapewnienie. Miło i bezstresowo.

My tylko przejazdem

Na pierwszej stacji benzynowej u południowych sąsiadów, gdzie musimy kupić winiety, zakładam nie

tu późnym popołudniem. Przed Grazem znów postój na parking z toaletami. Ludzi w maseczkach widać coraz mniej.

Przed kolejną granicą kupujemy słynne drogie słoweńskie winiety i znów jedziemy swobodnie, mijając na granicy policjantów czy może straż graniczną. Nawet nas nie zatrzymują. Dopiero przed granicą Chorwacji trzeba się zameldować w budce straży. I to dwukrotnie ▶

► – po stronie słoweńskiej, a kilkaset metrów dalej po chorwackiej. Kolejki nie ma, podjeżdżamy swobodnie, za to dwa tygodnie później nie będzie już tak różowo. Chorwacki policjant skanuje dokumenty. Możliwe, że sprawdza, czy zarejestrowaliśmy pobyt, więc lepiej nie uchylać się od tego obowiązku.

Jakie maski? Chyba dla nurków!

Następnego dnia, po noclegu na północy kraju i przejechaniu autostradą większości chorwackiego wybrzeża, wsiadamy na prom w Drveniku. Ponieważ mamy kontakt ze współpasażerami, zakładamy maseczki. Poza nami nikt ich nie nosi – ani obsługa, ani podróżni. Ponieważ i tak stoimy na zewnętrznym pokładzie, w końcu też je zdejmujemy. Czujemy się głupio jako jedyni „pandemicy”. Tylko mój sześciolatek syn nic z tego nie rozumie i przez pewien czas nie chce ściągnąć maseczki z twarzy.

Pół godziny później jesteśmy na Hvarze. Ludzi niewiele, miasteczko Stari Grad pustawe i spokojne. Robimy drobne zakupy. W markecie też nikt nie ma maseczki. Przestaje nas to dziwić.

Niechcący zaczynamy być beneficjentami pandemii. Turystów jest niewiele, na plażach siedzi po kilka osób.

W kolejnych dniach przekonujemy się, że ani Chorwaci, ani turyści koronawirusa raczej się nie boją. Jedynymi widzialnymi oznakami pandemii są wystawione przy wejściach do sklepów stoliki z płynem dezynfekującym (są powszechnie używane), maseczki na twarzach niektórych sprzedawców w większych marketach – może ze dwa razy widziałam, aby nosił je klient – oraz komunikaty o konieczności zachowania półtora-metrowego odstępu w kolejce przy kasie. Kelnerzy czy sprzedawcy w sklepikach z pamiątkami, których spora część wciąż pozostaje zresztą zamknięta, również nie noszą nic na twarzy. Z doniesień facebookowiczów, którzy przebywają w Chorwacji, wiem, że w innych częściach kraju jest podobnie – wakacyjna atmosfera, maseczki najwyżej w marketach, głównie u obsługi. Ktoś żartuje, że maski, owszem – są bardzo

popularne, ale tylko te do nurkowania w przejrzystych wodach Adriatyku.

Przez kilka następnych dni moglibyśmy więc zapewne zapomnieć o koronawirusie, gdyby nie to, że nie chcąc zaczynać być beneficjentami pandemii. Turystów jest niewiele, na zwykłe tłocznych plażach przy miasteczkach siedzi najwyżej po kilka osób. Na tych zaś, do których trzeba kawałek dojść stromymi ścieżkami, jesteśmy często sami. Basen przy hotelu, obok którego biegnie przed południem, kusi niezmaconą taflą wody, nikt nie je też śniadania na tamtejszym tarasie. Nieliczna obsługa kręci się niespiesznie, przedstawiając leżaki z jednego miejsca w drugie.

Odpadają kłopoty z parkowaniem nawet w tak popularnych miejscowościach jak Hvar, Jelsa czy Milna. No i oszczędzamy, bo nikt nie pobiera opłat za parking – dla garstki ludzi nie opłaca się obsadzać budek. Żal mi tylko hostess i hostów w restauracjach. Nie mają kogo odprowadzać do stolików, smutno witają nielicznych turystów.

Zastanawiam się, czy te pustki nie wynikają z tego, że sezon na dobre się nie rozpoczął, jest przecież dopiero połowa czerwca, ale Irin, właścicielka mieszkania, mówi, że

turystów, którzy zrezygnowali z podróży do Włoch czy Hiszpanii – krajów zdecydowanie bardziej dotkniętych koronawirusem.

I rzeczywiście, koło 20 czerwca stęsknieni za Adriatykiem podróżni znów zaczynają się pojawiać w Chorwacji. Wciąż trudno mówić o tłumach, ale widać wyraźny ruch. Pod koniec czerwca popularniejsze plaże zaczynają się zapęłniać. Wciąż da się zachować bezpieczny dystans, ale gdzieś tam robi się tłoczno. Mimo to o maseczkach na kąpieliskach czy pleksi między leżakami nikt nie wspomina – kameralne kamieniste plaże Hvaru wyglądają więc jak zwykle. Gdy wsiadamy na prom w drodze powrotnej, obsługa wciąż nie ma maseczek, chociaż od 25 czerwca w Chorwacji wprowadzono obowiązek ich noszenia w środkach komunikacji publicznej. Trzymam kciuki za Chorwatów, by ten wakacyjny raj, mimo ich niefrasobliwości i gościnności otwarcia granic, nie przekształcił się na jesieni w pandemiczne piekło.

Wracamy do domu

W drodze powrotnej zatrzymujemy się na nocleg w Zagrzebiu. Włączamy telewizor. W wiadomościach podają, że kolejka na granicy chorwacko-słoweńskiej (dla wjeżdżających) ma 5 km, w Chorwacji zaś przebywa już 300 tys. zagranicznych turystów. COVID-19 wciąż jest tematem numer jeden, obok wyborów parlamentarnych 5 lipca.

28 czerwca ruszamy dalej do Polski. I też musimy odstać swoje w przeszło godzinny korku na granicy ze Słowenią. Na szczęście dalej idzie już sprawnie – na granicy słoweńsko-austriackiej wprawdzie musimy na sekundę się zatrzymać, ale kolejki nie ma. Nie żądają nawet pokazania dokumentów. Policjant spogląda tylko na nas – rodzinę z dwójką dzieci w obładowanym samochodzie – i macha, abyśmy jechali dalej. Granicy austriacko-czeskiej znów w ogóle nie zauważam.

Przed granicą z Polską, na drodze w czeskim kierunku, widzimy taki sam niewielki ogonek do kontroli dokumentów jak podczas wyjazdu. Polska granica jest całkowicie otwarta. Mam nadzieję, że już taka pozostanie.

Anna Brzeska

Przeżyć za jedną trzecią

Jak czytam na stronie euractiv.pl, chorwacki minister turystyki Gari Cappelli przewiduje, że zyski z tego rocznego sezonu wyniosą jedynie ok. 30% ubiegłorocznej kwoty. Chorwaci mają jednak nadzieję, że ponieważ ich kraj do tej pory znakomicie radził sobie z pandemią (na 30 czerwca zanotowano zaledwie 2777 zakażeń i 107 zgonów), przyciągnie tych



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Bezwiary

Jedziemy w Bieszczady. Radia słuchamy, mówią, że Dudzie rośnie, a zatem Trzaskowskiemu spada, przełączamy w poszukiwaniu muzyki, ale wszędzie gładzą, wyłączamy. Mam mówić, co widzę za oknem, bo Żona skupiona na drodze.

No co ja widzę: ach, jakie rozległe pola (zwątpienia), jakie bezkresne rozpostarcia (braku perspektyw), jakież rozległe łany (zwiędłej nadziei). Duda uśmiecha się w każdym terenie zabudowanym, zwielokrotniony uśmiech Dudy gdzie by spojrzeć, jego pucułowate lica na prawo, z lewa jego rowek na podbródku, jego głębokie, opiekuńcze spojrzenie dobrego gospodarza czuwa nad każdym obejściem, im bliżej granicy państwa, tym bardziej, tym więcej, tym dudziej. Jakby sąsiad nad sąsiadem chciał także liczbą plakatów wyborczych rozwieszonych na płocie dominować: Kargul powieśił Dudę, to Pawlak przyduził dwakroć, ale nazajutrz u Kargula trzeci i czwarty Duda na dowieszkę, to Pawlak w te pędy zamawia rulon Dud i okala nimi całe swoje terytorium, zostawiając tylko tabliczkę z napisem „Teren prywatny” („Złego psa” tymczasowo zdjął, żeby się źle nie skojarzył z obliczem kandydata).

O, barszcze widzę. Żona zgłodziła, chce się zatrzymać, ale dopowiadam, że to nie reklama zajazdu, tylko barszcz Sosnowskiego, agresywny chwast, najeżdźca sowiecki, wielki, żarłoczny i niebezpieczny, można się poparzyć nawet śmiertelnie, ba, w upalne dni ten potwór parzy na odległość, pyli czy nawet pluje toksycznym opryskiem. Coraz większe te barszcze, jak monstrealne kopry, trzy-, czterometrowej wysokości, całe pola monstrealnych chwaścideł, które tylko czekają, żeby ktoś w nie wpadł. O, parolotniarz. Wysoko, ale gdyby tak musiał w tych barszczach awaryjnie lądować, to po nim. Bolszewicka zaraza wyparzy do kości. I wizję mam zaraz, że to my właśnie teraz, tydzień przed ostatecznym rozwiązaniem kwestii polskiej demokracji – jeszcze nam się wydaje, że mamy dobre noszenie, ale zaraz wpadniemy w korkociąg, zaraz zapikujemy w śmiertelne parzydła, no ale jeszcze, jeszcze: lecimy, jedziemy, w Bieszczady, bo wakacje, bo dzieci, bo trzeba jakoś żyć. I wiemy, że trzeba będzie także po dwunastym, bo dzieci, bo praca, bo kredyty, ale to już będzie życie jakby w Obczyźnie; nie wyemigrujemy w porę, a nagle okaże się, że i tak żyjemy już w cudzym kraju, nie ruszając się z miejsca, staniemy

się z miejsca uchodźcami, nie zmieniając obywatelstwa, staniemy się obywatelami kategorii pośledniej. Bo nie podoba mi się, no ale jak mi się nie podoba, to nie chcę od razu „wypierdalać do Izraela albo innych Niemiec”.

O, czas się cofnął. Tylko o godzinę, szkoda, że nie o pięć lat; wjechaliśmy w zasięg ukraiński. Trzeba wyłączyć transfer danych, bo się nalicza kosmiczny rachunek – dzieci się buntują oderwane od filmików; tłumaczę, że fizycznie jesteśmy w Polsce, ale wirtualnie już na Wschodzie, poza Unią, a one nie rozumieją, ciągle tak zrzędzę, od pięciu lat podobno, nie obchodzi ich polityka, chcą internetu. O, stacja benzynowa, Nieorlen, więc można się zatrzymać, my na kawę, dzieci na lody, piesek na sikupę przy skwerku. Kilka osób w kolejce, dwóch pracowników – wszyscy chyba tutejsi, podkarpaccy. Uśmiechają się do nas, zagadują dzieciaka, zdają się sympatyczni, pan dopytuje o pieska, mówi, że weterynarz. Wszyscy weterynarze to dobrzy ludzie, mam takie głębokie przekonanie, od kiedy zachodzę z pieskiem tu i tam w jego potrzebie zdrowotnej; to ludzie z sercem na dłoni.

Nagle okaże się, że i tak żyjemy już w cudzym kraju, nie zmieniając obywatelstwa, staniemy się obywatelami kategorii pośledniej.

A ja jestem w obsesji – to silniejsze niż rozum, to już panika – patrzę na tych ludzi i myślę: ilu z nich na Dudę, może wszyscy? Czy ty, dobry człowieku, bo widzę, żeś pocciwy i rozumny, jak tak mi pieska głaszcysz, oddasz głos na narodowego socjalistę? I ty, dziewczyno z za kasy, tak pięknie uśmiechnięta, z tym samym uśmiechem przyjmiesz kolejne lata jedynowładztwa kacystów? Nie wołam na puszczy, nikt nie woła, jedźmy.

Jedziemy. Zielone wzgórza falują, połoninki, cerkiewki, strumyczki, wrócił polski zasięg. Tabliczka „Uwaga niedźwiedź”. Rzeka Wiar przeczysta. A ja w bezwiarach. Staram się nie myśleć o katastrofie, ale czynię to bez wiary.

Zostało nam jeszcze kilka dni.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Lech Miodek

Jest czerwiec 2020 r. Wenezuela rozpada się, w Caracas brakuje energii elektrycznej i wody, gospodarka jest sparaliżowana, szaleją hiperinflacja i koronawirus. Nicolás Maduro pozostaje u władzy, a zmęczeni i głodni ludzie coraz mniej wierzą w Juana Guaidó. Sytuacja jest dramatyczna, ale są pewne kwestie, którym warto spokojnie się przyjrzeć. Los Wenezueli znalazł się w rękach nie tylko Madura i Guaidó, ale też Trumpa.

Zaskakujący wywiad

Zaczął się od wywiadu Donalda Trumpa dla portalu Axios, który opublikował jego fragmenty 21 czerwca. „Nigdy nie byłem przeciwny spotkaniom. Nie wykluczam spotkania z Madurem, jeśli zechce się spotkać”, powiedział Trump. W tym samym wywiadzie Trump wyraził wątpliwości co do roli i możliwości przywódcy opozycji wenezuelskiej Juana Guaidó, który w styczniu 2019 r. ogłosił się tymczasowym prezydentem Wenezueli i jako taki został uznany przez ponad 50 państw. Jako pierwsze uznały go Stany Zjednoczone. Równocześnie prezydenturę Nicolása Madura, pod pretekstem sfałszowania wyborów w 2018 r., USA określiły jako nielegalną. „Guaidó został wybrany. Uważam, że zasługiwał na poparcie. Byli tacy, którym to się podobało, a innym nie. Nie sądzę, aby to miało szczególne znaczenie”, mówił wtedy Donald Trump.

Czerwcowy wywiad prezydenta USA dla Axios zbiegł się z opublikowaniem wspomnień byłego doradcy do spraw bezpieczeństwa w gabinecie Trumpa, Johna Boltona. Twierdzi on, że Trump miał wątpliwości co do Guaidó już parę godzin po ogłoszeniu decyzji o uznaniu go za tymczasowego prezydenta Wenezueli. Uważał, że jest on zbyt młody i niedoświadczony. Bolton pisze, że Trump nazywał go dzieckiem w porównaniu z twardym Madurem. Trump miał też powiedzieć: „Wszystko mi jedno, z Guaidó czy bez niego. Jestem przeciwny temu, co dzieje się w Wenezueli”. Zdaniem Boltona Trump uznał za genialny pomysł inwazji na Wenezuelę. Wzorem

Kto uratuje Wenezuelę

Donald Trump niespodziewanie wyciąga rękę do Madura, Moskwa oczekuje zniesienia sankcji

miały być interwencje wojskowe USA w Panamie i na Grenadzie w latach 80.

A teraz Trump mówi o spotkaniu z Madurem. Może to dziwić tym bardziej, że od stycznia 2019 r. rząd USA prowadzi ostrą kampanię, której celem ma być odsunięcie wenezuelskiego przywódcy od władzy. Przypisuje się mu oszustwa, obwinia o powszechną korupcję, poważne przypadki naruszenia praw człowieka i odpowiedzialność za społeczną i gospodarczą katastrofę, a także wspieranie międzynarodowego terroryzmu. Kiedy jeszcze na początku lutego br. Donald Trump przedstawił w Kongresie orędzie o stanie

Zdaniem Johna Boltona Trump uznał za genialny pomysł inwazji na Wenezuelę.

państwa, zapewniał, że „tyrania Madura będzie zmiażdżona”. Kierując wzrok w stronę siedzącego na galerii Juana Guaidó, nazwał go prawdziwym prezydentem. „Maduro jest nielegalnym prezydentem, tyranem własnego narodu... Nadzieję wszystkich Wenezuelczyków jest Juan Guaidó”, mówił Trump.

Szybka reakcja Moskwy

Co się więc stało? Czy Trumpowi tak bardzo zależy na głosach Latynosów z Florydy w listopadowych wyborach prezydenckich? Faktem jest, że to Floryda z reguły decyduje o wynikach wyborów. Społeczność latynoska jest w tym stanie olbrzymia, a bogaci Wenezuelczycy z Florydy chcieliby bogacić się na handlu z krajem. Nie mogą jednak tego robić z powodu nałożonej przez USA blokady finansowej i gospodarczej. Poprawa stosunków Waszyngtonu z Caracas umożliwiłaby te biznesy.

Trump musi szukać poparcia, bowiem nie radzi sobie z pandemią

koronawirusa. Na dodatek w kraju doszło do wybuchu społecznego przeciwko rasizmowi. Dlatego ubiegający się o reelekcję amerykański prezydent chce zwiększyć swoją popularność poprzez aktywność w polityce zagranicznej. Przykładem niech będzie wizyta w Waszyngtonie prezydenta Dudy. Po 4 lipca planowana jest wizyta prezydenta Meksyku. Jednak w przypadku Wenezueli część wyborców mogłaby nie zrozumieć nagłego otwarcia na dialog, skoro równolegle prowadzi się ostrą blokadę tego kraju. Dlatego dwa dni po publikacji wywiadu doradcy Trumpa ds. Ameryki Łacińskiej zaczęli natychmiast wzmacniać poparcie dla

Guaidó, a sam prezydent prostował swoją wypowiedź, mówiąc, że tematem spotkania z Madurem będzie pokojowe odsunięcie go od władzy, co było złamaniem podstawowych kanonów dyplomacji. Chyba niczego gorszego nie mógł wymyśleć.

Na sugestię Trumpa szybko zareagowało rosyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, na razie ostrożnie, na niskim szczeblu: „Uważamy, że sygnał pochodzący od prezydenta USA o możliwości spotkania z prezydentem Madurem jest sygnałem w dobrą stronę”, oświadczył Aleksander Shchetin, dyrektor departamentu Ameryki Łacińskiej. Zaapelował do Caracas i Waszyngtonu o znalezienie miejsca i momentu do bezpośrednich rozmów.

Shchetin powiedział też, że Moskwa zaprosiła Madura do złożenia wizyty w Rosji, i wezwał Waszyngton do szybkiego zniesienia amerykańskich sankcji przeciwko Wenezueli. Przypomniał, że na kontaktach w bankach amerykańskich i europejskich Wenezuela ma zablokowane prawie 10 mld dol. oraz 31 ton złota w Wielkiej Brytanii. Rosji zależy na normalizacji sytuacji w Wenezueli



Juan Guaidó nadrabia miną, ale jego sytuacja jest bardzo trudna.

i w regionie Karaibów. Poprawa sytuacji gospodarczej tego kraju może dać szansę na spłatę 11 mld dol. długu wobec Moskwy. Może też pozytywnie wpłynąć na sytuację gospodarczą Kuby, a przez to zwolnić Rosję z konieczności świadczenia różnego rodzaju pomocy wyspie.

Sam Maduro wyrażał zainteresowanie spotkaniem z Trumpem od 2017 r. W czasie wystąpienia na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ we wrześniu 2019 r. mówił: „Potwierdzam z tej trybuny, mimo olbrzymich różnic historycznych i ideologicznych (...), że byłbym gotów uścisnąć dłoń prezydenta Stanów Zjednoczonych i zasiąść do dialogu w sprawach różnic między obu państwami i regionalnych. (...) Jestem gotów rozmawiać otwarcie, na wszystkie tematy, którymi Stany Zjednoczone byłyby zainteresowane, z otwartością i szczerością”.

Bezsilny Guaidó, pewny siebie Maduro

Nicolás Maduro doskonale wie, że nie może zrezygnować. Gdyby odszedł z urzędu, czekałaby go bardzo niepewna przyszłość. Musi więc wytrzymać wszystkie naciski, czekać na poprawę sytuacji w kraju i w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi oraz na rozłam w łonie opozycji. Może ustąpić tylko przed siłą.

Donald Trump deklarował użycie wszelkich środków dla pozbycia się Maduro, wprowadził sankcje, a samą Wenezuelę określił państwem narkotykowym. Jednak z różnych powodów nie może zdecydować się na działania zbrojne. Najpierw musiałby bowiem uzasadnić wysłanie żołnierzy przed Kongresem. A to byłoby trudne, amerykańscy żołnierze w Wenezueli bowiem mogliby spotkać się z desperackim oporem. Sam Trump zostałby uznany za agresora działającego bez żadnych hamulców, łamiącego układy międzynarodowe. Z drugiej strony, jeśli nie będzie interweniować, może stracić opinię twardego i zdecydowanego przywódcy.

Spotkanie Trumpa z Madurem byłoby ciosem dla przywódcy opozycji wenezuelskiej. Chociaż ponad 50 państw uznaje Guaidó za tymczasowego prezydenta Wenezueli, to jego władza w kraju jest ciągle symboliczna. Entuzjazm jego głównego sponsora, Stanów Zjednoczonych, wyraźnie maleje. Nie jest to bez znaczenia nawet dla jego osobistego bezpieczeństwa. Spadek poparcia może zachęcić rząd Madura do jego aresztowania. Wstrzymuje go tylko obawa przed reakcją Waszyngtonu.

Nieudolne działania opozycji, jak próba sprowadzenia pomocy humanitarnej przez granicę z Kolumbią, która zakończyła się starciem z milicją boliwariańską, doprowadziły do

wzrostu frustracji i rezygnacji w społeczeństwie. Sił nie przysporzyła opozycji niejednoznaczność Guaidó, który raz mówił o możliwości dialogu z chavizmem, a kiedy indziej nie wykluczał interwencji zbrojnej. „Musimy uwzględnić wszystkie opcje” lub „wszystkie scenariusze są otwarte” to hasła, które miały doprowadzić do powstania szerokiego frontu walki z chavizmem i połączenia na tej podstawie postępowych grup społeczeństwa z radykalnie prawicowymi. Guaidó próbował zadowolić wszystkich.

Doradcy Guaidó wstrzymują się od wyrażania opinii o sugestii Trumpa, co sprzyja spekulacjom o stopniu uzależnienia przywódcy opozycji od Waszyngtonu. Oparcie strategii opozycji na tak niestabilnej postaci jak Trump wzmacnia niepewność nawet w części społeczeństwa sprzyjającej Guaidó.

Maduro umiejętnie wykorzystuje każde jego potknięcie i obwinia opozycję o wszystkie bolączki Wenezueli. Odpowiadając Trumpowi oraz opozycji wewnętrznej i zagranicznej, domagającej się jego ustąpienia, pewny siebie Maduro mówił: „10 stycznia 2022 r. otworzy się przed tymi, którzy chcieliby odwołania prezydenta Madura, możliwość zbierania podpisów pod referendum odwoławczym. Wyjdźcie na ulice i proście ludzi o podpisy. Jeśli zbierzecie odpowiednią liczbę podpisów, zgodnie z konstytucją, to zmierzmy się przy urnach”. A podnosząc głos, ostrzegł: „O tym zdecyduje naród, a nie grupka zamachowców i nie rząd Stanów Zjednoczonych. Nie będzie o tym decydował prezydent Donald Trump ani pretendujący do Białego Domu Joe Biden”.

Opozycja skupiona wokół Guaidó w sprawie tej formy odwołania prezydenta dotąd się nie wypowiedziała. Uwagę skupiła na wyborach parlamentarnych organizowanych przez będącą w rękach władzy Krajową Radę Wyborczą. Wybory przełożono na październik, ale opozycja już teraz zapowiedziała, że nie uzna ich rezultatów. Nie proponuje jednak rozwiązania alternatywnego, przez co traci poparcie społeczne. Guaidó musi wykazać się silnym przywództwem, ale nie jest jasne, jakie zdecydowane działania może podjąć, aby nie spaść w polityczną otchłań. ■

Wyścig do wakacyjnych kursów

Młodzi Amerykanie, skoro nie mogą latem pracować, przypuścili szturm na szkoły

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja ze Stanów
Zjednoczonych

Pandemia wywróciła do góry nogami rok szkolny, teraz to samo robi z wakacjami. Myli się jednak ten, kto uważa, że młodzi Amerykanie płaczą po skasowanych obozach i podróżach. Jeśli płaczą, to po straconych możliwościach pracy zarobkowej, która dla większości z nich od zawsze pozostaje głównym pomysłem na wakacje. Ale w ogóle to nie płaczą, nie mają czasu. Skoro nie mogą latem pracować, przypuścili szturm na... szkoły.

Jak donosi magazyn „University Business News”, liczba zapisów na tegoroczne letnie kursy wzrosła średnio o 15%. Im zaś uczelnia tańsza, tym wzrost większy, co oczywiście nie dziwi, biorąc pod uwagę koszty szkolnictwa wyższego. Znaczenie ma też fakt, że amerykański system zezwala na międzyuczelniany transfer kredytów. Skoro zajęcia i tak odbywają się online, młodzież korzysta z okazji i zapisuje się na te uniwersytety, gdzie jest najtańiej. Do rekordzistów należą więc m.in. Uniwersytet Indiany w Bloomington (uczelnia publiczna, 40 tys. studentów), gdzie na wakacyjne kursy przyjęto o 22% więcej chętnych niż w roku ubiegłym, oraz California Lutheran University (uczelnia prywatna, 3,5 tys. studentów), gdzie latem będzie się kształcić o 33% więcej studentów niż rok temu.

Bez wakacji na studiach, bo tak taniej

Amerykańskie uniwersytety nie zamykają na lato swoich podwojów, a pojęcie semestr letni nie jest oksymoronem. Studenci bardzo często zamieniają wakacyjny odpoczynek na naukę z kilku ważnych przyczyn. Po pierwsze, chcą szybciej zdobyć dyplom i w ten sposób zmniejszyć

koszt studiów. Po drugie, nie przerywają nauki ci, którzy będąc na studiach dziennych, pracują – często w pełnym wymiarze godzin – lecz mimo to chcą skończyć studia w terminie. Wreszcie letnie kursy są koniecznością dla osób studiujących na kilku kierunkach naraz, co w dzisiejszych czasach pogoni za znakomitym dyplomem i jak najgrubszym CV jest coraz powszechniejsze. Trzy lata temu Kongres przywrócił zniesione przez prezydenta George’a W. Busha prawo ubiegania się o pomoc finansową i stypendia w celu pokrycia kosztów nauki także latem i to podniosło o 20% liczbę adeptów letnich szkół. Jako matka studentki potwierdzam, że nie znam wśród studenckiej braci nikogo, kto nie zaliczałby w wakacje przynajmniej jednego kursu równoważnego zajęciom semestralnym. Wielką zaletą tych szkół, nie tylko w czasie pandemii,

Dla większości nastolatków praca zarobkowa od zawsze pozostaje głównym pomysłem na wakacje.

są ich atrakcyjne ceny i zniżki, nawet o 30-50% w porównaniu z cenami w semestrach jesiennym i wiosennym. Za sześciotygodniowy kurs statystyki naszej córki zapłaciliśmy 1,5 tys. dol. Jego „normalny” odpowiednik kosztuje 3 tys. dol.

Wreszcie nie można nie wspomnieć, że letnie szkoły to nie tylko wygoda i oszczędność dla studenta, ale także wymierny zarobek dla uczelni. Amerykańskie uniwersytety są zarządzane podobnie jak korporacje i jak one nieustannie poszukują źródeł dodatkowego dochodu.

Bez wakacji w liceum, bo pandemia

Covidowe wakacje przyniosły jednak rekordowe zapisy także na letnie szkoły dla licealistów. Trend, dodajmy, który rozwijał się huraganowo jeszcze przed pandemią,

był odpowiedzialny za to, że już co drugi amerykański licealista spędza część wakacji na odrabianiu lekcji. Dla porównania w 1985 r. odsetek ten wynosił mniej niż 10%, a 20 lat temu – 25% (dane Centralnego Biura Statystycznego USA).

Jako osoba wykształcona w Europie i prześlągnięta (moi amerykańscy znajomi twierdzą, że zdemoralizowana) poczuć, że na wszystko w życiu powinien być czas i miejsce, szczególnie na odpoczynek w życiu ucznia, pamiętam zaskoczenie, gdy pod koniec pierwszej klasy liceum 14-letnia córka podsunęła mi pod nos swój plan lekcji na wakacje. – Jakie lekcje w wakacje? – nie zrozumiałam, zresztą mój amerykański mąż też nie, bo on wakacje spędzał na pracy w rodzinnej firmie. Ostatecznie pozwoliliśmy córce zapisać się na WF i geografię, kierując się prognozowaną ilością pracy domowej, jaka

miała być z tym przedsięwzięciem związana. Godzinę lekcji po siedmiodziesięciu dniem w szkole uznałam za maksimum, jakie mieściło się w moim pojęciu równowagi między nauką a odpoczynkiem w wakacje. Ponadto kursy z tych przedmiotów odbywały się w czerwcu i na początku lipca, a my mieliśmy w planach rodzinny wyjazd do Polski.

W tym roku, jak donosi magazyn „Education Week”, liczba młodzieży licealnej planującej kontynuować naukę w lipcu i sierpniu podskoczyła w niektórych miejscowościach nawet do 75%. Tak będzie np. w stanie Nowy Jork, gdzie władze oświatowe organizują korepetycje i zajęcia wyrównawcze dla uczniów, którzy oblałi prowadzony zdalnie drugi semestr roku szkolnego.

Za wysoką frekwencją tam, gdzie uczniowie zapisali się na letnią szkołę z własnej woli, bez wątplenia stoi



Na Uniwersytet Indiany w Bloomington przyjęto na letnie kursy o 22% więcej chętnych niż w roku ubiegłym.

chciwości, w miarę jak uczelnie podnoszą czesne, podnoszą też progi kwalifikacyjne do stypendiów, zwłaszcza za wyniki w nauce. Jeszcze kilkanaście lat temu, by dostać stypendium, wystarczyły dobre oceny i dowód na to, że dziecko ma jakieś dodatkowe zainteresowania poza lekcjami, nauczyło się np. biegle grać na instrumencie muzycznym lub należało do szkolnej sekcji siatkówki. Dziś już nie. Możliwe, że wśród kandydatów na

dojmujący brak perspektyw na znalezienie w tym roku wakacyjnego zatrudnienia. Wskaźnik bezrobocia wśród amerykańskich nastolatków (tak, w Ameryce mierzy się bezrobociu w przedziale wiekowym 16-19 lat!) wynosi obecnie 30%. W przedziale 16-24 lata spada do 26%. To dlatego, że lekcje w wakacje nadal będą się odbywać wyłącznie online, a mnóstwo rodziców również kontynuuje pracę zdalnie i nie ma w planach żadnych wyjazdów, więc nauka jest formą zagospodarowania nastolatkom czasu i to w sposób najbardziej pożyteczny z możliwych. Czy zdrowy – to już inna sprawa.

Bez wakacji, bo wzorowe świadectwo to za mało

Skąd w ogóle pomysł, by w wakacje otwierać szkoły, i to publiczne? Szkolnictwo publiczne wciąż jest w USA bezpłatne, finansowane z podatków, chyba więc nie chodzi, jak w przypadku uniwersytetów, po prostu o pieniądze? I tak, i nie. Za wakacyjną naukę w liceum rzeczywiście trzeba płacić. Nie są to kolosalne ceny, ok. 100-150 dol. za miesięczny kurs z jednego przedmiotu, ale dla sektora tak pogrążonego od lat w kryzysie jak szkoła publiczna jest to jakiś zastrzyk do budżetu, z którego można sfinansować zakup nowych ławek czy tablic interaktywnych.

Ważniejsza i ciekawsza przyczyna, dla której amerykańscy licealiści spędzają wakacje na nauce, leży gdzie indziej. Pisałam rok temu o kosztach studiów w USA. Są one dziś już tak astronomiczne, że nawet normalnie zarabiającej rodziny z klasy średniej nie stać, by opłacić dziecku czteroletnie studia licencjackie. Ich koszt (łącznie chesne i utrzymanie) to średnio 30 tys. dol. rocznie na tzw. uczelni publicznej, czyli instytucji współfinansowanej przez władze stanu, oraz kwota co najmniej dwa razy taka na uczelni

studia zrobiło się za dużo tych wzorowych, wszechstronnie rozwiniętych i aktywnych w każdej dziedzinie, co jest efektem zabiegów przecznych i rachujących rodziców. Jak podaje Biuro Statystyczne USA, od lat 80. XX w. liczba licealistów zapisanych na cztery i więcej zajęć pozalekcyjnych, w tym do sekcji sportowych, podwoiła się, co ciekawe, nawet kosztem znacznego nadwyżęzania domowych budżetów. – By opłacać dzieciom zajęcia pozalekcyjne, aż 29% rodziców rezygnuje z urlopu, a 26% sięga po oszczędności pierwotnie

Już co drugi amerykański licealista spędza część wakacji na odrabianiu lekcji.

prywatnej. Jakie to wyzwanie dla domowego budżetu, wyjaśnia Camilo Maldonado, konsultant finansowy i redaktor magazynu „Forbes”: – W latach 1989-2016 średni roczny wzrost zarobków w USA wynosił 0,3%. Koszt studiów wzrastał tymczasem o 2,6% w skali roku, a więc osiem razy szybciej niż zarobki.

Nie dziwi więc, że Amerykanie chwytają się każdego możliwego sposobu, by choć trochę zbić te szalone koszty. Najzdolniejsi z jednej strony, a najbiedniejsi z drugiej, mogą liczyć na stypendia. Niestety, z przyczyn znanych tylko sobie, a zapewne po prostu ze zwykłej

przeznaczone na coś innego, 18% bierze pożyczki, a 17% dodatkową pracę – wyjawiał rok temu Doyle Williams, wiceszef grupy ubezpieczeniowej Country Financial, komentując raport na temat kondycji finansowej współczesnego amerykańskiego rodzica. Natomiast politolog William Hurst z Uniwersytetu Northwestern w Illinois dodał: – Presja idzie z góry. Rodzice się poświęcają, bo słuchają szkolnych pedagogów i doradców uniwersyteckich, a ci naciskają, by uczniowie angażowali się w maksymalną liczbę zajęć pozaszkolnych, gdyż pomoże im to zdobyć indeks na wybraną uczelnię.

► Najnowszym pomysłem na zabicie kosztów studiów jest... wkroczenie przez dziecko na ścieżkę edukacji akademickiej już w liceum. A konkretnie uczęszczanie na zajęcia, za które można otrzymać od uniwersytetu punkty kredytowe i w ten sposób już na starcie zbić czesne.

Amerykańska szkoła, jak przystało na flagową instytucję w kraju nagradzającym wysiłek i wyjątkowość, od zawsze starała się umożliwić najzdolniejszym realizację szybszej ścieżki edukacyjnej. Licealista, a nawet gimnazjalista, który wyczerpie ofertę programową swojego rejonowego publicznego liceum, ma więc prawo kontynuować naukę wybranych przedmiotów na uczelni wyższej, koszty tej edukacji pokrywa

dane liceum do jego ukończenia, uczeń zyskuje w planie lekcji miejsce na przedmioty AP w ciągu roku szkolnego. Po drugie na zajęcia AP, zwłaszcza te najbardziej wymagające, można się zapisać właśnie latem, choć niekoniecznie po to, by je zaliczyć i przygotować się do egzaminu. Raczej po to, by było łatwiej, gdy będzie się je ponownie przerabiał w czasie roku szkolnego, a w planie lekcji będą, obok nich, i inne z tej kategorii. Podsumowując: już sześć dobrze zdanych egzaminów AP w liceum (łączny koszt to 600 dol.) może przyszłemu studentowi uzyskać nawet do 40-50 punktów kredytowych, co przelicza się na równowartość co najmniej jednego roku studiów. Nie wspominając, że duża liczba zdanych

zwykle istotna w kraju, gdzie komunikacja publiczna w wielu miejscach nie istnieje i już nastolatek musi mieć własne cztery kółka, by funkcjonować. Młodzież pracuje, by zarobić na własne auto i na studia, ale nie tylko. Praca nastolatka to w amerykańskiej kulturze swoisty rytuał inicjacji w dorosłość, a jednocześnie test na zaradność, samodzielność i przedsiębiorczość młodego człowieka, zestaw cech wpajanych tu dzieciom od małego jako najważniejsze w życiu. Amerykańska młodzież zawsze w wakacje więcej pracowała, niż odpoczywała, nie widząc w tym jednak nic złego, wręcz przeciwnie, ciesząc się, że może zacząć zarabiać na własne utrzymanie, a nawet dokładać się do domowego budżetu. Dygresja: do dzisiaj silny jest w Ameryce front rodzicielski wyznający zasadę, że po ukończeniu 16. roku życia – w tym wieku oficjalnie kończy się obowiązek nauki – dziecko powinno płacić rodzicom za utrzymanie. Znam przypadki, gdzie dorosłe już dzieci spłacały rodzicom „dług” za ostatnie lata życia pod wspólnym dachem, czyli zanim wyjechały na studia i rozpoczęły całkowicie samodzielną egzystencję.

Podobno nauki nigdy za dużo, a nasze dzieci potrzebują jej więcej niż jakiekolwiek pokolenie przed nimi, nie tylko po to, by dalej pchać cywilizację do przodu, lecz by odnaleźć się w świecie, który dla nich stworzyliśmy. Optymiści twierdzą, że pandemia przydarzyła się nam, byśmy zaczęli inwestować energię tylko w to, co naprawdę jest dla nas ważne i wartościowe. Amerykańska młodzież skazana na co dzień na nie najlepszą szkołę publiczną z pewnością zyska, poświęcając jeszcze większą część wakacji na naukę.

Nie można tylko zapominać o jednym. Letnia szkoła, zwłaszcza dla studentów, to w Ameryce towar z ceną przyporządkowaną zawrót głowy i finansowany dziś głównie przez dług studencki. I bez pandemii nikt nie miał dobrego pomysłu, jak z tego długu się wygrzebać. Obyśmy po pandemii nie obudzili się w świecie wieszczonym przez pesymistów, gdzie oprócz śmierci i podatków pewne będzie tylko gremialne, narodowe bankructwo.

Do dzisiaj silny jest front rodzicielski wyznający zasadę, że po ukończeniu 16. roku życia dziecko powinno rodzicom płacić za utrzymanie.

zaś kuratorium. Dziś najzdolniejsi i najambitniejsi coraz rzadziej jednak muszą opuszczać mury liceum, by uczęszczać na zajęcia uniwersyteckie. Mogą to robić we własnej szkole. Większość amerykańskich liceów ma bowiem w ofercie przedmioty opatrzone nazwą AP – Advanced Placement, czyli akredytowane kursy, te same, które studenci pierwszych lat zwykle zaliczają w ramach zajęć obowiązkowych. Co więcej, o ile jeszcze 10 lat temu na lekcje AP mogli zapisywać się tylko uczniowie klas maturalnych, a szkolni pedagodzy pilnowali, by uczeń nie miał w planie więcej niż trzech takich przedmiotów na semestr ze względu na poziom wymagań i ilość pracy domowej, o tyle obecnie lekcje AP można znaleźć już w planach wielu drugoklasistów. I nikogo nie dziwi trzecio- czy czwartoklasista, który ma w grafiku wyłącznie zajęcia AP. Opłata za egzamin z przedmiotu AP, wymagany, by ubiegać się o uniwersyteckie kredyty, to ledwie 100 dol. Zdany na czwórkę lub wyżej gwarantuje tych punktów co najmniej trzy, a więc zaoszczędza na czesnym od 1,5 tys. do 2 tys. dol.

Przywodzi to nas z powrotem do wątku szkoły letniej. Pomaga ona uczniowi w dwójnasób. Zaliczywszy latem przedmioty wymagane przez

egzaminów AP to niezwykle silna karta przetargowa w wyścigu po indeks do wymarzonej szkoły. – Jeśli komisja rekrutacyjna ma przed sobą ucznia z 10 zdanymi egzaminami AP i jego kolegę, który zdał trzy, to bez dwóch zdań wybierze pierwszego, nawet jeśli średnia jego ocen jest niższa – wyjaśnia Brian Taylor, dyrektor centrum doradczo-korepetycyjnego Bluszczowy Trener z Manhattanu w Nowym Jorku.

Bez wakacji, bo i tak ich nigdy nie było

Choć ślęczenie w wakacje nad książkami wydaje się być zaprzeczeniem idei potrzeby regeneracji sił przed kolejnym rokiem szkolnym, warto zauważyć, że tegoroczne wakacje, choć jeszcze bardziej przywalone nauką, i tak mogą okazać się dla amerykańskiej młodzieży dużo mniej pracowite niż normalnie. Odkąd Ameryka Ameryką, letnia przerwa od nauki zawsze była dla młodych ludzi przede wszystkim czasem zarabkowania. Pierwszą „prawdziwą” pracę młodzi podejmują zwykle właśnie w pierwsze wakacje w liceum, bo kończą wtedy 15 lat, a to wiek, od którego można w USA dziecko legalnie zatrudniać, a także dopuścić do egzaminu na prawo jazdy – rzecz nie-

Eliza Sarnacka-Mahoney

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Numer bałtycki

Owszem, podczas przymusowej domówki niektórzy czekali na otwarcie kasyn. Ale nieliczna grupka czuła się osierocona po zamknięciu księgarni Tajne Kompletty. Niepokojąco wyglądały ciemne witryny w Rynku, książki na wystawie, pusta kanapa. Wreszcie kasa, przy której zwykle wymieniano najlepsze plotki w mieście.

Fanatyki przychodzili do księgarzy na nielegalu. Próbowali namierzyć sprzedawców przez telefon albo czaili się na któregoś z księgarzy przed budynkiem, żeby wcisnąć się niepostrzeżenie do środka. Niektórzy mówili, że przyszli po maseczki – i byli gotowi codziennie kupować maseczkę z wierszem – byleby wciągnąć charakterystyczny zapach papieru, przysnąć w którymś z foteli albo wynieść książkę.

Gdzie się podziały głodne duchy, które przychodziły do księgarni codziennie i np. siadały na kanapie o godz. 12.00, żeby wstać z niej o 18.00? Albo ci, co grali w remika przy stoliku pod oknem? Albo czytali gazetę przy legendarnym, odbierającym oddech, cappuccino? Raz na jakiś czas w sieci pojawiało się zdjęcie jednej czy drugiej osoby przyklejonej do szyby. Poszarzała twarz, podkrążone oczy. Nostalgia.

Czekano także na bałtycki numer czasopisma „Cegła”. W jaki sposób wydawca pisma wykona zapowiadaną od dawna okładkę z wody? Czy pobierze ją z morza, czy po prostu pokręci się nocą przy fosie i napełni wiadra wrocławskim szlamem pełnym kaczyczych piór i petów umajonych szminką? Uważni dostrzegali, że w okolicach maja na facebookowej stronie księgarni Tajne Kompletty pojawił się film, na którym red. Karol Pęcherz, fioletowy z zimna, w zbryzganych falą podwiniętych dżinsach stoi w Bałtyku i nabiera wody do baniaka. Raz na jakiś czas wrzaśnie (przez huk przebija się „wa” lub „kur”), podskoczy, ale walczy dzielnie. Poza tym po mieście rozniosła się plotka o rzekomej współpracy Karola (przy produkcji numeru bałtyckiego) z legendą wrocławskiego undergroundu –

wybitnym artystą Jerzym Kosałką. Artysta ów zasłynął np. wystawianiem w gablotach własnych kamieni nerkowych. Można więc było wszystkiego po nim się spodziewać.

Wreszcie zwolniono blokady i wszyscy od razu udali się do Tajnych Kompletów. W środku czekało nie tylko śmiertelnie niebezpieczne cappuccino i wydawnicze nowości (podwodne wydanie „Moby Dicka” z PIW i szalenie modny teraz Walser oraz przeżywająca zaskakujący renesans Ginczanka). Wewnątrz lśnił już bałtycki numer nieregularnika literackiego „Cegła” – oprawiony w wodę.

Wzięłam od razu dwie „Cegły” – jedną z pływającymi w brokacie piankami przemysłowymi i kurpiowską wycinanką (obrus?). Drugą – pełną tajemnicznych kryształów, które mrugały niebiesko, przemieszczały się w górę

Podczas przymusowej domówki niektórzy czekali na otwarcie kasyn. Ale nieliczna grupka czuła się osierocona po zamknięciu księgarni.

i w dół. Nie byłam w stanie kupić trzeciej „Cegły” – tej zaprojektowanej przez słynnego artystę Jerzego Kosałkę. Na (w?) okładce pływały białe dżdżownice. Martwe. – Martwe! – krzyknęłam, kiedy w księgarni Karol dał mi je do ręki. – Co się dziwisz, życie jest... – i tu przemycił kilka cytatów (m.in. z „Moby Dicka”, Walsera i Ginczanki).

Uwikłana w refleksje na temat przemijania, z sercem wykołojonym przez hardcappuccino, z wodą bałtycką pod pachą, wyszłam na morowe powietrze Wrocławia. Już na zewnątrz zdałam sobie sprawę, że kupiłam też 20. biografię Ginczanki. I sama poczułam się jak 20. ekranizacja „Granicy” Zofii Nałkowskiej: trochę niepotrzebna, ale wciąż uparcie wracająca do źródeł.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



www.tygodnikprzeglad.pl

DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku i Twitterze



Powszechny nadal się wtrąca

Widownia w tym teatrze nie przychodzi na spektakle, ale na nieporównywalne z niczym doświadczenie wspólnotowe



Rozmawia Tomasz Miłkowski

Po objęciu dyrektacji Teatru Powszechnego pan i Paweł Łysak przyjęliście jako hasło słowa Zygmunta Hübnera: „Teatr, który się wtrąca”. To kwintesencja programu?

– To fragment większej wypowiedzi Hübnera: „Jestem zwolennikiem teatru, który się wtrąca. Określenie jest nieprecyzyjne, ale nie znajduję lepszego. Teatru, który się wtrąca do polityki, do życia społecznego i do najbardziej intymnych spraw ludzkich. Teatru, który w tych sprawach ma własne zdanie, otwarcie je wypowiada i stara się go bronić – ze sceny, ma się rozumieć. Teatru, który w swoim programie nie kieruje się obchodami rocznicowymi, a tętnem życia, teatru wyczulonego na

problematykę dnia”. Kiedy Paweł Łysak zaprosił mnie pod koniec 2013 r., byśmy razem stanęli do konkursu na dyrektora Teatru Powszechnego, odniesienie do tradycji tego miejsca było dla nas bardzo ważne.

Hübner jest autorem ważnej książki „Polityka i teatr”, źródło hasła nie mogło być trafniejsze, ale pod względem estetycznym nie jest zapewne waszym patronem.

– Niestety, tak to działa, że nic nie starzeje się szybciej niż estetyka. Wciąż mierzymy się z szukaniem nowego języka scenicznego, by wchodzić w kontakt z kolejnymi pokoleniami publiczności. Prowadzę zajęcia w warszawskiej Akademii Teatralnej i często oglądamy rejestracje legendarnych spektakli z dawnych lat. Niektóre fragmenty robiły oszałamiające wrażenie na ówczesnej publiczności,

dziś wśród studentów wzbudzają wręcz śmiech – użyte środki wydają im się zbyt patetyczne, nieadekwatne do współczesnej rzeczywistości. Zresztą o samym Hübnerze mówiło się, że jego pomysł na Teatr Powszechny różnił się od tego, nad czym pracował w Starym Teatrze. Niektórzy recenzenci, jak choćby Marta Fik, czynili mu z tego wyrzuty. A mnie się wydaje, że to naturalna kolej rzeczy, szczególnie dziś, gdy mierzymy się z globalnym obiegiem obrazów i kultury, bazujemy na różnorodnych inspiracjach. W tym sensie staramy się zapraszać artystów, którzy proponują różne estetyki, bo to jest w gruncie rzeczy narzędzie. Ważniejsze jest dla nas to, co artysta ma do powiedzenia, jak potrafi uchwycić to „tętno życia”, o którym wspomina Hübner.

Kogo może pan tu wskazać?

– Niezwykłym przykładem jest Krystian Lupa, który zrealizował u nas spektakl „Capri – wyspa uciekinierów”. Przez lata wierny pewnym tematом szuka dla nich nowych estetyk, wielokrotnie zaskakując odkryciami, użyciem nowych mediów, eksperymentalnymi sposobami pracy z aktorem.

W programie Powszechnego spotykają się spektakle nawiązujące do wielkiej literatury ze scenariuszami pisanymi na scenie, nowa dramaturgia i klasyka. Czego szukacie w klasyce?

– Wystawianie klasyki nigdy nie było dla nas celem samym w sobie, choć Paweł Łysak jest wybitnym znawcą i inscenizatorem Czechowa. Ale gdy już decydujemy się na jakiś klasyczny tytuł, podstawowe pytanie brzmi: „Po co?”. Dlaczego akurat teraz warto powrócić do jakiegoś tytułu? Jaki aspekt współczesnego życia możemy w ten sposób opowiedzieć? Już na początku naszej dyrekcji powiedzieliśmy sobie, że interesuje nas przyszłość, a nie przeszłość. Ale przecież w zajmowaniu się przyszłością nie chodzi o to, żeby tworzyć prorocstwa. Bliskie nam jest rozpoznanie Waltera Benjamina, który uważał, że w rozbłyskach przeszłości możemy zobaczyć przyszłość, tylko musimy uważnie jej się przyglądać, dostrzegać jej pęknięcia i niezakończone procesy. Tak staramy się działać, wystawiając np. „Lalkę” w reżyserii Wojtka Farugi. Interesował nas zapisany przez Prusa niezakończony proces modernizacji społeczeństwa, budowanie wyobrażeń o lepszej

Garbaczewskiego, realizowane z wykorzystaniem technologii VR. Czy w takim rodzaju teatru-nieteatru upatruje pan przyszłość?

– Krzysztof Garbaczewski od lat eksperymentuje z nowymi technologiami w teatrze. Cieszę się, że mogliśmy stworzyć przestrzeń dla jego poszukiwań dotyczących VR i tego, co on sam nazywa „sceną wirtualną”. Szczególnie w czasie epidemii te poszukiwania wydają się istotne, bo duża część naszego życia stała się czymś w rodzaju sceny wirtualnej. Z naszych doświadczeń wynika

Bez zrozumienia procesów globalnych nie jesteśmy dziś w stanie zrozumieć niczego.

jednak, że najciekawsze jest łączenie nowych technologii z żywą obecnością aktorów i widzów, jak choćby w „Nietocie”, gdzie technologia VR służyła jako wehikuł, który przenosił nas w szalony świat Tatr opisanych przez Micińskiego.

Powszechny, jak mało który teatr, jest otwarty na wymianę z artystami z różnych części świata – nawet w zespole pracują aktorzy wywodzący się z różnych stron. Zapewne to świadoma polityka teatru? Praktyczne przezwyciężanie syndromu „obcego”?

– Staramy się tworzyć teatr, który odpowiada na wyzwania globalizacji. Te decyzje wynikają przede wszystkim z naszej potrzeby rozpoznawania rzeczywistości. W „Jak ocalić świat na małej scenie?” zderzyliśmy opowieści o ojcach z Polski, Senegalu i Ukrainy i okazało się, że wiele

współpraca z fundacją Strefa WolnoSłowa. Organizując projekt „Wojna. Pokój. Ukraina” i wystawiając „Dzienniki Majdanu” Wojtka Klemma zwracaliśmy na to uwagę. Współpracę z artystami z Ukrainy zresztą kontynuujemy.

Istotna też była współpraca z artystami z Syrii.

– Chcieliśmy pokazać, że wojna, która trwa tam od 2011 r., nie tylko jest lokalnym konfliktem, ale ma wpływ na naszą rzeczywistość. Mohammad Al Attar, który napisał dla nas sztukę „Damaszek 2045”, mówił,

że w obecnej sytuacji w Syrii widzi przyszłość Europy. Że obecna epoka pogłębiania podziałów i nakręcania spirali nienawiści przez populistów prowadzi do katastrofy. Równie istotne są dla nas spotkania z węgierskim reżyserem Árpádem Schillingiem, który opuścił kraj, bo nie chciał patrzeć, jak autorytaryzm Viktora Orbána staje się codziennością. Jeszcze inną perspektywę proponuje Agnieszka Błońska, Polka mieszkająca w Wielkiej Brytanii.

Premierą graniczną w rozwoju teatru stała się „Kłątwa” Olivera Frlijicia. Od tej pory obserwujemy zjawisko, które nazywam „teatrem po kłątwie”, nie tylko w Powszechnym. Ten spektakl odmienił oblicze teatru?

– Na pewno znacząco wpłynął na życie teatralne w Polsce i wywrócił do góry nogami to, co wcześniej określaliśmy mianem teatru politycznego czy sztuki krytycznej. Okazało się, że wiele działań podejmowano czysto fasadowo, bez prawdziwego ryzyka. Strategia Frlijicia polega na wyszukiwaniu takich tematów, które w danym społeczeństwie stanowią tabu, są nieprzepracowane. Frlijić uważa, że dopiero wtedy możliwa jest prawdziwa dyskusja – gdy podejmuje się te trudne tematy i zaczyna o nich mówić wprost. Ważne w jego teatrze są silne znaki, które działają na emocje widzów. W polskim teatrze, przyzwyczajonym do języka ezopowego, aluzji i delikatnych metafor, to podejście było przełomowe i dla wielu trudne do zaakceptowania.

W Polsce obserwujemy postępujący autorytaryzm, a nasze spektakle mówią o tym otwarcie.

przyszłości, bez pomysłu, jak uporządkować tę katastrofalną rzeczywistość, którą już mamy. W „Bachantkach” Maja Kleczewska odnalazła materiał do opowieści o prawach kobiet, w „Krzyżcie, Chiny!” Paweł Łysak opowiadał, jak niewiele zmieniły się reguły kapitalistycznego wyzysku. Obecnie pracujemy nad współczesną adaptacją „Jądra ciemności” – ten tekst niezwykle rezonuje ze zglobalizowanym światem.

Odrębnym rysem w programie teatru są projekty Krzysztofa

te historie łączy. W Polsce ulegamy wrażeniu, że jesteśmy pępkiem świata i że naszym podstawowym zadaniem jest zrozumieć specyfikę naszej kultury. A my wychodzimy z trochę innego założenia – że bez zrozumienia procesów globalnych nie jesteśmy dziś w stanie zrozumieć niczego. Stąd też centralnym elementem naszego programu stała się tematyka uchodźcza – to temat wielu naszych spektakli, ale też ogromnie dla nas ważna, być może wręcz centralna dla zrozumienia naszej działalności,

► Udało się wam rozniecić emocje silniejsze niż odwołanie premiery widowiska „Golgota Picnic” Rodriga Garcíi na festiwalu Malta (2015). To powód do zmartwienia czy satysfakcji?

– Z jednej strony w ten sposób postrzegamy misję instytucji publicznej jako miejsca, które pobudza i kreuje debatę publiczną. Oliver Frlić powtarza, że zależy mu na tym, by oddziaływanie jego spektakli wychodziło poza ramy teatru. Nie boimy się dyskusji. Natomiast sytuacja, która wydarzyła się po „Kłątwie”, przekroczyła niestety ramy dyskusji. Próby odpalenia rac dywnych na widowni, obłężenie teatru czy rozlanie kwasu, w wyniku czego pracownicy trafili do szpitala, to akty jawnej przemocy. Podobnie jak to, że sprawą zajęła się z urzędu prokuratura, nawet nie oglądając spektaklu. To nic innego jak próby ograniczania wolności artystycznej. **Także inne przedstawienia, zwłaszcza „Mein Kampf”, wywołały złe emocje zwolenników zakazów i tabuizacji niewygodnej z ich punktu widzenia tematyki.**

– To, co obserwujemy w Polsce w ostatnich latach, to postępujący autorytaryzm, a nasze spektakle mniej więcej od premiery „Juliusza Cezara” Barbary Wysockiej mówią o tym otwarcie. Głośno było wokół „Sprawiedliwości” Michała Zadary, gdzie wypędzenie Żydów z Polski w marcu 1968 r. nazwano zbrodnią

Polityka nienawiści, wykluczenia, odgradzania się zaczyna dominować.

przeciwko ludzkości i zostało to podparte ekspertyzami prawników i historyków. „Mein Kampf” wywołało rezonans w mediach zagranicznych jako odważna próba nazwania po imieniu odradzającego się faszyzmu. Nie tylko w Polsce, ale na całym świecie. Polityka nienawiści, wykluczenia, odgradzania się zaczyna obecnie dominować. Przymatem dla tych zjawisk były sprawy związane z kryzysem uchodźczym – dlatego poświęcamy temu tematowi tyle miejsca. Nic nie pokazuje dobitniej współczesnego świata niż ta katastrofa humanitarna, która odbywa się na naszych oczach, z zamykaniem granic, budowaniem płotów i obozów. Obecna epidemia jeszcze to pogłębia.



Bachantki

Jednym z najsilniej akcentowanych motywów przewodnich programu teatru jest feminizm. Spektakle czasem ostro stawiają kwestie przemocy wobec kobiet, ich urzeczowienia i poddawania patriarchalnym regułom życia. Czy jednak wyprośzenie mężczyzn z części spektaklu „Bachantki” nie było przekroczeniem granicy umowy, jaką teatr zawiera z widzem?

– Maja Kleczewska i Łukasz Chotkowski zdecydowali się na ten silny gest. Długo dyskutowaliśmy o tym, odbyło się specjalne spotkanie zespołu. Najwięcej obaw miała sama Maja, a aktorzy przekonywali ją, że to konieczne, że tak przez wieki czuły i czują się kobiety w wielu sytuacjach. Na szczęście widownia jest nastawiona na to, że w tym

teatrze nie przychodzi się na spektakle, ale na nieporównywalne z niczym doświadczenie wspólnotowe, w które wpisany jest element twórczego ryzyka.

Wokół Powszechnego skupił się rozpoznawalny ideowo krąg publiczności. Część recenzentów zarzuca wam, że robicie przedstawienia „dla przekonanych”. Inni mi słowy, że teatr nie pozyskuje nowych zwolenników, co najwyżej utwierdza przekonanych w ich przekonaniach.

– To chybione argumenty, bo przychodzi do nas różnorodna publiczność, często o odmiennych poglądach politycznych, zróżnicowana wiekowo. Łączy ją jedno – ciekawość

nowych form w sztuce. W jednym roku mieliśmy premiery „Mein Kampf”, „Capri” i „Diabłów” i oczywiście w jakiś sposób łączą się one programowo i tematycznie, ale też każdy z tych tytułów jest innym kosmosem, jeśli chodzi o estetykę, środki aktorskie czy strategię twórcze. Niektóre tytuły gramy po kilkadziesiąt razy, więc trudno byłoby je wypełnić jedynie tymi już „przekonanymi”.

Jak silny jest związek między Powszechnym i widzami? Można mówić o relacji zwrotnej? Mam na myśli debaty, warsztaty, rozmaite formy dialogu.

– To jest chyba najpiękniejsze, co udało nam się zbudować – grupę wiernej, wspaniałej publiczności, która żywo reaguje na nasze działania. Często z Pawłem Łysakiem bywamy na spektaklach, jesteśmy ciekawi, jak publiczność reaguje na konkretne sceny czy kwestie. I przeżycia takie jak choćby reakcje na „Kłątwe” czy „Mefista”, albo to, co się działo na widowni podczas „Capri” granego w wieczór wyborczy, kiedy właściwie każda scena i mocniejsza kwestia przerywane były gromkimi brawami. Debaty od początku stały się ważnym uzupełnieniem naszego programu. W ten sposób budujemy kontekst naszych spektakli. Na przykład debata „Zły dotyk władzy”, zorganizowana po premierze „Kłątwy”, stała się pierwszym szerokim forum do rozmowy o pedofilii w Kościele i o cichym przyzwoleniu na nią przez władze. To dzięki udziałowi w tej debacie Joanna Scheuring-Wielgus stworzyła

sejmową komisję badającą tę sprawę i wraz z Agatą Diduszką-Zyglewską zaczęły pracować nad mapą kościelnej pedofilii. Ważne były dla nas kolejne edycje Forum Przyszłości Kultury oraz Festiwalu Sztuki i Społeczności „Miasto Szczęśliwe”, bo pozwalały nam pokazać, że nasz pomysł na teatr to coś więcej niż premiery. Że teatr rozumiemy jako część szerokiego spektrum działań społecznych.

Aktywny dialog z widzami, przybierający często formę wciągania publiczności do akcji, to jeden ze sposobów przełamywania ramy, w Powszechnym stosowany wyjątkowo intensywnie.

– Sam pan już wspominał o „Bachantkach” i scenie wyproszenia mężczyzny z widowni. Podobne dość radykalne działania, podejmujące konfrontację z widownią, pojawiają się w „Diabłach” czy w „Neronie”. Chyba pierwszą taką próbą był spektakl Wiktora Rubina „Każdy dostanie to, w co wierzy”. Gdy zobaczyliśmy ten spektakl na próbie generalnej,

Nic nie starzeje się szybciej niż estetyka.

byliśmy załamani. Wydawało nam się, że nie ma energii. Wiktor zapewniał nas, że to jest spektakl, którego bohaterem jest publiczność, dlatego nie można oceniać go bez konfrontacji z widownią. I rzeczywiście tak się stało – niezwykle kontakt, który aktorzy nawiązują z widzami, to, jak nagle widzowie zaczynają opowiadać o swoich zarobkach i innych problemach, nadaje temu spektaklowi niezwykłą dynamikę.

Które ze spektakli wskazałby pan jako flagowe, najlepiej odzwierciedlające założenia programowe sceny?

– Do wszystkich mam osobisty stosunek, wszystkie premiery przeżywałem z potwornym stresem i przejęciem, nauczył mnie tego Paweł Łysak, dla którego mistrzem był Maciej Prus. Ta zasada, że żadnej premiery w teatrze nie można odpuścić i że najważniejsza jest zawsze ostatnia prosta tuż przed premierą, jest dla mnie istotna. W tym sensie wszystkie spektakle traktuję jako flagowe. Oczywiście często pojawia się poczucie niedosytu czy porażki, zmarnowanej szansy. To naturalne w teatrze i trzeba umieć zachować dystans.

Ale udało nam się stworzyć program na tyle wyrazisty, że widzowie przechodzą nie tyle na konkretne tytuły, ile właśnie na część programu, część większej całości. A zatem to, co można uznać za najważniejsze, pozostawiam widzowi i krytykom. Ciekaw byłbym pańskiego zdania.

Czy po ustaniu pandemii wprowadzą panowie korekty do programu?

– Sytuacja jest bardzo trudna dla wszystkich ludzi teatru, bo straciliśmy to, co w teatrze najważniejsze – możliwość zgromadzeń, a tym samym żywego i bezpośredniego kontaktu z widownią. Tej energii nie da się niczym zastąpić. Jednocześnie staramy się podtrzymywać kontakt z widzami poprzez działania realizowane w ramach projektu „Teatr minimum. Powszechny online”. Pandemia zastała nas w trakcie pisania projektu „Ekologiczny teatr przyszłości”. Już wcześniej zajmowaliśmy się tematem katastrofy ekologicznej, najsilniej chyba w spektaklu „Jak ocalić świat na małej scenie?”. W teatrze jeste-

śmy przyzwyczajeni do tego, by zajmować się światem społecznym i ludzkim. A obecna

sytuacja kryzysu klimatycznego czy epidemiologicznego pokazuje, że należy rozszerzyć tę ramę społeczną, bo jest ona zbyt wąska, by odnaleźć sensowne rozwiązania. Wymaga to zmiany przyzwyczajzeń, może przesterowania dotychczasowego wyobrażenia teatru. Amerykańska badaczka Una Chaudhuri stworzyła pojęcie piątej ściany teatru, myśląc o patrzeniu w górę, w niebo i szukaniu widoku poza światem społecznym. W Powszechnym często w ostatnim czasie przekraczaliśmy czwartą ścianę teatru. Czas zatem na przekroczenie tej piątej.

Czas izolacji najwyraźniej się kończy – na 10 lipca zapraszamy na premierę, już na żywo, choć w reżimie sanitarnym.

– Tak, zaplanowaliśmy premierę „Dobrobytu”.

Tytuł ironiczny, jak mniemam?

– To historia luksusowego hotelu, który funkcjonuje jak państwo totalitarne. Myślę, że będzie to ciekawy spektakl – minimalistyczny, jak to ostatnio zawsze u Árpáda Schillinga, ale wynikający z jego oglądu sytuacji na Węgrzech.

Tomasz Miłkowski

KSIĄŻKI

Anna Arno

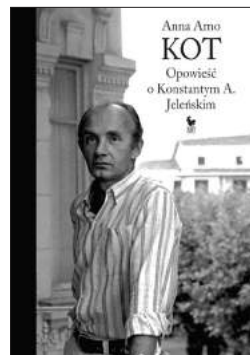
Kot

Opowieść

o Konstantym A. Jeleńskim

Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2020

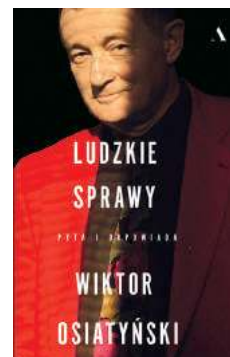
Jeleński funkcjonował w wielu światach równoległych. Te światy się nie stykały, miał przyjaciół, którzy nie znali się nawzajem, a nawet nie wiedzieli o swoim istnieniu – pisze Anna Arno. – Kot egzotyczny był wszędzie: to, co było w nim nieuchwytnie, niezrozumiałe, zarówno polscy, jak i włoscy, francuscy czy angielscy znajomi przypisywali wpływom obcego, nieprzetłumaczalnego żywiołu. Ale jak zauważał Czesław Miłosz, „wobec Polaków był więcej niż jednym Jeleńskim, nie tylko z powodu swojego »wynurzania się« spośród cudzoziemców, także dlatego, że należał równocześnie do kilku warstw polskiego myślenia i obyczaju”. Choć żył w paru światach równoległych, w każdym z nich był obecny w pełni, nie zdradzał pozostałych. Biografia intelektualisty, eseisty, krytyka i publicysty związanego z paryską „Kulturą”.



**Ludzkie sprawy
Pyta i odpowiada
Wiktor Osiatyński**

Wydawnictwo Agora, Warszawa 2020

Tom wywiadów Wiktora Osiatyńskiego (1945-2017) prowadzonych z gośćmi autorskiej audycji radiowej „Zrozumieć świat” w TOK FM. Rozmówcami profesora były wybitne osobistości świata intelektualnego, naukowcy, publicyści i pisarze. W ostatniej w tomie rozmowie z Dorotą Wodecką Wiktor Osiatyński przyznaje, że niechętnie daje wskazówki, jak żyć, by nie cierpieć, ale rozmowy m.in. z Jackiem Santorskim, Haliną Bortnowską, Eustachym Ryłskim czy Agatą Tuszyńską wiele mówią o dobrym życiu.



Film zrobił swoje

Szukacie przejawów rasizmu w „Przeminęło z wiatrem”?
Po co sięgać tak daleko? W polskim kinie jest ich pod dostatkiem

Wiesław Kot

W Stanach wajchę przesunęli na całego. Platformy streamingowe film „Przeminęło z wiatrem” (1939) wyświetlają wyłącznie z prostującym wymowę komentarzem, a takie giganty telewizyjne jak Fox zdecydowały, że „aktorzy zatrudnieni do dubbingowania animowanych bohaterów będą etnicznie dopasowani do owych postaci”. Znaczy – Afroamerykanom podkładać głos mogą tylko Afroamerykanie, Hindusom – Hindusi, Indianom wyłącznie Indianie. Na razie cicho jeszcze o tym, że należałoby podrasować nie zawsze piękne charaktery tych kolorowych postaci rysunkowych. A seriale typu „Simpsonowie” czy „Family Guy” są z zasady prześmiewcze. Ale to za pewne kwestia niedługiego czasu.

Przez długie lata Afrykańczyk wywoływał w Polsce na przemian rozbawienie i lęk.

My mamy tu swoje, całkiem pokazne, zaszłości. Oj, nabierało się filmów, które mogłyby być pokazywane tylko z prostującym komentarzem. A przecież sami z nich się śmialiśmy.

**Czarne jest czarne,
a białe jest białe...**

... i nikt nas nie przekona, że jest inaczej. Na co dowodów dostarczał już film przedwojenny. I co mu wypomniła komedia retro „Vabank” (1982). Tam kasiarz Kwinto wrabia bankiera Kramera w dęte alibi. Potwierdzić ma je elegancki czarnoskóry dżentelmen z rasowymi chartami na smyczy, którego Kramer spotkał na klatce warszawskiej kamienicy. Kiedy Kramer w towarzystwie komisarza Przygody stuka do tych samych drzwi, otwiera jednak paniusia w papilotach. Kramer pyta „o tego

Murzyna, który mieszka u pani”. „A niech mnie Matka Boska broni – oburza się gospodyni. – Pod jednym dachem z antychrystem?!”. Dlaczego przebiegły Kwinto wpuścił swojego wroga właśnie w takie alibi? Bo był pewny, że policja absolutnie nie uwierzy, by stateczna Polka i katoliczka tolerowała pod swoim dachem Afrykańczyka. To było nie do pomyślenia!

Nie tylko w filmie, w życiu też. Na co dowodu dostarczył choćby romans brylantowego amanta naszego przedwojennego filmu, Eugeniusza Bodo, z aktorką z Tahiti o pseudonimie Reri (1912-1977, właśc. Anne Chevalier). Tę córkę Tahitanki, potomka francuskich kolonizatorów i wyspy Bora-Bora poznał Bodo podczas jej występów w Warszawie. Zakochany z miejsca wypłacił jej 5 tys. zł i zainstalował we

własnym mieszkaniu, które dzielił z mamusią. Ta bardzo chciała doczekać wnuka (Bodo w 1933 r. miał już 33 lata), choćby i takiego o znacznie ciemniejszej karnacji niż przeciętny rodak.

Na planie filmu „Czarna perła” (1934, sceny z Polinezji kręcono na Helu) Reri śpiewała swojemu Eugeniuszowi: „Dla ciebie chcę być białą, bielutką tak jak ty”. Nie pomogło. Romans białego gwiazdora, Polaka katolika z „Murzynką” był w przedwojennej Polsce skazany na klęskę. Bodo został zasypany listami od wielbicielek, które oświadczały, że nigdy mu tego nie wybaczą, że ich noga więcej na jego filmie nie poстане. A tej publiczności amant nie mógł zlekceważyć.

Jego afekt do Tahitanki szybko wygaś i aktor zaczął szukać okazji, by się pozbyć dziewczyny. Pretekstu dostarczyła mu ona sama, bo coraz bardziej zaniedbywana przez ukochanego zaczęła popadać w alkoholizm (Bodo był abstynentem).



Czarna perła



Alternatywy 4

I pewnego dnia gwiazdor dosłownie wcisnął dziewczynę do samolotu.

Zrobił swoje...

„*The black man is to entertain the white man*”, czarnego pan Bóg stworzył na uciechę dla białego człowieka – tę starą amerykańską rasistowską zasadę nasze powojenne kino ilustrowało na dziesiątki sposobów. Mijały lata, zmieniał się ustrój, tendencje i mody, ale ciemnoskóry w polskim kinie pozostawał pajacem, który Polakowi i katolikowi z miejsca poprawiał humor. W „Misiu” (1980) prezes Ochódzki i jego nowa panienka oglądają w telewizji popisy koszykarzy. „Niesamowici są ci Murzyni – mówi dziewczyna i zaraz się poprawia – nie w tym znaczeniu, ale w ogóle”. Na to prezes, że on w młodości też był Murzynem, też grał w kosza, ale „potem mu przeszło”. Z tym, że nie „w tym znaczeniu”.

W kryminale „Przepraszam, czy tu biją?” (1976) warszawski cwaniak napuszcza oficerów milicji na melinę, która okazuje się ambasadą jakiegoś afrykańskiego kraju. W dodatku nieczynną z powodu tamtejszego święta, co płynną polszczyznę oznajmia czarnoskóry pracownik placówki, świeżo spod prysznica, w lekkim szlafrocisku. Przy nim milicjant w burej kurtce (gra go bokser Jan Szczepański) i pod krawatem do za ciasnej

koszuli wygląda jak parobek wystrojony na sumę. Milicjant z miejsca dostrzega tę przewagę obcego nad sobą i nie może tego tak zostawić. Rzuca więc jedyny tekst, na jaki pozwala mu znajomość angielskiego: „O! rajt, Dżambo!”. I w ten sposób przywraca przewagę człowiekowi białemu nad czarnym, która zachwiana została tylko na chwilę.

W serialu „Alternatywy 4” gospodarz domu Anioł wysługuje się obcym lokatorem, który sprząta klatki schodowe i plantuje ziemię pod trawnik, co mu się nie podoba, bo opłaca czynsz.

Pawlak na widok czarnoskórego księdza na „Batorym” ucieka w popłochu.

A przecież wszystko to odbywa się w ramach przywracania sprawiedliwości dziejowej. „Czy pan wie, że pod Grunwaldem Polacy walczyli o wolność naszą i waszą?”, tłumaczy cieć, który „ma sympatię do krajów rozwijających się i popiera rasową tolerancję”. A gdy teren pod trawnik jest już przez lokatora pracownicy przekopany, gospodarz domu mówi to, co powiedziałby na jego miejscu każdy inny Polak: „Murzyn zrobił swoje”.

Ale jednak to solidaryzowanie się z czarnoskórymi miało twardo wytyczone granice. Jedną z takich nieprzekraczalnych był romans, a już zwłaszcza

cza ślub prawego Polaka z kobietą o ciemnej karnacji. Którą to gorzką pigułkę musiał przełknąć Kazimierz Pawlak w trakcie wyprawy za ocean („Kochaj albo rzuć”, 1977). Na miejscu przekonał się, że jego brat Jaśku, biedny imigrant z Kresów, ma nieślubną córkę z Afroamerykanką. To kapitalna scena. Chowają brata do grobu, lada chwila powinna się zjawić jego córka, o której „murzyńskości” Pawlak jeszcze nic nie wie. Nagle widzi, że prowadzą czarnoskórą dziewczynę. Przez sekundę Pawlak nie wierzy własnym oczom, w następnej sekundzie dociera do niego ta bolesna prawda. Przemyka oczy jak po potężnym cioci obuchem i cedzi przez zęby „O Jezul!”. I oczywiście takiej bratanicy nie chciałby zabrać do Polski, bo rodzina Pawlaków stałaby się dla całej okolicy pośmiewiskiem na wieki. Choć Kargul, bardziej otwarty na świat, próbuje mu perswadować: „Dziki też człowiek”.

Ta sprawa wraca rykoszetem w słynnej „Modlitwie Polaka”, którą w „Dniu świra” (2002) sąsiedzi Marka Kondrata wygłaszają przed snem chóralnie ze swoich balkonów. To błaganie, by innego rodaka, sąsiada spotkało wszystko, co najgorsze, a już zwłaszcza: „żeby mu się córka z czarnym. I w ogóle, żeby miał marnie”.

Z tym że okazyjne seksualne kontakty międzyrasowe bywają dopuszczalne. Nawet gdyby trzeba je było zaimprovizować. Mafiozo (Bogdan Łazuka) udziela synowi o ksywie Bolec instrukcji, jak przygotować imprezę dla kontrahentów z Wybrzeża („Chłopaki nie płaczą”, 2000).

„Weźmiesz najładniejsze panienki, najlepszy alkohol i tyle koksu, ile potrafisz unieść... Jeżeli będzie chciał przelecieć Murzynkę... to pomalujesz jednego z naszych chłopców czarną farbą”. W sumie nie tak trudno „zrobić Murzyna”, zwłaszcza facetom po ostrym koksie. Zawsze to lepsze niż zwiedzanie muzeum lotnictwa.

I jak tu się dziwić, że przez długie lata widok Afrykańczyka wywoływał w Polsce na przemian rozbawienie i lęk. Zabawny miał być Jacek Chmielnik, który w finale komedii „Vabank 2”, posmarowany czarną pastą do butów, śpiewał: „O szczęście ▶

► trzeba grać *vabank, vabank*, / Z fortuną tak to zwykle bywa, / Kto nie naraża nigdy się na szwank, / Ten głównej stawki nie wygrywa". Że to niby fach kasjarza i dola czarnego – takie podobne. Ale już wspomniany Pawlak na widok czarnoskórego księdza na „Batorym” ucieka w popłochu, jakby zobaczył diabła. Kiedy chłopcy podróżujący przez Polskę w serialu

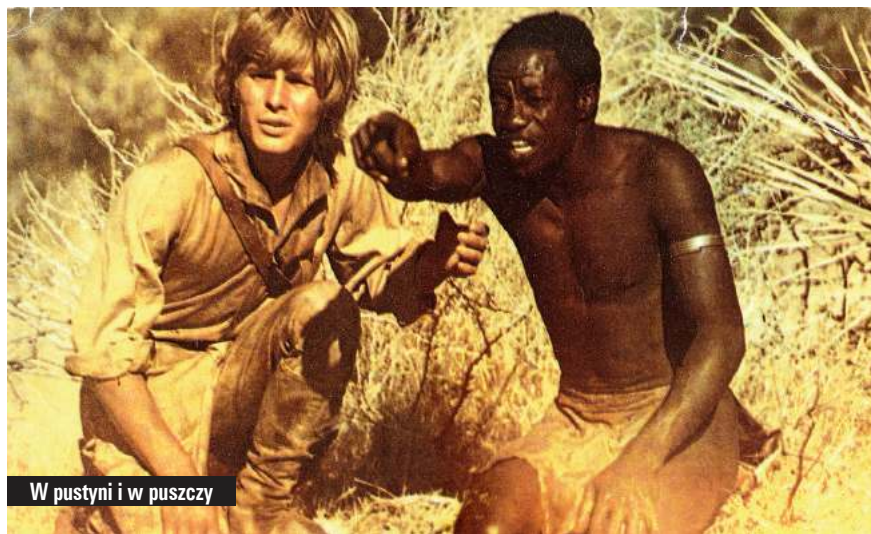
nym muzułmaninem, lecz szczerym sudańskim patriotą i szlachetnym „rycerzem Mahdiego”. Solidaryzuje się z porwanymi dziećmi i nie ginie – jak w powieści – zastrzelony przez Stasia. Kula dosięga go, gdy własną piersią zastania Nel, bo jeden z porywaczy rzuca się na dziewczynkę z nożem. A Kali w filmie jest po sienkiewiczowsku głupiutki, choć użyteczny.

wiec południowoafrykański) słodko-głupi Kali z Sienkiewicza był już całkiem nie do utrzymania. Tu więc przeciwnie – Kali to dumny syn ziemi afrykańskiej. „Pokazujemy Kalego jako faceta, który stoi boso i czując, że ziemia drży, wie, co nadchodzi, potrafi wyczuć deszcz”, tłumaczył producent Waldemar Dziki. Ten Kali (Mzwandile Ngubeni) zupełnie nie czuje się podnóżkiem białego sahiba Stasia Tarkowskiego. Oczywiście wbrew Sienkiewiczowi! To taki sam młody dzielny człowiek jak Staś, tyle że życie postawiło go w innym miejscu globu. Nie czuje się – broń Boże! – gorszy. Jest symetryczny. Więc może udostępniać działwie Sienkiewicza w tej właśnie, mniej toksycznej wersji?

Na czarno

Gwoli sprawiedliwości odnotujemy, że nasz film czynił nieśmiałe próby, by uświadomić widzowi, jak to jest być „murzynem”. Najpierw w znaczeniu kimś poślednim, kto wykona czarną robotę, a potem się go spławia. Takim „Białym Murzynem” w filmie z roku 1939 był ubogi student medycyny Antoni, beznadziejnie zakochany w hrabiance. Tymczasem narzeczony hrabianki ze sfer ginie w wypadku, pozostawiając ją w ciąży. W tej sytuacji biedny student w sam raz nada się do odegrania roli męża. Wykona „murzyńską robotę” i z puszczalskiej panny uczyni uczciwą kobietę.

Na inny sposób Murzynami poczuła się obsada personalna kamienicy, w której mieszkają państwo Kiepscy („Korzenie”, odcinek 88). Wszyscy pewnego ranka obudzili się z czarnym kolorem skóry i z dredami



W pustyni i w puszczy

„Podróż za jeden uśmiech” (1972) natykają się na letnim obozie naukowym na czarnoskórego studenta, reagują zabobonnym lękiem. A nuż to demon albo i czarownik?

Mister Bango spaceruje Krakowskim Przedmieściem

A „W pustyni i w puszczy”? Ostatnio stanęła sprawa: zostawić w spisie lektur czy wycofać jako relikty myślenia imperialnego i rasistowskiego? W każdym razie obie ekranizacje powieści próbowały tonować ksenofobiczną wymowę powieści. W filmie Władysława Ślesickiego (premiera po trzech latach kręcenia, 1973)

nie ma – wbrew Sienkiewiczowi – słowa pochwały pod adresem kolonialnej polityki Anglii. Stary Tarkowski mówi nawet o zbuntowanych Arabach: „Oni są tu przeciw siebie”, co u Sienkiewicza było raczej nie do pomyślenia. Wyznawcy Mahdiego nie są tu też nazywani „dzikimi hordami”. Więcej – reżyser Ślesicki na własną rękę podmienił postać jednego z arabskich porywaczy Stasia i Nel. Chłopiec o imieniu Chamis nie jest jeszcze jednym okrutnym i bezmyślnym

Życie dopisało do tej postaci interesujący rozdział. Otóż filmowego Kalego reżyser wypatrzył w Chartumie, gdy oglądał popisy zespołów ludowych z głębokiej prowincji. Młodziutki tancerz Amos Bango robił, co mu kazano, i nie widział różnicy między zwykłą pogawędką a występem przed kamerą. Spodobało mu się w Warszawie, gdy przyleciał nagrywać postsynchrony. Za pieniądze z honorarium kupił sobie elegancki garnitur, naturalnie biały. W tym garniturze u fotografa przy

Kiedy chłopcy w „Podróż za jeden uśmiech” natykają się na obozie naukowym na czarnoskórego studenta, reagują zabobonnym lękiem.

Krakowskim Przedmieściu zrobił sobie sesję zdjęciową. A że miał torbę pełną zakupów, kazał wezwać portiera z hotelu Bristol, w którym rezydował, by zaniósł bagaż. I tak: Krakowskie Przedmieście niespiesznym krokiem przemierza *mister* Amos Bango w olśniewająco białym garniturze, a przed nim idzie biały służący w szarmerowanym mundurze i niesie bagaż do najlepszego hotelu w mieście.

W wersji „W pustyni i w puszczy” z roku 2001 (reż. Gavin Hood, filmo-

na głowie. Miało to jednak dobre strony, ponieważ świetnie sprawdzili się jako chór gospel wykrzykujący „Hallelujah!”. Czarnoskóry Boczek obudził w sobie żarliwego ewangelizatora w typie Martina Luthera Kinga, a Waldek Kiepski nieźle wypadł jako rodziwy Michael Jordan. Było nawet przyjemnie, choć Ferdynand Kiepski z satysfakcją zauważył, że przynajmniej piwo pozostało jasne...

Wiesław Kot

FESTIWAL

26. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE

Krzysztof Herdzin Quartet – The Book of Secrets

To będzie wieczór z bardzo osobistą muzyką. O najnowszym albumie „The Book of Secrets” Krzysztof Herdzin mówi: „Skomponowałem siedem utworów ułożonych w koncepcyjną opowieść w formie książki, opowiadającej o najważniejszych dla mnie tematach, będących tajemnicami dla każdego wrażliwca zadającego sobie pytania o sens życia, o to kim jesteśmy i po co żyjemy”. Wybitny pianista, kompozytor, dyrygent

i aranżer – ośmiokrotnie uznawany za Aranżera Roku w ankiecie czytelników „Jazz Forum”, laureat Fryderyka w kategorii jazzowy kompozytor i aranżer roku – zagra na Starówce z Markiem Podkową (saksofon tenorowy), Robertem Kubiszynem (kontrabas, gitara basowa) i Cezarym Konradem (perkusja).

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 11 LIPCA, GODZ. 19

(ap)



FABUŁA

COŚ SIĘ KOŃCZY, COŚ ZACZYNA, reż. Drake Doremus, prod. USA, premiera 3 lipca

30-letnia Daphne ma wszystkiego dość. Rzuca pracę i chłopaka, wymawia mieszkanie i wprowadza się do siostry, u której jedną z atrakcji jest basen. Reżyserowi Drake'owi Doremusowi służy on do odmalowania przyjemnych obrazków, więc niektóre sceny – jak



ta z piciem szampana w wodzie – wyglądają jak reklama. A Daphne ma czas, żeby snuć się przed kamerą i ładnie wyglądać, kiedy zastanawia się, co począć ze swoim życiem. Przynajmniej dopóki nie pozna Jacka i Franka, z którymi nawiązuje ro-

mans równoległe. To estetyczny film z przystojnymi aktorami (gra tu choćby Jamie Dornan z „50 twarzy Greya”), na których miło się patrzy. Niestety, innych przyjemności seans nie daje. Scenariusz jest nudny, rozmowy egzaltowanych bohaterów pretensjonalne, a akcja cały czas redukuje bieg. Trzeba jednak przyznać, że film wyróżnia się na tle podobnych opowieści, w których to mężczyzna musiał wywalczyć względy kobiety. U Doremusa Daphne nie jest nagrodą w pojedynku, tylko decydującą o sobie bohaterką. To, że jest zagubiona, nie oznacza, że pozwoli podjąć decyzje innym.

Artur Zaborski

SERIAL

CREEPSHOW, AMC, poniedziałki, godz. 22.00

Sentymet popkultury do lat 80. musiał w końcu skierować twórców w stronę sławetnej antologii horroru Stephena Kinga i George'a A. Romera. Pierwszego nikomu przedstawiać nie trzeba, drugi to reżyser m.in. kultowej „Nocy żywych trupów”. Panowie wydali swoje opowieści w obrazkach, żeby złożyć hołd twórczości, która ich ukształtowała – choćby kultowym „Opowieściom z krypty”. Twórcy 12-odcinkowego serialu z 2019 r. (każdy epizod wyreżyserował inny spec od grozy) też zwracają się w stronę przeszłości z nostalgią, co widać nie tylko w treści, ale i w formie: kukiełki mieszają z efektami specjalnymi, a psychologiczny strach nie jeden raz ustępuje miejsca jump scare'om. Efekt jest smakowity i usatysfakcjonuje zarówno fanów nowego „To”, jak i widzów, którym „Creepshow” z niczym się nie kojarzy. Wystarczy tylko, żeby lubili czuć przed ekranem strach, który odmienniany jest tu przez wszystkie przypadki. Bohaterami, którzy muszą się z nim zmierzyć, są dzieci, pijacy i amerykańscy żołnierze. King i Romero nie mieli wątpliwości, że bać się należy wszystkich i o wszystkich.

Artur Zaborski



KURTYNA W GÓRĘ

CAŁOWANIE PANDEMICZNE

Na co należy szczególnie uważać w czasie pandemii? Trzeba chronić usta i nos, bo tą drogą najłatwiej przenika do organizmu groźny wirus. Jakby na specjalne zamówienie złaknionych pocałunków Teatr WarSawy jako jeden z pierwszych otworzył w realu swoją scenę dla prawdziwej publiczności. Oczywiście widzowie byli w maseczkach i siedzieli w od-



Nick Payne, „Incognito”, przekład Rubi Birden, reżyseria i adaptacja Kamila Straszynska, Teatr WarSawy, premiera 26 czerwca 2020

stępach ponad 1,5 m od siebie. Natomiast aktorzy łączyli swoje usta w namiętnych, długich pocałunkach. Podziwiać można odwagę i perfekcję aktorów, nieco mniej reżyserki, bo ogólny sens przedstawienia nie został zarysowany wystarczająco jasno. Mózg Einsteina? Zaniki pamięci? Atak padaczki? Oto główne punkty kameralnego przedstawienia.

Bronisław Tumitowicz

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolewicz



Łączki Jagiellońskie – zdjęcie tuż po pierwszej komunii świętej.



Liskowate – zdjęcie ojca obecnego właściciela domu.

CICHY MEMORIAŁ

Arkadiusz Andrejkow



Rozpucie – podobizny dwóch dziadków stworzone na prośbę wnuczka.





Kuźmina – dawni mieszkańcy sąsiedniego Rozpucia.

W 2017 r. Arkadiusz Andrejkow rozpoczął realizację projektu „Cichy memoriał”. Artysta z Sanoka maluje murale lub jak kto woli „deskale” na ścianach wiejskich stodół i szop, przywracając pamięć o dawnych gospodarzach i nie tylko. Malarza od zawsze

interesowały nietypowe podłoża. Deski, które uległy działaniu czasu, idealnie nadawały się do tego, żeby tworzyć na nich dzieła sztuki. Andrejkow za swoją pracę nie bierze żadnego wynagrodzenia, od właścicieli budynków w podziękowaniu dostaje

swojskie produkty. Artysta ma jeden cel – chce stworzyć jak najwięcej dzieł. Wykonał już ponad 50 wielkoformatowych obrazów, które utworzyły plenerową, wiejską galerię sztuki. Można je wszystkie zobaczyć na stronie www.andrejkow.pl.



Bzianka – deska przedstawia Jana Przybyła, syna właściciela, Jakuba.



Budynek nieopodal Puchacza – dziewczyny łemkowskie z Komańczy.

Timothy C. Winegard

Kłębiąca się nieposkromiona armia złożona ze 110 bln wrogich komarów patroluje każdy centymetr naszej planety z wyjątkiem Antarktydy, Islandii, Seszeli i garstki małych wysp w Polinezi Francuskiej. Gryzące wojowniczo z tej bzyżącej owadziej populacji są uzbrojone w co najmniej 15 śmiertelnych i destrukcyjnych rodzajów broni biologicznej wymierzonej przeciwko 7,7 mld ludzi, którzy korzystają z budzących wątpliwości technik obronnych i często sami sobie nimi szkodzą.

Prawda jest taka, że nasz roczny budżet na ostonę, spreje i inne zabezpieczenia przed bezlitosnymi atakami tych owadów wynosi 11 mln dol. i szybko wzrasta. Mimo to komarzyce z zuchwałą natarczywością kontynuują swoje śmiertelne ofensywy i zbrodnie przeciwko człowiekowi. Choć nasze kontrataki zmniejszają liczbę corocznych zgonów spowodowanych przez tego owada, nadal jest on najbardziej śmiertelnym zabójcą ludzi na świecie. (...)

Organizacja o nazwie Bill & Melinda Gates Foundation od swojego powstania w 2000 r. przeznaczyla ponad 4 mld dol. na badania dotyczące komarów i co roku przygotowuje raport, w którym wymienia zwierzęta zabijające najwięcej ludzi. Z góry wiadomo, kto wygra w tym konkursie. Mistrzem wagi ciężkiej i najsukieczniejszym zabójcą ludzi niezmiennie jest komarzyca. Od 2000 r. coroczna liczba spowodowanych przez nią zgonów waha się w okolicach 2 mln. Drugie miejsce zajmujemy my sami ze znacznie gorszym wynikiem wynoszącym 475 tys., a dalej są węże (50 tys.), psy i muchy piaskowe (po 25 tys.) oraz mucha tse-tse i owady z rodziny zjadkowatych (po 10 tys.). (...)

Komarzyca uśmierciła więcej osób, niż zmarło ich z jakiegokolwiek innej przyczyny w naszej historii. Statystyczne szacunki wskazują na to, że zabiła niemal połowę wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli. W ciągu 200 tys. lat naszej stosunkowo krótkiej egzystencji ten owad odebrał życie mniej więcej 52 mld ludzi spośród łącznej liczby wynoszącej 108 mld.

Nie zmienia to jednak faktu, że komarzyca nie wyrządza krzywdy



Zabójcze komary

Komarzyca gryzie wszystkich, ale najbardziej smakuje jej grupa krwi 0

w sposób bezpośredni. To przenoszone przez nią destrukcyjne i niezwykle rozwinięte choroby są przyczyną bezkresnego potoku rozpacz i śmierci. Bez niej te złowrogie patogeny nie trafiałyby do kolejnych ludzi i nie wywoływały cyklicznej zarazy. Prawda jest wręcz taka, że gdyby nie komarzyca, te choroby w ogóle by nie istniały. Jedno jest nierozdzielne z drugim. (...)

Komarzycę przeważnie pomijano w opowieściach i traktowano ją jako postronnego obserwatora, a nie aktywnego uczestnika procesów cywilizacyjnych. W rezultacie rzadko wspomina się o tym, że ten owad nieprzerwanie oddziałuje na bieg historii. Roznoszone przez nie-

go choroby towarzyszyły handlarzom, podróżnikom, żołnierzom oraz osadnikom w różnych zakątkach ziemi i były bardziej śmiertelne niż jakakolwiek broń czy wynalazki stworzone przez człowieka. Komary od niepamiętnych czasów z bezwzględną wściekłością atakują ludzi i odcisnęły niezatarte piętno na dzisiejszym porządku świata.

Zastępy tych wyrachowanych owadów roznosiły zarazę i grasowały po polach bitew na całej planecie, często decydując o wynikach przemowych wojen. Znany pisarz Jared Diamond wspomina o tym, że książki o historii wojskowości i hollywoodzkie produkcje wychwalające znanych generałów nierzadko zniekształcają deprecjonującą prawdę: choroby przenoszone przez komary okazały się znacznie bardziej śmiertelne niż siła ludzkich mięśni, niż jakiegokolwiek substancje, niż wreszcie umysły najbłytotliwszych generałów. (...)

Ludzki układ immunologiczny jest dobrze dostrojony do swojego środowiska. Nasza ciekawość, chciwość, pomysłowość, arogancja i bezczelna agresja wypychają zarazki do globalnego tornada wydarzeń historycznych. Komary nie zwracają uwagi na międzynarodowe granice i nie ma dla nich znaczenia, czy dany obszar jest otoczony murem, czy nie. (...)

Od 190 mln lat bzyczenie komara jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych i irytujących odgłosów na świecie. Wyobraźcie sobie, że podczas biwaku z rodziną lub przyjaciółmi po długim dniu spędzonym na pieszych wędrówkach bierzecie szybki prysznic, siadacie na krześle turystycznym, otwieracie schłodzone piwo i wdychacie głęboko, z zadowoleniem. Przed wypiciem pierwszego smacznego łyku napoju słyszycie jednak ten zbyt dobrze znany dźwięk świadczący o tym, że zbliżają się do was wygłodniali prześladowcy.

Nadchodzi zmierzch. O tej porze komarzyca najbardziej lubi żerować. Usłyszeliście jej bzyczenie, ale nie poculiście tego, że łagodnie wylądowała na waszej kostce. Zazwyczaj gryzie w pobliżu ziemi. Przy okazji nadmienię, że to zawsze jest samica. Przeprowadza delikatny, wnikliwy dziesięciosekundowy rekonesans w poszukiwaniu najlepszego naczynia krwionośnego, po czym unosi odwłok i wybiera miejsce, w które następnie wkuwa się swoimi sześcioma wyspecjalizowanymi igłami. Wbijają dwie ząbkowane ostre szczęki (przypominają elektryczny nóż o dwóch ostrzach poruszających się tam i z powrotem), a następnie przecina skórę. Dwa inne haczyki rozwierają otwór, aby zmieściła się w nim ssawka, która wygląda jak strzykawka wysuwająca się z osłony zabezpieczającej. Za pomocą tej trąbki ssącej komarzyca wypija od trzech

potrzebuje waszej krwi, żeby jej jaja mogły się rozwijać i dojrzewać.

Nie ma jednak powodów, abyście czuli się wyróżnieni albo wyjątkowi. Nie jesteście wybranymi. Komarzyca gryzie wszystkich, ponieważ taka po prostu jest jej natura. Nie ma za grosz prawdy w rozpowszechnionych mitach mówiących o tym, że komarzyce wolą kobiety od mężczyzn albo osoby jasnowłose i rudowłose od osób ciemnowłosych. Błędne jest również przekonanie, że ludzie z ciemniejszą i twardszą skórą są mniej narażeni

Komarzyca potrzebuje waszej krwi, żeby jej jaja mogły się rozwijać i dojrzewać.

na ich ugryzienia. Nie zmienia to jednak faktu, że komarzyce mają swoje preferencje i niektórych ludzi atakują częściej niż innych.

Wiele wskazuje na to, że grupa krwi 0 smakuje im bardziej niż grupy A, B oraz AB. Ludzi z grupą 0 gryzą bowiem dwa razy częściej niż ludzi z grupą A, a ludzie z grupą B plasują się gdzieś pośrodku. (...) Atrakcyjne dla tych owadów są również osoby, które w naturalny sposób mają wyższy poziom określonych substancji w skórze – zwłaszcza kwasu mlekowego. Na podstawie tych informacji komarzyca potrafi wywnioskować, jaką grupę krwi ma dany człowiek. Te same substancje wpływają również na waszą indywidualną florę bakteryjną skóry i na wasz unikatowy

Oprócz tego z niezrozumiałych względów komary mają upodobanie do osób pijących piwo, co wielu ludziom może wydawać się niesprawiedliwe. Zakładanie jasnych ubrań również nie jest dobrym pomysłem, ponieważ podczas polowania komarzyce używają wzroku i zapachu. Reagują przede wszystkim na dwutlenek węgla wydychany przez potencjalną ofiarę i potrafią go wyczuć z odległości ponad 60 m. Wymachiwanie rękami, sapanie i dyszenie przyciąga je jak magnes i sprawia, że

stajecie się bardziej narażeni na ich ataki. Przykładem mogą być ćwiczenia fizyczne, podczas których zaczynacie szybciej oddychać i emitujecie więcej dwutlenku węgla. Na dodatek się pocicie i wydzielacie substancje przykuwające uwagę komarów – przede wszystkim kwas mlekowy. Podnosi się również temperatura waszego ciała, przez co stajecie się bardziej widoczni dla waszych prześladowców. Ciężarne kobiety przeciętnie dwa razy częściej padają ofiarą komarów, ponieważ wydychają o 20% dwutlenku węgla więcej i mają nieznacznie podwyższoną temperaturę. Z tego względu łatwiej mogą się zarazić wirusem Zika i malarią. Jest to zła wiadomość zarówno dla nich, jak i dla ich płodów.

Nie rezygnujcie jednak z kąpieli, dezodorantów, ćwiczeń, ukochanego piwa i jasnych koszulek. Niestety, 85% waszej atrakcyjności w oczach komarów zależy od uwarunkowań genetycznych, które decydują o grupie krwi, składzie chemicznym organizmu, florze bakteryjnej, ilości wydychanego dwutlenku węgla, metabolizmie i zapachu ciała. W ostatecznym rozrachunku komarzyca wyczuje krew każdej potencjalnej ofiary, która znajduje się w pobliżu.

Samce komara różnią się od samic m.in. tym, że nie gryzą. Cały ich świat kręci się wokół dwóch rzeczy: nektaru i seksu. Kiedy są gotowe do spółkowania, gromadzą się nad jakimś widocznym elementem otoczenia – np. kominem, anteną, drzewem albo człowiekiem. Podobnie zachowują się inne latające owady. Czasami zdarza się tak, że w trakcie

Samce komara różnią się od samic tym, że nie gryzą.

Cały ich świat kręci się wokół dwóch rzeczy: nektaru i seksu.

do pięciu miligramów waszej krwi i natychmiast wydała znajdującą się w niej wodę, a jednocześnie zagęszcza 20% zawartego w niej białka. W tym czasie szósta igła pompuje do środka ślinę, która zawiera antykoagulant – zapobiegający krzepnięciu krwi w miejscu nakłucia. Ta procedura skraca czas żerowania i zmniejsza prawdopodobieństwo tego, że pocujecie ugryzienie i rozgnieciecie komarzycę siedzącą na waszej kostce. Antykoagulant wywołuje reakcję alergiczną i pozostawia swędzącą opuchliznę, która jest prezentem pożegnalnym od tego owada. Jego ugryzienie to skomplikowany rytuał związany z żerowaniem. Komarzyca

zapach. Nieświeżość i ostra woń ciała mogą być odstręczające dla was i dla innych ludzi, ale w przypadku ochrony przed komarami są czymś dobrym. Świadczą bowiem o dużej liczbie bakterii na waszej skórze i powodują, że stajecie się mniej pożądanymi dla komarów. Pod tym względem czystość nie jest jedną z największych cnót. Wyjątkiem są cuchnące stopy, ponieważ rozwijają się na nich bakterie, które działają na komary jak afrodyzjak (one też odpowiadają za dojrzewanie niektórych serów i tworzą twardą skórę na ich powierzchni). Owady te lgną również do dezodorantów, mydeł, perfum i innych użytkowych pachnidła.

► spaceru nad waszymi głowami pojawia się zawzięta chmara insektów, które was śledzą i nie dają wam spokoju. W takich sytuacjach wielu ludzi zaczyna narzekać i wymachiwać rękami w przypiływie frustracji. Tego rodzaju osoby nie popadły w paranoję ani nie wyobraziły sobie tego zjawiska, a wręcz mogą potraktować całą sytuację jako komplement. Grupa samców komara uznała je bowiem za obiekt nadający się do tego, aby uformować nad nim rój. Istnieją fotografie komarów tworzących chmury, które wznoszą się na wysokość 300 m i wyglądają jak tornada. Kiedy już samce komara zgromadzą się nad waszą głową, samice wlecą w tę męską hordę i zaczną szukać sobie partnera.

W ciągu swojego życia samiec może spółkować bardzo często, a jedna dawka spermy wystarcza samicy do tego, żeby wydać na świat wiele miotów potomstwa. Komarzyca przechowuje nasienie i stopniowo używa go do zapładniania kolejnych partii jaj. Dzięki krótkiej chwili namiętności jest w stanie zdobyć jeden z dwóch elementów potrzebnych

do prokreacji. Jedynym brakującym składnikiem jest wasza krew.

Powróćmy jeszcze na chwilę do biwakowania. Niedawno skończyliście wyczerpującą pieszą wędrówkę, poszliście pod prysznic i umyliście się dużą ilością mydła oraz szamponu. Wytarliście się ręcznikiem i dokładnie spryskaliście dezodorantem, a następnie włożyliście strój kąpielowy w jasnych odcieniach czerwieni i niebieskiego. Zbliży się

Owady te lgną do dezodorantów, mydeł, perfum i innych użytkowych pachnidel.

zmierzch, czyli pora obiadowa komarów z rodzaju *Anopheles* (komar widliszek). Siadacie na krześle turystycznym, aby się rozluźnić i wypić zaśluzone zimne piwo. Zrobiliście wszystko, co w waszej mocy, by zwabić samice komarów *Anopheles* (przy okazji nadmienię, że właśnie przesiadłem się jak najdalej od was). Chwilę wcześniej spółkowały w chmarze podekscytowanych zalotników, więc chętnie dają się skuścić na waszą przynętę, wysysają kilka kropel waszej krwi i uciekają.

Spożywają posiłek, który waży trzy razy więcej niż ich ciało. Szybko znajdują więc najbliższą pionową płaszczyznę, aby z pomocą grawitacji kontynuować proces usuwania wody z waszej krwi. W ciągu kilku kolejnych dni komarzyca użyje skoncentrowanej krwi do wytworzenia ok. 200 jaj, a następnie złoży je na małej powierzchni wody, która zebrała się w zgniecionej puszcze po piwie. Być może nie zauważyliście tej puszczy, gdy wraz z przyjaciółmi sprzątałście obozowisko przed powrotem do domu. Komarzyca zawsze składa jaja w wodzie, ale nie potrzebuje jej dużo. Zadowolony się dosłownie każdym zbiornikiem wodnym – począwszy od stawu lub strumienia, a skończywszy na odrobinie płynu, który zalega w starym pojemniku, zużytej oponie albo dziecięcych zabawkach stojących w ogródku. Niektóre gatunki komarów preferują określony rodzaj wody (świeżą, słoną albo słoną), a innym jest wszystko jedno.

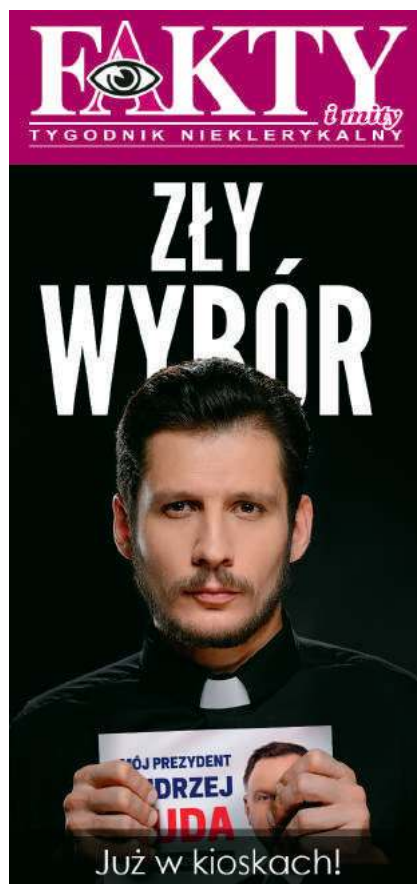
Komarzyca dalej będzie gryźć i składać jaja przez całe swoje krótkie życie, którego długość przeciętnie wynosi od jednego do trzech tygodni. W rzadkich przypadkach

może się jednak wydłużyć nawet do pięciu miesięcy. Komarzyce są w stanie przelecieć ponad 3 km, ale większość z nich nie oddala się od miejsca swoich narodzin na więcej niż 400 m. Jeżeli temperatura będzie stosunkowo wysoka, po upływie dwóch lub trzech dni z jaj wyklują się larwy żyjące w wodzie (odpowiednik ludzkich dzieci). W niższych temperaturach ten proces będzie trwał o kilka dni dłużej. Larwy pływają i szukają

pożywienia, ale szybko zmieniają się w poczwarki (odpowiednik ludzkich nastolatków), które wyglądają jak przecinki odwrócone do góry nogami i oddychają za pomocą dwóch „trąbek” sterujących z zanurzonego odwłoka. Kilka dni później zabezpieczające powłoki pękają i wychodzą z nich zdrowe dorosłe komary gotowe do lotu. Rodzi się nowe pokolenie drapieżnych samic, które chcą się pożywić waszą krwią. Ten imponujący proces dojrzewania i osiągnięcia dorosłości zajmuje około tygodnia.

Powyższy cykl życiowy powtarza się nieprzerwanie na naszej planecie od momentu, w którym pojawiły się współczesne komary. Według badań owady te wyewoluowały aż 190 mln lat temu i od tamtego czasu pozostają w niezmienionej postaci. Bursztyny zasadniczo powstały ze skamieniałych soków drzew albo żywicy i niekiedy zawierają w sobie wyraźnie widoczne obiekty – takie jak sieci, jaja albo idealnie zachowane wnętrza owadów. Z tego względu możemy je uznać za coś w rodzaju klejnotów koronnych należących do insektów z dawnych epok. Dwa najstarsze komary znalezione przez ludzi znajdują się wewnątrz bursztynów pochodzących z Kanady i Birmy. Pierwszy z nich ma 105 mln lat, a drugi 80 mln lat. (...)

Fragmenty książki
Timothy'ego C. Winegarda
Komar, przekład Michał
Lorenc, Wydawnictwo
Kobiece, Białystok 2020



Polonia wybiera Trzaskowskiego

Jest wielki szum, bo wybory prezydenckie za granicą skończyły się gigantycznym skandalem. Zginęły tysiące kart, które do komisji wyborczych nie dotarły. Ile? W samej Wielkiej Brytanii „zaginęło” 15,5 tys. głosów, wysyłano karty niepodstemplowane, przesyłki nadawano w ostatniej chwili – to była jedna wielka kompromitacja.

I żeby była jasność – że będzie skandal, było oczywiste. Z góry bowiem było wiadomo, że nasze placówki zagraniczne nie są w stanie w tak szybkim czasie przygotować się do wyborów, w większości przecież korespondencyjnych. W pierwszej turze, jak podaje MSZ, „konsulowie wysłali 343 tys. pakietów wyborczych oraz przekazali komisjom wyborczym, w których możliwe było głosowanie osobiste, 42 tys. kart wyborczych, z których nie wykorzystano 13 tys. kart”.

Czyli trzeba było przygotować i nadać 343 tys. pakietów pocztowych. A poczta w różnych krajach różnie działa, poczynając od szybkości przekazywania przesyłek, skończywszy na rozmiarach kopert. Bywało, że w tych sprawach z dyrektorami poczty rozmawiali ambasadorowie, prosili, interweniowali.

Placówki też nie pękają w szwach, to nie takie proste, by przygotować i wysłać tysiące przesyłek. Cały personel tym się zajmował. Pomyłki typu niedostawiona pieczęć to najmniejsza kara za sprokurowanie takiej sytuacji.

Pytanie więc jest tylko jedno – czy szefowie MSZ mieli pojęcie, jak głosowanie za granicą się skończy, czy też nie? Bo jeżeli mieli, to rzeczywiście ręce i nogi mają oskarżenia opozycji, że władza kombinowała, jak potrafiła, żeby tylko utrudnić głosowanie za granicą. Bo Polacy za granicą gremialnie oddali głosy na Trzaskowskiego.

W Wielkiej Brytanii np. prezydent Warszawy otrzymał 48,4% głosów (107 tys.), drugi był Szymon Hołownia (17,5%), a Duda dopiero trzeci (15,5%).

A gdyby do tego jeszcze doliczono głosy, które były w „zaginionych” przesyłkach?

Dodajmy jeszcze jedno – w drugiej turze głosować za granicą będzie jeszcze więcej Polaków. Nowi wyborcy, którzy napłynęli przed drugą turą wyborów, to m.in. prawie 50 tys. osób w Wielkiej Brytanii (w sumie na Wyspach głosować będzie 180 tys. Polaków, to tyle, ile w mieście takim jak Toruń), 24 tys. w Niemczech i prawie 12 tys. w USA. Łącznie za granicą w drugiej turze wyborów będzie mogło głosować ponad 500 tys. osób! I są to w przybliżeniu większość zwolennicy Trzaskowskiego.

Czy oni przesądzą o wyniku wyborów?

Co ciekawe, i ta liczba nowych głosujących jest w jakimś stopniu zaniżona, padł bowiem system informatyczny MSZ. Zawiesiła się strona, poprzez którą można było się rejestrować na drugą turę. W trybie awaryjnym placówki zaczęły przyjmować zgłoszenia poprzez pocztę elektroniczną. I pewnie jakaś część ewentualnych wyborców została zniechęcona internetowymi utrudnieniami. Taką oto mamy „sprawną” dyplomację w piątym roku wstawania z kolan... I taką niewdzięczną Polonię, która z wyborów na wybory jest coraz bardziej przeciw PiS. A jeszcze pięć lat temu na Wyspach wygrał Kukiz... A w drugiej turze – Duda.

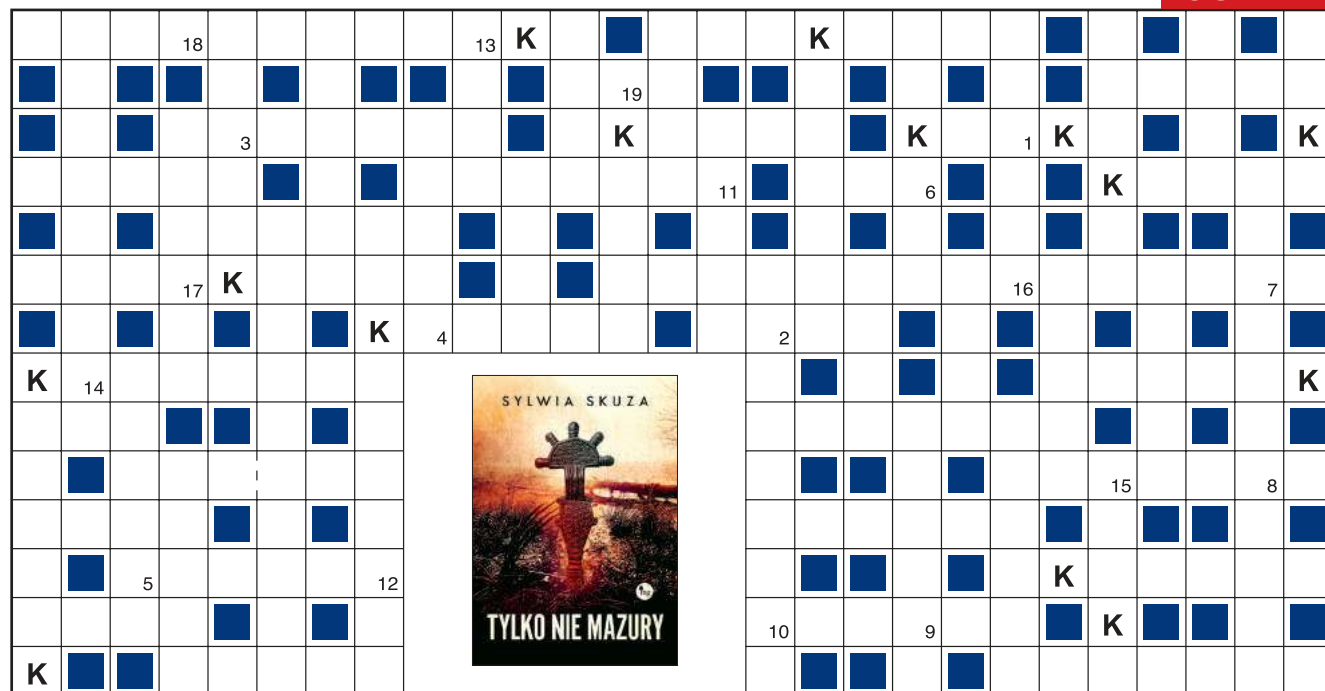
Tak ludzie się zachowują, gdy nie oglądają „Wiadomości” TVP.

Attaché

Powitanie rodem z kultury azjatyckiej. Zupełnie jak wirus, który zmusza do zachowania dystansu.

Spotkanie prezydenta Emmanuela Macrona i kanclerz Angeli Merkel w Mesebergu pod Berlinem.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pół-ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- imię autora dramatu „Konfederaci barscy”
- rodzaj weksla lub dawna aprobaty
- czynnik wywołujący uczulenie
- stolica Jordanii
- „...tak trafnie wybrał i cel, i tutek”
- była żoną Cyrankiewicza
- Werner, Gargas lub Sokołowska

- eskimoski skafander
- zielonoskrzydła lub hia-cyntowa wśród papug
- schorzenie z napadami duszności
- pani dyrygująca grupą budowlanców
- niegdyś organizowano społeczny
- imię muzy polskiego romantyzmu
- rzeźba Byk Farnezyjski ukazuje jej ukaranie

- pozyton lub negaton
- pruje z ręcznego karabinu maszynowego
- niejeden go stracił w czasie pandemii
- chowane do niego okulary
- czasu pracy lub gruntów i budynków
- cienkie płyty drewna na okleinę
- otoczony wianuszkiem fanów
- Bolesław Kędzierzawy wobec Władysława Wygnańca
- górna, doszta część bluzki
- i ptak, i mała czarna
- globalnie się ociepla
- męka dla oczu, a nie mecz
- śnieżna lub Joanna z „Top Model”

- kłęby pyłu, śniegu w powietrzu
- węgierskie danie
- torba dla geodety, sztabowca i turysty
- szach i...
- młody pomocnik księdza
- gwałtowny, silny nacisk
- namolny gość
- ...2000, unijny program
- włączanie świeżego powietrza
- szczegół, subtelna różnica
- tatrzański szczyt ze skałą Pióro
- część składowa (od strony oka) przyrządów optycznych
- dobrze je mieć w kimś
- bywa zatopiony w bursztynie
- podpis na szybko
- zielonkawcy nalot na miedzi
- specjalistka przy łóżku ciężarnej

- gotowość do ponoszenia ofiar, wyrzeczenie
- stałość, brak zaskoczeń
- zagrał go Jerzy Zelnik u Kawalerowicza
- deklamator
- życiowy też do pobicia
- tak nazywano Ilicha Ramíreza Sáncheza
- ona dla nosa czy nos dla niej?
- bęben do przekazywania wiadomości
- minister może być bez niej
- sojowy odpowiednik sera
- zapadnia teatralna lub pomost na statku
- ojczysta Julii Tymoszenko
- warzywny lub z ziół
- tajemniczy człowiek śniegu
- ...Fordońskie w północnej Polsce
- z nowojorskiego wyruszyły zwierzaki z „Madagaskaru”
- ...z Qumran

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-968”. Do rozlosowania książki „Tylko nie Mazury” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 lipca 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-965” z 21 czerwca: *Życie bez śmiechu nie bawi.*
Nagrody otrzymują: Halina Chmielarczyk z Cieszyńska, Agnieszka Janik-Ganczarska z Zawady, Wojciech Kleszcz z Łodzi.

PENETRACJE



**PROF. GRZEGORZ
W. KOŁODKO, BYŁY
WICEPREMIER, AKADE-
MIA KOŹMIŃSKIEGO**

W obliczu braku jednoznacznego, klarownego przywództwa o prymat w takim niestabilnym świecie coraz bardziej rywalizować będą rosnące w siłę Chiny i relatywnie słabnące Stany Zjednoczone. Przyjazna konkurencja byłaby czymś pożądanym, wroga rywalizacja może być dewastująca. Jest to szczególnie groźne, ponieważ Stany Zjednoczone, tracąc na znaczeniu, mogą zachowywać się impulsywnie, agresywnie i nieracjonalnie, czego wiele przejawów już widzimy. Chińska reakcja najprawdopodobniej będzie spokojna i pragmatyczna, choć pewności też tu nie ma.



**PROF. MARCIN KRÓL,
FILOZOF POLITYKI
I HISTORYK IDEI**

Młoda lewica „Krytyki Politycznej” za bardzo zajmuje się pretensjonalnym, lewicowym intelektualizmem Žižka, Becka, Deriddu. Nie ma to żadnego przełożenia na prawdziwą lewicowość. Ja osobiście, choć jestem konserwatystą w sferze kultury, to w sferze społecznej mam wrażliwość lewicową, socjalistyczną, a dramatyczny poziom nierówności społecznych w Polsce oburza mnie. Szczególnie oburza mnie brak dostępu do wyższych studiów dla młodych ludzi ze wsi. Z powodu braku pieniędzy. Jest ich kilka procent na Uniwersytecie Warszawskim. To większa nierówność niż przed wojną. Powstają w związku z tym swoiste getta kulturo-

wego zaniedbania, a biedni reprodukuja biednych. To jest skandal.

PANI

**PROF. ZBIGNIEW
MIKOŁEJKO,
FILOZOF**

Medycyna, kultura, edukacja muszą zostać dofinansowane. Trzeba docenić te grupy społeczne, które tworzą wartości niematerialne, wartości niewidzialne, ale trwałe. Bo jak przychodzi kryzys, to właśnie do tych grup się uciekamy. Pewna hiszpańska lekarka powiedział niedawno z żalem: „Skoro naukowcom i medykom płaci się 1800 euro pensji, a piłkarzom miliony, to niech oni was teraz leczą”. A przecież teraz to ludzie tacy jak ona są bohaterami, a nie faceci kopiący piłkę czy celebryci znani z tego, że są znani.

FORUM

**SALMA HAYEK,
AKTORKA**

Gdy pierwszy raz spotkałam Weinsteina, byłam bardzo niezadowolona ze swoich ról. Aktorkom z latynoamerykańskimi korzeniami proponowano głównie niezbyt ciekawe epizody. Weinstein cieszył się sławą człowieka, który potrafi wybierać projekty nagradzane potem Oscarem. Poprosiłam go więc, żeby się zaangażował w mój projekt. Nie miałam pojęcia, że to będzie miało takie opłakane skutki. Teraz, gdy myślę, dlaczego on dopuszczał się takich niecznych czynów, dochodzę do wniosku, że zachowywał się po prostu jak każdy dyktator, który nadużywa władzy. Dlaczego dyktatorzy to robią? Dlatego że społeczeństwo im pozwala.

Aby język giętki...

DR JAROSŁAW FLIS O ANDRZEJU DUDZIE

Ludzie, którzy są bardzo zadowoleni z tego, co zrobili, tracą kontakt z rzeczywistością.

**STANISŁAW TYM O LOKALU
PRZY KRAKOWSKIM PRZEDMIEŚCIU**

Całkiem niezłe obszerne mieszkanie w centrum stolicy może na zawsze stracić pewien pan z Krakowa.

**PROF. WIESŁAW ŁUKASZEWSKI
O PRZYSZŁOŚCI**

Raczej nie zbudujemy nowej, wspinałej Polski, ponieważ nie potrafimy się uczyć na błędach i nie potrafimy przyznawać się do błędów.

**ANDRZEJ STASIUK
O AKOLITACH KACZYŃSKIEGO**

Wiedzą, że nie uda im się zatrzymać władzy, bo nie da się zbudować świata wartości z niczego. Ze złych emocji albo z potrzeby władzy.

PROF. TOMASZ SZLENDAK O LIDERACH

Szukamy lidera, ale wybieramy taki produkt polityczny, który pozwoli przetrwać bez zmian naszej prywatnej wyspie.

**AGNIESZKA GROCHOWSKA
O GRANIU CZARNYCH CHARAKTERÓW**

Ma się wtedy dzięki przyjemność bycia bezczelnym i aroganckim oraz mówienia tego, co się naprawdę myśli, każdemu o każdej porze nocy i dnia.

**EWA DRZYŻGA
O PREZENCIE NA 50. URODZINY**

Sprezentowałam sobie komplet badań profilaktycznych i co roku je regularnie powtarzam.

**MARTA KULIGOWSKA
O MARATONACH**

Cztery lata temu, na 40. urodziny, przebiegłam maraton w Paryżu. Samotność długodystansowca – to lubię.

**KRYSTYNA JANDA
O WAKACJACH WE WŁOSZECH**

Jest tam dom, który wynajmowałam na wakacje od 27 lat. Widok na las piniowy, pięć minut od plaży. Wstaję o świcie, gdy cykady jeszcze śpią.

MACIEJ MALEŃCZUK O CZUŁOŚCI

Zauważyłem, że ludzie, którzy mają depresję, wzbudzają sympatię. Polak lubi, jak ktoś ma doła.

Niezapomniany duet budowniczych Dworca Centralnego, Trasy Łazienkowskiej oraz osiedla Ursynów. Stefan Karwowski i Roman Maliniak z „Czterdziestolatka” witają pasażerów metra na stacji Ursynów.



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Bo wszyscy Słowacy to jedna rodzina?

Lider współrządzającej Słowacją konserwatywnej partii Jesteśmy Rodziną, Boris Kollár, po raz 11. został ojcem. O tyle to ciekawe, że tak imponującej liczby potomstwa doczekał się z dziesięcioma kobietami. Matka pociechy numer 11 w rozmowie z mediami przyznała, że nie jest w związku z politykiem, jednak utrzymuje z nim dobre relacje. Dodała, że dziecko nie było przez nich planowane, ale oboje są zadowoleni z jego przyjścia na świat. Gdy w zeszłym roku pytano Kollára, czy nie ma nic przeciwko temu, by po raz kolejny zostać ojcem, stwierdził, że „u niego nigdy nie wiadomo”. „Dla mnie to naturalna kolej rzeczy, jak nowe buty”, dodał.

...i wchodzi on, cały na czarno

Japończyk Genichi Mitsuhashi jako pierwszy człowiek na świecie został magistrem nauki o *ninja*. Aby uzyskać ten tytuł, 45-latek musiał nie tylko zgłębić dokumenty historyczne na temat tajemniczych średniowiecznych zamachowców i sabotażystów, ale także odbyć liczne zajęcia praktyczne, m.in. w zakresie cichego chodzenia po górach. Obecnie mężczyzna rozważa zrobienie doktoratu z ninjologii, czym zadziwił nawet swoich wykładowców z Uniwersytetu Mie. – Nie sądziłem, że poświęci się temu w takim stopniu – wyznał prof. Yuji Yamada, szef otwartego w 2017 r. centrum badawczego poświęconego zamaskowanym skrytobójcom. Panie profesorze, dać się zaskoczyć wojownikowi *ninja* to żaden wstyd!



To się nazywa know-hau

Porządku w parku Bishan-Ang Mo Kio w Singapurze pilnuje w czasie pandemii robotyczny pies marki Spot. Producent czworonożnego wynalazku, firma Boston Dynamics, podkreśla, że świetnie sprawdza się on we wszelkich sytuacjach, gdy trzeba zbadać niedostępne dla człowieka miejsca czy przenosić ładunki na nieznanym terenie. Biegający i skaczący robot ma jednak także bardziej przyjemne zadania, takie jak uprzejme zwracanie uwagi odpoczywającym, którzy nie zachowują zalecanej odległości co najmniej 1 m. Producenci zapewniają, że Spot nie rejestruje twarzy ani żadnych innych danych wrażliwych, ale milczą o tym, czy posiada aktualne wszystkie szczepienia.

Robot się stara o Oscara

Kariere robi także wyposażona w sztuczną inteligencję Erica. Stworzona przez japońskich naukowców androidka, która ma już na koncie wywiad dla „The Guardian”, zagra główną rolę w filmie *science fiction* o budżecie 70 mln dol. Wcieli się w postać zgodną ze swoimi predyspozycjami, a więc w zaawansowanego technologicznie, humanoidalnego robota. Aby Erica mogła wystąpić na srebrnym ekranie, dużo czasu poświęcono na wyszkolenie jej w wyrażaniu emocji, także za pomocą mowy ciała – czyli po prostu na nauczanie jej aktorstwa. Efekty tej nauki będziemy mogli ocenić zapewne dopiero w 2022 r.

MEMY BEZ ŚCIEMY

OBIECUJĘ ŻE W DRUGIEJ KADENCJI



BĘDĘ OBIECYWAŁ JESZCZE WIĘCEJ



KIEDY KTOŚ PROPONUJE CI DEBATĘ,

NA KTÓREJ NIE BĘDZIESZ
ZNAŁ WCZEŚNIEJ PYTAŃ.



Dlaczego załalo Warszawę?

Bo obiecane oczka wodne wybiły.



Ważne jest, by mieć silne plecy. Pehlwan, indyjscy zapaśnicy, przygotowują się do treningu w New Delhi.

Akrobacje na dryfującym bambusowym balu na rzece Chishui w chińskiej prowincji Guizhou.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,
Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyszner
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Zuczkowski

Pogoda dla bogaczy

Na archipelagu sztucznych wysp w Dubaju powstanie Raining Street, czyli kilometrowy bulwar, na którym przyjemna temperatura będzie utrzymywana z wykorzystaniem sztucznego deszczu. Gdy upał sięga 40-50 st. C, niechętnie spędzamy czas pod gołym niebem, dlatego niezbędne jest kontrolowanie warunków panujących na zewnątrz, tłumaczy pomysłodawca projektu, Kleindienst Group. Firma ostrzega, że spacerowicze muszą się liczyć z tym, że może ich tam złapać nie tylko kapuśniak, ale nawet ulewa.

Nie wytrzymamy! Permanentna inwigilacja!

„City Eye” to polska gra komputerowa, która pozwala nam wcielić się w operatora monitoringu miejskiego. Do naszych obowiązków będzie należało wychwytywanie popełnianych przestępstw i wysyłanie do nich służb, ale także zdalne przeczyszczenie miasta w celu namierzenia osób poszukiwanych. „Przełączaj się między kamerami, zaznaczaj przeciwników, rób zdjęcia i nie pozwól, by występkiem uszedł im płazem. Uważna obserwacja oraz precyzyjna nawigacja to klucz do sukcesu i bezpieczeństwa obywateli”, piszą autorzy gry, której prolog jest już dostępny, i to za darmo. Pełna wersja, która zapewne zaciekałaby George’a Orwella i Michela Foucaulta, ma się pojawić jeszcze w tym roku.

TYGODNIK

ANGORA

PRZEGŁĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ

Z NAMI ZACHOWASZ RÓWNOWAGĘ

POZYTYWNA ENERGIA NA CAŁY TYDZIEŃ

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Zofia Pałucha, Basil



Mateusz Piestrak, Śląski Ikar

13. KONKURS GEPPERTA

wystawa konkursowa

patronat PRZEGLĄDU

W najnowszej edycji Konkursu Gepperta do głosu dochodzą młodzi artyści o różnorodnych uzdolnieniach. – Próbują uchwycić trudną koegzystencję stylów, znacznie wykraczając poza aktualność czasu, który opisują. Malarze ci bez kompleksów opowiadają o wszystkim i rozważają wszystko. A my, odbiorcy, też potrzebujemy nowych obrazów – mówi kuratorka Anna Kołodziejczyk.

Tylko w internecie pojawia się dziennie prawie miliard nowych obrazów. Nasza zdolność do ich przetworzenia i przyswojenia jest z kolei minimalna. Czy zatem potrzebujemy nowych obrazów? Malarze odpowiedzą – tak, potrzebujemy nowych obrazów. Dowodzi tego wystawa prezentująca prace finalistów 13. Konkursu Gepperta.

Galeria BWA Wrocław Główny
antresola na dworcu PKP, ul. Piłsudskiego 105
do 30 sierpnia
www.bwa.wroc.pl



Aleksander Błaszkievicz, Phantom of



Vojtěch Kovařík, Clash of the Titans



Martyna Baranowicz, Sytuacja w parku

JERZY MACZYŃSKI

JERRY & THE PELICAN SYSTEM

V I R T U A L T O U R

NAJBLIŻSZY ODCINEK JUŻ
16 LIPCA, GODZ.20:00

OGLĄDAJ NA:

WWW.TT.ORG.PL

WWW.JERZYMACZYNSKI.COM

WWW.INSTAGRAM.COM/JERRYMACZYNSKI

WWW.FACEBOOK.COM/JERZYMACZYNSKIMUSIC

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Dobrobyt

Schilling, Jakab, Zabezsinskij

**Bagiński, Bielawka, Brykalski, Dargay,
Ilczuk, Jankowski, Jarmicki, Kołakowski,
Leończyk, Loga-Skarczewski,
Łągiewczyk, Pieczyński, Rogiński,
Skibińska, Warmuz, Zaremba**

**premiera 10 lipca
kolejne przedstawienia: 11 i 12 lipca**

Historia młodej pary, która otrzymuje zaproszenie na weekendowy pobyt w ekskluzywnym spa. Hotel położony w nadmorskim, zimnym klimacie, otoczony surową przyrodą, to zhierarchizowany system, w którym każdy zna swoje miejsce. Młody mężczyzna szybko dostosowuje się do wewnętrznych zasad hotelu, a obietnica płynących z tego korzyści przesłania jego trzeźwy osąd. Przeciw podporządkowaniu się występuje jednak kobieta – jej opór wywołuje nieoczekiwane następstwa.

Patroni
medialni

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

GO ON TV

P
regal

www.powszechny.com